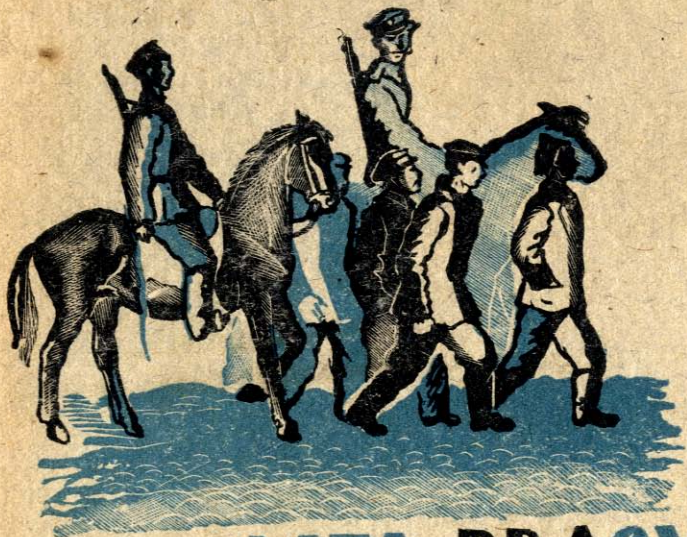


(386) 247

M. Płochocki



**LATA PRACY
NIELEGALNEJ
W POLSCE**

Młoda Gwardja

OGIZ
1934

M. Płochocki

LATA PRACY NIELEGALNEJ W POLSCE



„Młoda Gwardja”
1934

K-141/88

Z



M9781

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0508861

PRZEDMOWA

Wypuszczając w świat książkę tow. M. Plochockiego pt. «Lata pracy nielegalnej w Polsce», wydawnictwo «Młoda Gwardja» daje młodemu czytelnikowi książkę, którą przeczyta on zapewne z zainteresowaniem i z dużym dla siebie pożytkiem. Autor książki, żyjący obecnie w Związku Radzieckim, stary rewolucjonista i członek Stowarzyszenia Starych Bolszewików, podaje nam tu wspomnienia ze swych lat młodzieńczych ucznia i terminatora, z lat nielegalnej pracy partyjnej, wreszcie zsyłki na Sybir.

Autor żywo i interesująco opowiada nam o tych niezwykle ciężkich warunkach, w jakich ówczesnej młodzieży przychodziło uczyć się zawodu, «wyrastać na człowieka». Uczeń taki z reguły był popychadłem majstra, majstrowej, a nawet czealników, był bity i kopany, znosił głód i najstraszliwszą nędzę, nie mając prawa nawet głosu podnosić przeciwko temu, bo wtedy, jak tego sam autor doświadczył na sobie, otrzymywał «wilczy bilet» i nie był nigdzie przyjmowany do roboty.

A jakież było jego życie po tem, gdy już «stał się człowiekiem»? Był nim doprawdy tylko z nazwy w warunkach zwierzęcego wyzysku przedsiębiorców.

Na tle tego poczyna kielkować i coraz przybierać na siłę walka robotników przeciwko gniotącemu ich uciskowi. Autor, bezpośredni uczestnik tych walk, prosto, a cieka-

wie opowiada nam o pierwszych krokach ruchu socjal-demokratycznego w Polsce, o walce z majstrami, fabrykantami, z samowładztwem carskiem, przeciwko uciskowi narodowemu.

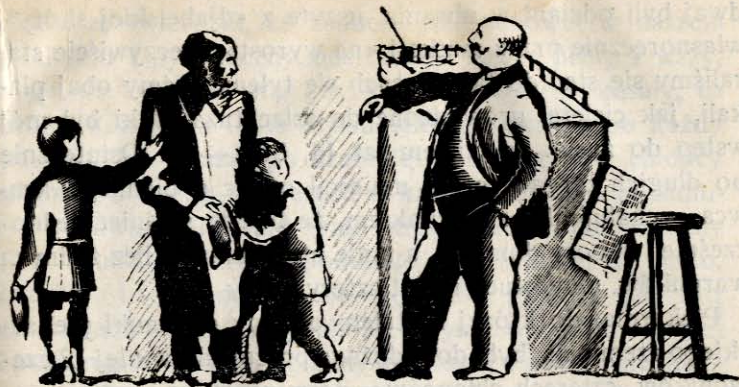
W rozdziele pt. «Więzienie i zesłanie» autor z kolei kreśli nam życie i losy tysięcy rewolucjonistów, którzy ginęli w walce o sprawę robotniczą, padali ofiarą knuta carskiego w więzieniach, w tajgach dalekiego Sybiru.

Wspomnienia są doprowadzone do 1905 r. Dalszy ciąg wspomnień z okresu 1905 r., zamierzamy wydać w drugim tomie.

Moskwa, kwiecień 1934 r.

Część I

Z minionych dni



Urodziłem się w sierpniu 1878 roku. Ojciec mój, marnie opłacany oficjalista rolny, obarczony liczną rodziną, postanowił mnie i młodszego brata oddać na naukę rzemiosła i w tym celu zawiózł nas w lipcu 1893 roku do Warszawy. Ale nie było to zadanie zbyt łatwe, bo majstrowie prawie wszystkich fachów nie przyjmowali chłopców do nauki bez dopłaty pieniężnej, wynoszącej od 100 do 150 rb. jednorazowo, więc ojciec mój, nie mogąc zapłacić takiej sumy, musiał znaleźć majstrów, którzyby zechcieli przyjąć nas bez żadnej dopłaty.

Po przyjeździe do Warszawy rozpoczęliśmy z ojcem kilkudniową wędrowkę po majstrach różnych fachów. Wstręta i poniżająca była ta wędrowka i targi z majstrami, którzy chcieli choć cośkolwiek utargować od ojca i w tym celu zawzięcie ganili zaofiarowany im przez ojca towar, mówiąc, że czuć od nas wsią, że nie umiemy się zachować wobec starszych, stoimy do nich tyłem i t. p. Rzeczywiście mieliśmy wygląd bardzo wiejski, bośmy oby-

dwaj byli odziani w ubrania, uszyte z «djabelskiej skóry», własnoręcznie przez matkę i «na wyrost», rzeczywiście staraliśmy się stać do targujących się tyłem, bośmy obaj płakali, jak cielęta prowadzone do szlachtuza. Taki był mój wstęp do życia. Ja miałem lat 14, brat — 13. Ostatecznie po długich targach brata umieścił ojciec u biednego krawca — chałupnika z warunkiem, że będzie spełniać jednocześnie i roboty domowe, a mnie u piekarza — bez żadnych warunków. Obydwuch na lat cztery.

Piekarnia, do której zostałem oddany do nauki piekarskiego rzemiosła, była dość duża, a pracowało w niej 12 czeladników, czterech chłopców — terminatorów i sześciu robotników niekwalifikowanych, tak zwanych parobków. Wszyscy dostawali całodzienne życie i mieszkanie. Czeladnicy i chłopcy mieszkali wspólnie w jednym pokoju o jednym oknie, w którym normalnie mogłoby się pomieścić nie więcej, niż dwóch do trzech ludzi. Jednak mieściło się 16 dzięki specjalnemu urządzeniu łóżek, których w tej ciupce mieściło się — siedem i jeszcze pozostawało miejsca na dwie szafy, stół i krzesło. Łóżka zajmowały zaledwie połowę pokoju, bo były piętrowe po trzy do czterech, jedno na drugim i wchodziło się na nie po specjalnej drabinie. Urzędowy lekarz sanitarny, któremu był powierzony nadzór nad sanitarnym stanem piekarni, do piekarni ani do mieszkania naszego nie zaglądał nigdy, ale za to bardzo szczegółowo badał stajnię i skład z mąką i wychodził od naszego przedsiębiorcy zawsze bardzo zadowolony. Mówiono, że nietyle go cieszył dodatni stan sanitarny piekarni, której nie widział, ile mocny uścisk majstrowskiej dłoni, w następstwie którego w jego rękę pozostawał dość poważny banknot. Bieliznę pościelową zmieniano bardzo rzadko, bodaj nie częściej, niż raz, czy dwa do roku.

Piekarze twierdzili, że zaduch, jaki panował w naszym mieszkaniu i pył mączny odstraszały nawet pchły i wszy, bo ich nie było. Zresztą, gdyby nawet były i kasały, to również niktby na takie drobnostki nie zważał, bo każdy z nas spał już, włączając po drabinie na barłóg. My, chłopcy spaliliśmy po trzech — czterech w każdym łóżku, a czeladnicy — po dwóch. Tak się spało zimą. Latem przenosiliśmy się na letniki, to jest na poddasze nad stajnami na siano, gdzie było bardzo dobrze, bo się spało, gdzie i jak kto chciał. Praca nocna zaczynała się zwykle o godzinie piątej po południu i trwała do godziny pierwszej w nocy, dzienna — od piątej rano do pierwszej w dzień, więc zwykle dzień roboczy trwał 15 do 16 godzin na dobę, rzadko mniej, ale często, szczególnie w przeddzień świąt — więcej od 1 — 2 godzin. Praca nasza była wogóle ciężka i żmudna, bo robiło się wszystko rękami, ale najważniejsze było wyrabianie ciasta. Naprzykład do ciasta żytniego, chlebowego lało się zwykle 25 do 28 pięciogarncowych wiader wody i sypało 8 do 10-u pięciopudrowych worków mąki i taką, ważącą prawie sto pudów masę wyrabiało na ciasto 3, a najczęściej 2 ludzi. Ciasto białe, bułkowe, którego było 15 do 17 wiader, jako trzy razy cięższe do wyrabiania, robiło w małych dozach 7 do 8 ludzi. Niemniej ciężką pracą było noszenie wody i mąki do koryt, w których się wyrabiało ciasto, i zastawianie desek z surowem pieczywem «na górę» (Dwie równoległe belki na wysokości półtora metra), aby tam rosło, i następnie noszenie ich do pieca. Taka deska z chlebem ważyła 25 do 32 funtów, a z bułkami — 8 do 15.

Czeladnicy dzielili się na «odpowiedzialnych» i «pomocników». Odpowiedzialni otrzymywali od 18 do 25 rubli miesięcznie, pomocnicy — 12 do 14 rb. Robotnicy niefachowi — 6 do 7 rubli. Chłopcy-ucznio wie żadnej płacy nie

otrzymywali, otrzymując w naturze ubranie, obuwanie, bieliznę i fartuchy, które przez większą część roku nosiło się na gołym ciele, ponieważ w piekarni było bardzo gorąco. Były one tak szerokie, że obwijaliśmy się nimi, jak spódnicą i zdejmowaliśmy najczęściej tylko wtedy, kiedy się rozdarły, aby je skleić ciastem, — bo na reperację igłą i nitką nie było czasu — albo, gdy podarły się już zupełnie.

Praca we wszystkich chrześcijańskich piekarniach (w piekarniach żydowskich świętowano soboty i wszystkie święta żydowskie) — trwała okrągły rok z dwudniowymi przerwami na tak zwane boże narodzenie i wielkanoc. W niedzielę i wszystkie inne święta pracowało się, jak w dnie powszednie, a czasami nawet dłużej. Chłopcom, a tembardziej czeladnikom, nikt nie zabraniał w godzinach, przeznaczonych na sen, to jest pomiędzy pierwszą a piątą w dzień, iść «na spacer», ale jedni i drudzy z tej wolności rzadko korzystali, bo nawet najsilniejsi nie mogli opanować senności, która ich ogarniała przy temperaturze, dochodzącej do 40 stopni Reaumura i spali przy pracy, wykonywując ją źle, psując ciasto, albo zupełnie przestając pracować. Za straty, stąd wynikające, przedsiębiorca wymyślał czeladnikom i wytrącał z zarobków, a nawet wydalal z pracy, a chłopców, drzemających przy pracy — bito. Zresztą chłopców bito przy każdej sposobności i bez sposobności. Bito ich przy budzeniu do pracy, bo niekażdy i niezawsze mógł wstać na pierwsze zawołanie, bito za źle wykonaną pracę, za palenie papierosów, nawet w ustępie, za protest przeciwko częstym obelgom, bito, aby podkreślić różnicę pomiędzy chłopcem — terminatorem a «panem czeladnikiem», wreszcie bito, aby odbić to, co się samemu dostało, będąc w terminie. Zdarzało się, że chłopców kaleczono na całe życie. Było to, jak zrozumiałem później, wy-

ładowanie po linii najmniejszego oporu, strasznej, beznadziejnej goryczy życia, była to najnędniejsza, ale jedyna dla nich wówczas dostępna forma walki protestu.

Piekarze ówczesni często powtarzali, że «piekarz, prostytutka i złodziej jedną drogą chodzą» i przysłowie to było słuszne nietylko w przenośni. Piekarz w piekarni był tylko bydłem roboczym, bezsilnym i tępym, jak narzędzia, którymi pracował, a poza piekarnią był najczęściej pijanym i obdartym zwierzęciem dwunożnym, którym wszyscy gardzili, a on za to wszystkich nienawidził, bo i sam dla siebie szacunku mieć nie mógł.

Miejscem zabawy, czy rozrywki już nietylko piekarzy, ale wogóle ówczesnych robotników, były — szynk i dom publiczny. O tem, co to jest teatr, czy koncert prawie nikt z nich nie miał pojęcia. A już dla piekarzy były to rzeczy szczególnie niedostępne, ponieważ odbywały się wieczorami, kiedy oni musieli pracować, aby burżuazji dostarczyć świeżego pieczywa. Zresztą ludzi źle ubranych do teatru i wogóle miejsc publicznych nie wpuszczano, a robotnicy po większej części nie mieli za co sprawić sobie odpowiedniego ubrania.

Pracując dniem i nocą, piekarz nie mógł mieszkać poza piekarnią, a tem samem nie mógł marzyć o ożenku i założeniu rodziny. Tak zwane «ognisko domowe» — rodzina, która u burżuazji stała się już wówczas nierzadko cudnym przeżytkiem, dla ówczesnych piekarzy była nieziszczalnym marzeniem.

A jednak już w tych odległych czasach piekarze, dzięki specjalnym warunkom pracy, stali kulturalnie nieco wyżej, niż inni rzemieślnicy. Umieli z drobnymi wyjątkami czytać i jako tako pisać. Prenumerowali za składowe pieniądze gazetę. Starzy piekarze odznaczali się nawet pew-

na inteligencją, interesowali się polityką bieżącą, a szczególnie głościli wówczas sprawami, procesem panamskim i wojną w Sjamie. Coprawda, niezupełnie orjentowali się, w jakiej części świata leżą Sjam i międzymorze panamskie. Tu poraz pierwszy przydała mi się pewna znajomość geografji, wyniesiona z domu, dzięki czemu mogłem objaśnić dokładnie, gdzie leżą te kraje. Uzyskałem przez to wśród czeladników pewien szacunek, co jednak nie przeszkadzało mi otrzymywać przypadającej na mnie porcji bicia i wymyślań.

Za to od starych piekarzy dowiedziałem się poraz pierwszy o rzezi galicyjskiej w 1846 roku, kiedy «panów piłą rżnięto», o Komunie Paryskiej, kiedy to «panów» zapędzono do roboty i karmiono szczurami, o tem, że w Polsce istniała partja «Proletariat»¹, coś — nieco o jej działalności, więc o Rudym Grzegorzu (Stanisławie Kunickim), który choć sam pański syn i student, jednak chciał, żeby była rewolucja, to jest, żeby «rżnięto panów», przyczem przez «panów» opowiadający rozumieli klasy posiadające wogóle), o sprawiedliwym sędzi z ulicy Zakroczyńskiej², o niedawnych rzeziach w Krożach i Żyrardowie. Nie wiem, czy kto z opowiadających był członkiem partji «Proletariat», ale przypominam sobie doskonale, że, choć niezupełnie zdawaliśmy sobie sprawę, o co «proletariatczycy» walczyli, i w imię czego umierali, aleśmy czuli, instynktownie, że chodziło im o to, aby lepiej było żyć na świecie takim wyzyskiwanym i uciskanym, jak my i czciliśmy ich, jak świętych. Chlubiliśmy się piekarzem — anarchistą, który zabił francuskiego prezydenta Karnota przedewszystkiem dlatego, że

zabił kogoś w rodzaju króla, czy cesarza, a powtóre, że zrobił to piekarz i że czyn swój życiem przypłacił. Wogóle zaczynaliśmy, choć bardzo powoli, dochodzić do przekonania, że położenie nasze, któreśmy sami porównywali z położeniem prostytutek i złodziei, może się zmienić tylko przez walkę. Często przy nadmiernej ilości pracy, jakiej wymagał od nas przedsiębiorca, starzy piekarze, wymyślając jeszcze poza plecami przedsiębiorcy, mawiali: «46-go roku potrzeba na tego lajdaka, albo Komuny Paryskiej». Były to pierwsze przejawy antagonizmu klasowego, wywołane nie tylko przez dziki wyzysk, ale i przez uświadomienie sobie faktu, że niema możliwości przejść z szeregów wyzyskiwanych do szeregów wyzyskujących, to jest — stać się samemu choć drobnym przedsiębiorcą i przestać być robotnikiem. Na założenie nawet najmniejszej piekarni trzeba było posiadać conajmniej 400 — 500 rubli, to jest taką sumę, jakiej z własnej pracy nie był w stanie uciąć żaden piekarz, zarabiający miesięcznie 15 — 25 rubli.



Istniał jeszcze wówczas we wszystkich rzemiosłach zwyczaj udawania się na wędrowną po skończeniu terminu i otrzymaniu świadectwa czeladniczego. Celem wędrowności było wykwalifikowanie się w swoim fachu. Ale ponieważ rzemiosło piekarskie, jak i wiele innych, pod każdym względem najlepiej było postawione w Warszawie, więc udający się na wędrowną nie mogli mieć nadziei wykwalifikowania się w swoich fachach. Celem stała się sama wędrowną, na którą szli nie tylko młodzi i bezrobotni, często i mający pracę porzucali ją z nadejściem wiosny, «kiedy kot na dach włoży», wiązali zawiniątko i szli na wędrowną.

Szedł taki wędrowiec o głodzie i chłodzie nieraz setki

¹) Pierwsza socjalistyczna partja robotnicza w Polsce.

²) Piotr Bardowski — sędzia pokoju, członek partji «Proletariat».

kilometrów, pędzony najczęściej tęsknotą do przyrody, do słońca, którego nie widział miesiącami i latami, śpiąc w dzień, albo pracując w piwnicznym lokalu, tęsknotą do «zielonych firanek», z pod których wypędziła go do miasta w dzieciństwie bieda z nędzą, do chwilowej bodaj wojności, choćby za cenę głodu i chłodu.

Takie «urlopy» robili sobie ówcześni robotnicy.

Żywili się wędrowcy w czasie wędrówki jałmużną, prawda, że ta jałmużna była usankcjonowana przez prawa cechowe, jednak nie przestawała być jałmużną. Zachodził wędrowiec do piekarni, czy innego warsztatu rzemieślniczego i, pokazując swoje rzemieślnicze dokumenty, mówił: «jestem wędrowym czeladnikiem i proszę o pracę lub wsparcie». Wtedy majster-właściciel takiego warsztatu sprawdzał pokazany dokument i dawał jego właścicielowi od 5 do 10 kopiejek, właściciele piekarni i innych spożywczych zakładów rzemieślniczych czasem dodawali zepsutą bułkę lub kawałek wędliny. Według zasad cechowych wędrowni rzemieślnicy mieli prawo otrzymywać wsparcie tylko od majstrów swoich fachów, a więc piekarz tylko u piekarza, rzeźnik — u rzeźnika i t. p., ale ponieważ otrzymanych od swego majstra kilkunastu kopiejek niezawsze starczyło nawet na jednorazowe najedzenie się, więc robiono nadużycia i np. piekarz lub rzeźnik chodzili po wsparcie do wszystkich majstrów, jacy byli w danej miejscowości, a więc do rzeźników, stolarzy, młynarzy, ślusarzy, czy kowali, a nawet do... hycła, wszędzie podając się za odpowiedniego fachowca i prosząc o pracę i wsparcie. Aby się zabezpieczyć od możliwości zaangażowania do pracy, której nie znał, wędrowiec w takich wypadkach nie nosił z sobą swego węzła, aby po niego pójść i więcej nie wrócić.

Jeżeli w małym miasteczku czy osadzie wędrowcy zebrali

tak małą ilość wsparć, że w dalszą drogę trzeba było iść o głódzie, to w takim tylko wypadku i zmuszeni ostatecznością, szli do księdza, bo taki święty byk traktował wędrowców, szczególnie pochodzących z Warszawy, bardzo wrogo, podejrzewając, zresztą zupełnie słusznie, że większość wędrowców — to ludzie niewierzący i głęboko gardzący przedstawicielami wszystkich kultów.

Pomimo tych wszystkich podstępów i wybiegów, wędrowcy byli najczęściej tylko nawpół najedzeni, a często i zupełnie głodni. Bywały wypadki, że po kilkudniowym ścisłym poście trzeba było uciec się do jakiegoś specjalnego fortelu, na przykład symulowania jakiejś choroby, najczęściej epilepsji, przyczem atak choroby następował zawsze na rynku, czy ruchliwej ulicy miasteczka, aby zwabić jaknajwięcej ciekawych i mających miękkie serce i otwarte kieszenie. Zebranych datków czasami starczyło na kilka dni dalszej podróży.

O ile powracający z wędrówek po kraju niewiele mieli do opowiadania, o tyle przychodzący z Austrii, właściwie z Galicji, dziwy nam, młodzieży, opowiadali: «u nas jest wolność¹⁾, bo cesarz jest dobry, można śpiewać zabronione pieśni, należysz do stowarzyszenia, to cię nikt skrzywdzić nie może, bo, jak trzeba, to się robi «strikę» (t. j. strajk). Niewiele to było, aleśmy, dzięki tym opowiadaniom galicjan dowiedzieli się, że gdzieindziej jest lepiej, niż u nas, a więc i u nas może się zmienić na lepsze.

Jednak były to tylko marzenia, a rzeczywistość stawała się coraz cięższa.

Był to okres ogromnego rozkwitu przemysłowego w

¹⁾ W ówczesnej Austrii, w skład której wchodziła Galicja, istniała burżuazyjna konstytucja, dająca robotnikom pewne prawa łączenia się w związki, co w carskiej Rosji było surowo wzbronione.

Polsce wogóle, a w szczególności w Warszawie. Raptowny napływ ludności, wywołany przez ten rozkwit, dokonał przewrotu w rzemiośle piekarskim. Stare piekarskie warsztaty rzemieślnicze nie mogły zaspokoić stale wzrastającego zapotrzebowania na pieczywo. Zaczęły powstawać nowe piekarnie, zakładane już nie przez cechowych majstrów piekarskich, ale przez zwykłych przedsiębiorców, którzy dla fachowego kierownictwa brali majstrów z pośród piekarzy.

Dla powiększenia swoich zysków, zarówno przedsiębiorcy, jak większość majstrów — właścicieli poszli w dwóch kierunkach: po pierwsze — lepszej organizacji i intensyfikacji pracy, to znaczy intensywniejszego wyzyskiwania robotników, bo nikt z nich żadnych technicznych ulepszeń nie wprowadził, i po drugie — zaczęli prowadzić piekarnie bardziej racjonalnie pod względem handlowym, to jest zaczęli zakupywać mąkę, węgiel, drzewo w okresach, kiedy one były najtańsze w dużych ilościach i mąkę w najlepszych gatunkach, dających najwięcej przypieku.

Wydajność pracy robotników została zwiększona przez powiększenie objętości pieców, koryt, desek do nastawiania bułek i chleba i przez takie jej zorganizowanie, aby przerwy, wywołane czekaniem na ogrzewanie się pieców, wyrośnięcie ciasta i t.p. przerwy, dotychczas trwające często i po parę godzin, zostały zredukowane do kilkunastu minut. Dla przyspieszenia fermentacji ciasta dodawano dość większą ilość drożdży.

W niektórych piekarniach przedsiębiorcy w sekrecie przed ogółem robotników płacili specjalne premje kierującym pracą odpowiedzialnym robotnikom za przyspieszenie tempa pracy.

Takimi prostymi środkami wydajność pracy została,

jeżeli nie podwojona, to w każdym razie zwiększona bardzo znacznie.

Była to pierwotna racjonalizacja kapitalistyczna, która w przeciwieństwie do racjonalizacji, praktykowanej u nas w Związku Radzieckim, — miała na celu nie dobro mas pracujących, lecz jedynie i wyłącznie bogacenie się kapitalistów.

Wysokości zarobków, jakie osiągalni nasi chlebobawcy, nie umieliśmy jeszcze obliczyć, aleśmy czuli na swoich kościach, że musiały się one znacznie zwiększyć.

Eksploatowano nas «racjonalnie» jeszcze przed usankcjonowaniem przez burżuazyjną naukę systemu pracy do krwawego potu.

Wyzysk doprowadzono do ostatecznych granic wytrzymałości organizmu ludzkiego. Coraz częściej wspominaliśmy rok 1846 w Galicji i Komunę Paryską, choć nam to niewiele pomagało.

Coraz częściej zmieniali się w piekarni czeladnicy, nie mogący w takich warunkach dłużej, jak parę miesięcy, a nawet tygodni wytrzymać. Uciekali i chłopcy — terminatorzy i nie dlatego, że ich czeladnicy prześladowali i krzywdzili specjalnie, bo ci, z małymi wyjątkami, odnosili się do nas — chłopców dość sprawiedliwie, a czasem nawet przyjaźnie, lecz z powodu pracy ponad wszelkie siły, którą przedsiębiorca obarczał zarówno czeladników, jak i chłopców.

Jednak i te bydlęce warunki pracy nie zdołały zabić w nas, młodych uczu ludzkich, radości życia i kiedy, choć przez czas jakiś pracowali robotnicy dobrani tak pod względem fachowym, jak i pod względem charakterów, wtedy nawet ta katorżnicza praca zdawała się o połowę lżejszą i pracowało się prawie ochoczo. Kilkanaste głosów w takt uderzeń o koryto przy wylocie bułek, śpiewało



patriotyczną, rewolucyjną pieśń: «Strzelecka trąbka w dał», lub nad ranem «Już od wschodu dzień bieleje i rumiane świecą zorza» (Warszawianki» i «Czerwonego» jeszcześmy nie znali). Zresztą mniej było ważne, cośmy śpiewali, ważne było, żeśmy wogóle śpiewali, że przejawiało się u nas jakieś ludzkie uczucie, że choć na chwilę zapominaliśmy o rzeczywistości. Gorzej było, gdy pracowali nałogowi i ciemni alkoholicy, którzy uważali niemal za swój obowiązek w zwierzęcy sposób znęcać się nad chłopcami — terminatorami. Ale muszę stwierdzić, że w takich wypadkach większość czeladników, prawie zawsze stawiała w naszej obronie i bez powodu karać nas nie pozwalała. Miało to bardzo duże znaczenie, bo zapobiegało powstawaniu antagonizmu pomiędzy chłopcami a czeladnikami, antagonizmu, któryby majstrowie i przedsiębiorcy z największą przyjemnością wyzyskali na niekorzyść obydwóch stron, co w późniejszej walce rzeczywiście się zdarzało. Nie było wypadku, aby pobity przez czeladnika chłopiec poszedł na skargę do przedsiębiorcy. Czeladnik lubił okazywać w stosunku do chłopca — terminatora swoją wyższość, ale mu przy każdej sposobności przypominał, że on, terminator, jest kandydatem na czeladnika i dlatego musi być solidarny z czeladnikami w stosunku do przedsiębiorcy, który jest naturalnym wrogiem ich obydwóch już przez to samo, że jest przedsiębiorcą.

Tak nas uczono solidarności klasowej.

Jakie jest życie piekarza — czeladnika poza piekarnią, to jest, co nas czeka, gdy skończymy naukę rzemiosła i staniemy się samodzielnymi robotnikami — dowiadywaliśmy się z odpowiedzi starych piekarzy o dawnych i obecnych czasach i o przygodach w czasie wędrówek, opowiadań często cynicznych, ale najczęściej bardzo smutnych — o

psiej doli robotnika — bydłęcia, znajdującego zapomnienie tylko w wódce.

Taka miała być nasza przyszłość. A teraźniejszość była szczerze zapełniona wysysającą z nas wszystkie soki żywotne, bydłą, jednostajną i monotonną pracą. Dzień do dnia był podobny, jak rodzeni bracia, a było ich w roku 361, bo aż cztery dni mieliśmy świąt, to jest odpoczynku zupełnego, w czasie dorocznych świąt, to znaczy bożego narodzenia i wielkiejnocy. Były to chwile, których oczekiwaliśmy z upragnieniem tygodnie i miesiące, choć właściwie o prawdziwym wypoczynku w przeciągu tych dwóch dni mowy być nie mogło, tembardziej, że na 4 — 5 dni przed temi świętami praca trwała już bez przerwy i nikt z nas w tym czasie nie miał prawa iść spać do łóżka, a spało się na miejscu — w piekarni, kiedy kto miał chwilę czasu i gdzie znalazł miejsce. Czeladnikom przedsiębiorca, dla dodania energii, przynosił flaszki wódkę, a my, chłopcy, orzeźwialiśmy się polewaniem głowy zimną wodą.

Kiedyś, zdaje się w roku 1896, zdarzył się w naszej piekarni taki wypadek, że jeden z chłopców, położywszy się spać po skończeniu bez przerwy 4 doby trwającej roboty «świętecznej» w sobotę wieczorem, obudził się dopiero we wtorek rano, kiedy święta już się skończyły.

Tak mi przeszły dwa lata terminu. Było mi trudno przyzwyczaić się nietyle do ciężkiej pracy, bo i w domu u rodziców musiałem pracować, ale do jej warunków i stosunków, w jakich żyć musiałem. O zmianie rzemiosła, albo o wstąpieniu do innej piekarni przestałem myśleć, kiedy się raz jeszcze przekonałem, że bez dopłaty pieniężnej do żadnego poza piekarskim, rzemiosła przyjąć mnie nie zechcą, a w innej piekarni nie byłoby mi lepiej.

W tym okresie moje stosunki z rodzicami były już fak-

tycznie zerwane¹, choć jeszcze od czasu do czasu pisywaliśmy do siebie. Ich tanie morały i dodawanie mi otuchy, że będę miał dobrze, jak zostanę sam przedsiębiorcą — były mi już zupełnie zbyteczne. Zostanie przedsiębiorcą nie było wcale szczytem moich marzeń, a morały w rodzaju tego, że «praca uszlachetnia», wydawały mi się już śmieszne.

Latem 1895 roku, kiedy chwilowo praca była trochę lżejsza, pożyczyłem sobie i przeczytałem 2 książki. Była to «Stara baśń» Kraszewskiego i «Wstęp do historii literatury polskiej» Kondratowicza. Niewiele mnie obchodziła akcja powieści, ale zaczytywałem się opisami przyrody, za którą bardzo tęskniłem.

Wogóle położenie swoje uważałem za stan przejściowy, za środek do celu, a celem była chęć podróżowania po świecie. Postanowiłem sobie jeszcze przed terminem, że, jak tylko będę w stanie zarabiać na swoje utrzymanie, puszczę się w pieszą podróż naokoło świata. Była to dziecinna idea, ale ja wówczas traktowałem ją zupełnie poważnie aż do wiosny 1899 roku, kiedy stałem się zawodowym rewolucjonistą.

Jesienią 1895 roku przedsiębiorcą, u którego byłem w terminie, wziął się do racjonalnego zreorganizowania swe-

¹ Wówczas istniał jeszcze tak u piekarzy, jak i w innych rzemiślach zwyczaj «chrzczenia» chłopców — terminatorów. Chrzest polegał na tem, że ktoś ze starszych czeladników wiązał dwa polana, aby imitowały krzyż, okrywał się workiem, brał do ręki słomiany pędzel do szmarowania pieczywa, i kropiąc nim chrzczonego, miał do niego taką przemowę: «Oto, psia twoja mać, od dnia dzisiejszego nie będziesz miał matki, ani ojca, matką twoją będzie «bajta» (koryto), a ojcem «szprajzel» (polano) i do kościoła będziesz chodził tylko poto, aby się ukryć przed deszczem, albo uciekać przed wściekłym psem, ale do szynku i w inne podobne miejsce pójdziesz, stawszy się czeladnikiem, zawsze, jak tylko będziesz miał pieniądze. Nazywać się będziesz «Świdrowaty» (zerowaty) Pietrek, czy Natek. Amen!»

go przedsiębiorstwa dla osiągnięcia większej wydajności pracy, to znaczy powiększenia swoich zysków. W tym celu wydalil kilku czeladników, ale za to powiększył obstalunki na pieczywo, wynajawszy na mieście sklep dla jego sprzedaży. Przerwy w czasie pracy zostały zredukowane przez nowego majstra, który oprócz pensji otrzymywał procenty od sumy dziennego obrotu — zredukowane do kilkunastu minut, niezbędnych dla przyjęcia przez robotników posiłku, a przerwy pomiędzy pracą dzienną a nocną, trwające przedtem 4 godziny w nocy, 6 godzin w dzień, do 3 — 4 godzin w dzień, i do 2 godzin w nocy. Jednocześnie żona naszego «chlebodawcy», z którą on się w tym czasie ożenił, wstrętne typ staromiejskiej przekupki, wzięła się również bardzo energicznie do «reorganizacji» kuchni. Zaczęliśmy dostawać coraz gorsze życie, w coraz mniejszych ilościach. Mięso, któreśmy przedtem otrzymywali wszyscy codziennie, przestała nam dawać we środy i piątki, jako dni «postu do Jezusa i matki boskiej». W pozostałe 5 dni otrzymywaliśmy je w ilości o połowę zmniejszonej i często śmierdzące.

Czeladnicy protestowali przeciwko temu, odsyłali obiady do kantoru przedsiębiorcy, wymyślali dużo i głośno, tak, aby ich musiała słyszeć pani właścicielka i często przywoływali samego przedsiębiorcę, aby się przekonał, że obiad jest niemożliwy do jedzenia. Wtedy on, przekonawszy się, że «racjonalizacja» odżywiania robotników, stosowana przez jego żonę, przekroczyła pewne granice, aby nie doprowadzać głodnych i przepracowanych piekarzy do ostateczności — posyłał po parę butelek wódki i wędlinę, co miało zastąpić obiad. Im dalej posuwała się ta «racjonalizacja», tem częściej nasz przedsiębiorca stosował wódkę, jako środek łagodzący coraz częstsze zatargi o złe odżywianie i nadmiar pracy. Tak było w stosunku do czeladników,

a my — chłopcy — terminatorzy częstośmy się po pracy kładli spać bez obiadu, bo go jeść nie było można. Kłóciliśmy się z kucharką, wymyślaliśmy już całkiem po piekarsku i na tem się musiało skończyć.

Byliśmy zupełnie bezbronni. Ponieważ jednak trzeba było mieć siły do ciężkiej pracy, więc zaczęliśmy sobie gotować jedzenie z produktów, któreśmy mieli w piekarni, to jest z mąki i jajek, a cukier, przeznaczony do ciasta, braliśmy do herbaty. Ale i to trwało niedługo, bo, jak tylko zauważyła pryncypałowa, że cukru i jaj wychodzi więcej, niż przedtem, to zaczęła do wydawanego cukru dosypywać soli, a jaja wydawała majstrowi na sztuki.

Po paru miesiącach takiej szarpaniny my, terminatorzy — a było nas wówczas pięciu — zdecydowaliśmy się pójść do przedsiębiorcy i prosić o polepszenie życia. Przedsiębiorca zdziwił się taką niebywałą demonstracją, ale przyjął nas dość grzecznie i obiecał pomówić z żoną. Po tem pierwszym, zupełnie niewinnem wystąpieniu, na pewien czas życie się poprawiło, ale kiedy nadszedł jakiś post, zaczęto nas znowu karmić śledziami i zupą ze śmierzdzących ryb. Na czeladników przestała już działać wódka przedsiębiorcy i często mu ją odsyłali do kantoru razem z niezjedzonym obiadem. Odżywiali się za własne pieniądze i upijali coraz częściej, aby zrobić awanturę, popsuć pieczywo i porzucić znienacka pracę.

Ale te częste zmiany czeladników pogorszały nasze położenie, bo nowi ludzie, nie znając miejscowych warunków pracy, przeciągali jej trwanie, przez co zmniejszali nam czas naszego odpoczynku i snu; męcząc nas i tak już przemęczonych i nawpół głodnych. Myśmy nie mieli możliwości zmienić miejsca pracy, ani zrobić sobie choć chwilowego odpoczynku, jak czeladnicy i dlatego nie liczono się nami

wcale. Doszliśmy do ostatnich granic wyczerpania i przemęczenia. Były wypadki, że chłopcy mdleli przy pracy z wycieńczenia. Spanie w czasie pracy stało się rzeczą normalną. Robota szła ciężko i niedbale, pieczywo było coraz gorsze i niesmaczne, ale wyrabiało się go dwa razy tyle, co poprzednio i dzięki temu przedsiębiorca mógł sprzedawać je taniej. Stał się on w tym czasie właścicielem dwóch domów, ale kiedyśmy my, — chłopcy, doprowadzeni do ostateczności głodem, poszli do niego poraz drugi upominać się o lepsze życie, rozgniewał się bardzo i wypędził nas z kantoru, wymyślając, że jesteśmy «buntownikami», których trzeba «zgnoić» w więzieniu.

Wtedy rozpoczęliśmy walkę taką i w takiej formie, na jaką nas było wówczas stać. Zaczęliśmy niszczyć mąkę, pieczywo, worki, tłukliśmy szyby w zapasowych oknach i t.d. Czeladnicy wiedzieli i widzieli, co robimy i, choć nas nie zachęcali, ale i nie bronili nam mścić się za swoją krzywdę na przedsiębiorcy, bo i sami robili to często, coraz częściej, choć w innych formach. Np. sypali do ciasta większą, niż potrzeba ilość soli, a następnie tłumaczyli się, że przesolili, bo nie wiedzieli, jaką ilość soli wysypała do cukru (abyśmy nie mogli wziąć go do herbaty) — żona przedsiębiorcy. A kiedy jedza zamiast soli zaczęła do tegoż cukru dosypywać mąki, połowę takiego cukru wysypywali do śmieci i tłumaczyli się, że zamiast cukru otrzymują mąkę i dlatego pieczywo jest złe. Żona przedsiębiorcy dostawała spazmów, ale musiała wkońcu dawać czysty cukier.

To był sabotaż do pewnego stopnia ukryty, ale był i sabotaż jawny, demonstracyjny. Zmawiali się naprzykład prowadzący robotę, odpowiedzialni czeladnicy i po wypiciu na ryzyko większej ilości wódki, zagważdżali solą rozczyny i kwasy i wychodzili na miasto, aby więcej do pracy już nie

wrócić, albo też porzucali niedokończoną pracę w nocy, nabawiając przedsiębiorcy dużych strat. Takie stosunki panowały w większości piekarni w Warszawie w przeddzień strajku.

Przedsiębiorcy w swojej zachłanności przeszli już granice najdalej posuniętego wyzysku, granice, jakiej piekarstwo—rzemiosło nie przekraczało nigdy.

Na pewien czas przed strajkiem dokonaliśmy w kilku obliczenia produkcji i zysków, otrzymanych przez naszego przedsiębiorcę. Wartość produkcji wynosiła, jak sobie przypominam, przeszło 360 rubli dziennie na 20 robotników, licząc razem z niewykwalifikowanymi i rozwożącymi pieczywo. Wartość płacy i życia 20 robotników wynosiły około 20 rubli dziennie, to jest niewiele ponad 5 procent obrotu codziennego.

W takich warunkach wybuch musiał nastąpić w formie mniej lub więcej zorganizowanego strajku, dzięki temu, że piekarze już od roku byli w stałym kontakcie z organizacją PPS (Socjaldemokracja Królestwa Polskiego w tym czasie była rozgromiona doszczętnie przez żandarmów).

Pomoc Polskiej Partii Socjalistycznej dla stworzonej przez samych piekarzy organizacji strajkowej ograniczyła się do dania ogólnych wskazówek i autorytetu warszawskiego komitetu robotniczego PPS. Zdaje się, że nawet krótka odezwa strajkowa została napisana i odhektografowana przez samych piekarzy, członków organizacji strajkowej. W odezwie tej wystawiono następujące żądania:

1. Zniesienie życia i mieszkania przy piekarni, 2. wprowadzenie pracy na dwie zmiany na dobę, 3. Podwyższenie zarobków. Strajk zaczął się 27 lipca 187 roku.

Ja osobiście w strajku tym brałem dość skromny udział,

choć członkiem partji byłem już od 1896 roku i regularnie płaciłem składki członkowskie, wynoszące 5 kopiejek tygodniowo. Jednak dzięki ówczesnym pojęciom, jako nie posiadający jeszcze świadectwa ukończenia praktyki, członkiem organizacji strajkowej być nie mogłem. Więc brałem udział pomocniczy, roznosiłem odezwy, wzywające do strajku, sprawdzałem, czy gdzie nie pracują łami strajki, zawiadamiałem strajkujących o miejscu zebrania itp.

Organizacja strajkowa energiczna i dzielna, choć nie posiadająca jeszcze dostatecznego doświadczenia, pracowała jednak doskonale, bo kierowała walką robotników, którzy do tej walki strejkowej byli doskonale przygotowani przez warunki pracy i bytu i do stracenia nie mieli nic zupełnie.

W latach późniejszych brałem udział w kilkunastu strajkach, ale żaden z nich nie miał tak wybitnego bojowego charakteru, jak pierwszy strajk piekarzy w Warszawie. Pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj, choć od tej niesłychanej ważnej chwili w moim życiu minęło już lat trzydzieści sześć.

Wiadomość o rozpoczęciu strajku i odezwę strajkową przyniesiono do piekarni naszej akurat po skończeniu dziennej pracy. Odhektografowana na ogromnych arkuszach papieru odezwa zaczynała się od słów: «Towarzysze piekarze». Widziałem starych piekarzy, którym przy czytaniu tej odezwy ciekły po zapijaczonych twarzach łzy. Więc nie bydlę robocze, nie zwierzęta dwunożne, lecz «towarzysze — my towarzysze...». Nastrój ten zrozumieć i odczuć potrafiały tylko ci towarzysze, którzy jako robotnicy, sami byli mocno bici i kopani przez ustrój kapitalistyczny i dla których słowo «towarzysz» i «strajk» były nie

terminami zwyczajowymi, lecz uroczystem stwierdzeniem ich przynależności do wielkiej rodziny robotniczej. Jeden z piekarzy czytał odezwę na głos:

«Towarzysze piekarze! Wzywamy was do strajku, do walki o bardziej ludzkie warunki pracy i bytu». «Ludźmi jesteśmy, więc żyć i pracować chcemy po ludzku» itp. Dalej następowały żądania, jakie mają wystawić strajkujący i na zakończenie wezwanie do solidarności w walce, która musi przynieść zwycięstwo.

Nie mogę i nie próbuję opisać nastroju, jaki zapanował po odczytaniu tej bardzo krótkiej i bardzo prostej odezwę, ogłaszającej strajk, ale jestem przekonany, że ten moment miał decydujące znaczenie, abyśmy się — my, piekarze — poczuli ludźmi. Że nastrój taki panował wszędzie. Dowodzi fakt, że w przeciągu trzech godzin stanęły do strajku wszystkie chrześcijańskie piekarnie w Warszawie, a było ich około 80. Ścisłego porozumienia z robotnikami piekarń żydowskich jeszcze nie było, choć strajkowali oni na parę dni przed nami, zdobyli jednak znacznie mniej, niż my. Strajk ich był kierowany przez Bund.

Nas, chłopców-terminatorów, wprowadzie formalnie do strajku nie wzywano, jednak w większości piekarń nie pracował żaden z chłopców. Byliśmy uważani przez dużą część czeladników za pewnego rodzaju żywy inwentarz przedsiębiorcy, pozostający pod jego wyłączną opieką aż do wyzwolenia się na czeladnika i w odezwie strajkowej również nie było mowy o chłopcach-terminatorach, mówiono w niej o piekarzach, a piekarzem mógł się nazywać tylko czeladnik. Również nie byli piekarzami i w strajku udziału nie brali robotnicy niefachowi, pracujący jako pomoc w piekarni, lub rozwóżający pieczywo. Zostali oni wciągnięci do wspólnego z czeladnikami socjal-demo-

kratycznego związku zawodowego, razem z chłopcami-terminatorami dopiero w grudniu 1905 roku.

Tymczasem w tym pierwszym strajku wzięli udział tylko czeladnicy i wystawione żądania ich tylko dotyczyły. Tradycje cechowe były jeszcze tak silne, że nawet organizacja strajkowa, będąca pod wpływem partii socjalistycznej, nie ważyła się im przeciwstawić.

Na trzeci dzień strajku, to jest 29 lipca, organizacja strajkowa wyznaczyła walne zebranie strajkujących na placu Witkowskiego pod gołem niebem, ale kiedy policja zaczęła rozpędzać zbierających się, zostało rzucone hasło, aby iść na pole Mokotowskie, gdzie dziś jest lotnisko. Około południa zebrali się prawie wszyscy strajkujący w liczbie około 600 osób. Było to jedno z najorginalniejszych zebrań, jakie widziała ówczesna Warszawa. Każdy postronny widz przysiągłby, że jest to zebranie dziadów, kalek, czy inwalidów. Nikomu do głowyby nie przyszło, że jest to zebranie robotników, wytwarzających swoją pracą pieczywo dla mieszkańców wtedy już 800-tysięcznego miasta. Większość zebranych miała na sobie ubranie podarte i zamączone, a wielu było ubranych, jak przy pracy, w niebieskie fartuchy w formie kobiecych sukni. Ponieważ znałem osobiście co najmniej połowę zebranych, więc dla charakterystyki przytoczę przezwiska niektórych. Więc byli tam: koślawy Ludwik, koślawy Mietek, Fura Dziadów, Kapitan obdartej gwardji, Jurdyk krzywa morda (podobno w terminie uderzono go tak silnie w twarz, że mu się wykrzywiła na zawsze), Albin z workiem (miał rupturę wielkości cielejącej głowy), Koń, Mamka, Krowa, Kobyła, Żółw, Pasyjka, Jasnokościsty, Andrzej bez nogi (stracił ją w czasie powstania 63 roku, w którym brał udział jako młody chłopiec). Prawie wszystkie przezwiska

charakteryzowały jakąś specjalną cechą ich posiadaczy. Cała ta falanga ustawiła się na Mokotowskim polu w ten sposób, że na front w stronę miasta wysunięto koślawych, oberwanych i ubranych w fartuchy. Krótko przemawiali członkowie organizacji strajkowej — Rudy Adam, Janeczek Koperski. Ledwie skończył swoje przemówienie ten ostatni, pokazał się powóz ówczesnego policmajstra warszawskiego generała Klejgelsa w asyście kilkunastu kozaków, a wkrótce nadeszła grupa policjantów, złożona z kilkudziesięciu ludzi i stanęła koło zebranych, oczekując rozkazów Klejgelsa. Ten nie wysiadając, zwrócił się do zebranych zapytaniem, po co się zebrali. Nie otrzymawszy określonej odpowiedzi, bo zaczynało mówić kilku jednocześnie, zaproponował, aby zebrani wybrali z pośród siebie kogoś, kto by mu dał objaśnienie, po co się zebrali i jakie są ich żądania, chcąc w ten sposób dowiedzieć się o kierownikach strajku. Ale mądry generał się przeliczył. Strajkujący byli przyszykowani na taką propozycję i wysunęli, jako delegatów: Serka, Żółwia, Iksa i Kapitana obdartej gwardji, to jest kaleki, obdartusów¹. Kiedy ci delegaci strajkujących zbliżyli się do powozu generała, «jego wspaniałość» raczył się głośno wyrazić: «Tfu, co za czortowa kikumora» i zaczął słuchać delegacji, która mu opowiadała, jak ciężka jest dola piekarzy, którzy od nadmiernej pracy mają pokrzywione nogi, a tak mało zarabiają, że nie mają, za co sprawić sobie ubrania. Nie wysłuchawszy płaczliwego opowiadania Żółwia, czy Serka, Klejgels wydał półgłosem jakieś rozporządzenie i odjechał. Po jego odjeździe policjanci okrążyli

¹ Serek, Wiwat i Iks mieli od nocnej pracy tak silnie wykoślawione nogi od kolan nazewnątrż, że kolanami dotykali ziemi i wyglądali karykaturalnie.

zebranych i podzielili ich według cyrkulów nibyto dla sprawdzenia tożsamości osób i miejsca zamieszkania. Szło o to, aby według stale w tych czasach praktykowanego sposobu walki ze strajkami — niestałych mieszkańców Warszawy wysłać etapem do miejsc urodzenia i w ten sposób rozbić strajk. Ale ten wybieg policji nikogo ze strajkujących nie nastraszył, bo było lato i każdy z nich wolał tłuc się parę dni, albo tygodni po etapach, niż zostać zwyciężonym i wracać do poprzednich znieawidzonych warunków pracy. Strajkujący, pytani w cyrkulach, czy wolą iść do pracy, czy do więzienia transportowego, prawie wszyscy odpowiedzieli, że do pracy na starych warunkach nie pójdą. Ponieważ po sprawdzeniu okazało się, że zaledwie drobna część aresztowanych są stałymi mieszkańcami Warszawy, więc trzeba było wysłać etapem przeszło 400 ludzi, co wymagało paru tygodni, a co najważniejsza — nie dawało gwarancji, że miasto będzie miało pieczywo, którego było pozbawione przez 3 dni, więc policja, porozumiewszy się z przedsiębiorcami, poradziła im ustąpić, zwłaszcza wobec spodziewanego przyjazdu do Warszawy cara Mikołaja.

30 lipca 1897 roku pierwszy strajk piekarzy w Warszawie został po 3 dniach wygrany. Wszyscy prawie aresztowani na polu Mokotowskim zostali na drugi dzień zwolnieni z wyjątkiem 11, których trzymano w więzieniu przez cały czas bytności cara w Warszawie, w tej liczbie Rudego Adama i Janeczka Koperskiego, których trzymano po 10 miesięcy w X pawilonie cytadeli warszawskiej.

Strajk ten miał dla piekarzy ogromne znaczenie przede wszystkim dlatego, że dzięki niemu został ustalony dzień roboczy. Była to zdobycz pierwszorzędnej wagi, jeżeli się zważy, że przed strajkiem samo pojęcie «dzień roboczy»

było w piekarstwie zupełnie nieznane. Już nawet po strajku robotnikom piekarskim wydawało się czymś niemożliwym, aby proces wytwarzania pieczywa można było rozczłonkować na dwie połowy, to jest, aby jedna zmiana stawiała rozczyzny, a druga robiła z tych rozczyznów ciasto i z ciasta pieczywo. Potrzeba było paru miesięcy, aby się robotnicy przyzwyczaili do tego, że praca jest dla nich, a nie oni dla pracy.

Drugą niemniej ważną zdobyczą było zniesienie życia i mieszkania przy piekarni, które z robotnika robiły faktycznego niewolnika przedsiębiorcy. Stosunkowo zaś najważniejsze znaczenie miała trzecia zdobycz strajkowa — podwyżka zarobków w sumie od 5 do 10 rubli miesięcznie tak, że przeciętny zarobek wykwalifikowanego robotnika piekarskiego wynosił po strajku od 7 do 11 rubli tygodniowo.

Po tym strajku w warunkach bytu piekarzy nastąpił zdecydowany przewrót. Zaczęli się lepiej odżywiać, po ludzku mieszkać i ubierać się i używać ludzkich rozrywk. Choć ustanowiony przez strajk 12-godzinny dzień roboty nawet dla mocnych organizmów był bardzo wyczerpujący, to jednak ze względów technicznych można go było ściśle stosować tylko w niektórych piekarniach. W większości piekarni praca trwała niewiele ponad 10 godzin na dobę, więc w stosunku do czasów przedstrajkowych było dostatecznie czasu, aby się wyspać, a nawet pozostawało jeszcze parę godzin wolnych, z którymi trzeba było coś zrobić. Starzy piekarze, nałogowi pijacy, często żartem narzekali, że mają za dużo czasu w stosunku do zarobionych pieniędzy i nie mają za co pić. Młodzi piekarze na zbytek czasu nie narzekali i nie zadawali sobie już samem pić wódki, a zaczęli szukać innych roz-

rywek, niż szynki i piwiarnie. Starali się mieszkać choćby kątem u krawców, szewców i innych rzemieślników. Czuli potrzebę zmiany otoczenia. Zaczęli się ubierać przyzwoicie, a czasami nawet elegancko, chodzić do teatru, bo pracowali w nocy tylko co drugi tydzień, i nierzadko czytać książki. Wszystko to było następstwem przewrotu w warunkach bytu materialnego. Rozumieliśmy to doskonale i ceniliśmy zdobycze tego pierwszego strajku, który w pamięci piekarzy pozostał na długie lata.

Organizacja strajkowa, pomimo aresztów, nie przestała istnieć i po strajku i zajęła się bardzo energicznie zorganizowaniem piekarskiego związku zawodowego, który z wiosną 1898 roku liczył już kilkuset członków. Był on jeszcze dość słabo zorganizowany i przyjmowano do niego tylko piekarzy-czeladników, ale było to na owe czasy już dość dużo. Był to jeden z najwcześniej powstałych związków zawodowych w Polsce.

Konkurencję naszemu nielegalnemu związkowi chciało stworzyć — zorganizowane przy czynnej pomocy przedsiębiorców i czynnej życzliwości ze strony policji — legalne stowarzyszenie piekarzy warszawskich. Było to ulepszone wydanie bylejk gospody cechowej. Ulepszone o tyle, że rządził nim (nominalnie) zarząd, a nie cech, miało ładny, duży, czysty lokal, w którym niewolno było grać w karty, i do którego nie wpuszczano pijanych. Naturalnie, przez cały roczny okres istnienia tego stowarzyszenia nielegalny związek piekarski uważał za praktyczne korzystać z jego lokalu dla nielegalnych zebrania, spotkań i informacji. Następstwem tego było zamknięcie stowarzyszenia, jako ogniska buntu i socjalizmu, przez policję na żądanie tych samych przedsiębiorców, którzy pomogli je zorganizować. Legalna droga organizowania się została zamknięta. Ta-

kie były następstwa tego pierwszego strajku dla czeladników.

A my — chłopcy-terminatorzy nie osiągnęliśmy żadnych, albo prawie żadnych korzyści. Jak już mówiłem wyżej, terminatorzy formalnie w większości piekarni, a w niektórych piekarniach i faktycznie udziału w strajku nie brali¹ tylko dlatego, że nikt ich do strajku nie wzywał. Przedsiębiorcy doskonale wykorzystali taki brak elementarnej solidarności wśród tych, których wyzyskiem tuczyli się, jak pasożyty, a to w ten sposób, że zmusili chłopców, pomimo że robota wszędzie była prowadzona na dwie zmiany, aby pracowali, jak przed strajkiem — po 14 i 18 godzin na dobę. I, ażeby ich pozyskać, jako tanią i stałą siłę roboczą, bo związaną z przedsiębiorcą umową, utrzymaniem i mieszkaniem — wyznaczyli im «z własnej woli» stałą pensję, wahającą się początkowo od 1 do 5 rubli miesięcznie, zależnie od ilości przebytych w terminie lat, a głównie o stosunku przedsiębiorcy do danego chłopca. Ja naprzykład otrzymałem 3 ruble, co było stanowczo niesprawiedliwe, bo akurat w czasie strajku skończył się czas mego terminu — 4 lata.

Tak się zdarzyło, że przedsiębiorca, u którego terminowałem, przypisywał wyłącznie mnie wszystkie zatargi, do których dochodziło pomiędzy nim a chłopcami-terminatorami w przeciągu 2 lat przed strajkiem. Mnie również przypisywał inicjatywę sabotażu, a nawet zrobił mi ten zaszczyt, że podejrzewał mnie o «buntowanie» czeladników i nazywał «buntownikiem», za którym tęsknią cele X pawilonu. Za to «buntowanie» postanowił sam osobiście mnie ukarać, przetrzymując długo w terminie i nie wyzwa-

¹ W kilkunastu piekarniach chłopcy w czasie strajku pracowali i organizacja strajkowa nie przeszkadzała w tem.

lając na czeladnika tak długo, aż się «udam do niego w pokorę».

Wiedziałem, że na mocy ustawy cechowej z 1816 roku majster ma prawo «za karę» przetrzymać chłopca w terminie jeden kwartał, ale nie wiedziałem, że istnieje prawo, według którego w żadnym fachu terminator nie może zostać wyzwolony na czeladnika, o ile nie złoży egzaminu z ukończenia 4 klas niedzielnej szkoły rzemieślniczej. Niewątpliwie o istnieniu tego prawa wiedział doskonale tak mój, jak i inni przedsiębiorcy piekarscy, a jednak żaden z nich swoich chłopców-terminatorów do szkoły nie posyłał. Dlaczego? Bo ominięcie tego prawa taniej ich kosztowało, niż jego wykonanie. Kara za nieobecność chłopca-terminatora w szkole wynosiła 30 kopiejek, a wartość dnia roboczego tego chłopca wynosiła conajmniej 1 rb. 50 kop. Ja w naiwności swojej nie mogłem zrozumieć, jak można żądać świadectw ukończenia szkoły od chłopców, których się do tej szkoły nigdy nie posyłało. Wkrótce przekonałem się, że to, czego ja nie mogę zrozumieć i co mnie wydaje się niemożliwym, jest jednak faktem i że w takim położeniu, jak ja znajduje się kilkudziesięciu terminatorów piekarskich, którzy ukończyli naukę rzemiosła, a świadectw z tego ukończenia otrzymać nie mogli.

Położenie moje było tego rodzaju, że albo musiałem «udać się w pokorę» do swego przedsiębiorcy, albo zostać «wilkiem». Wielu przedsiębiorców, aby wypełnić zobowiązania w stosunku do swoich terminatorów, znajdowało takie wyjście, że albo poprostu kupowali u nauczycieli potrzebne świadectwa, albo posyłali terminatorów na prowincję do powiatowych miast, gdzie prawo to nie obowiązywało, bo nie było tam odpowiednich szkół — aby któryś z miejscowych przedsiębiorców za umówioną op-

łatą wyzwał ich jako swoich uczniów. Gdybym był terminatorem «pokornym», przedsiębiorca mój byłby mnie wyzwolił na czeladnika, omijając prawo, jak to zrobił w stosunku do innego terminatora, któremu również w tym czasie kończył się 4-letni okres nauki rzemiosła. Ale ja nie mogłem i nie chciałem prosić o to, co mi się słusznie należało, bo było przeze mnie zapracowane. Na moje kilkakrotne zapytanie, kiedy otrzymam świadectwa czeladnicze, przedsiębiorca mi odpowiadał, że nie wcześniej, aż złożę wymagany egzamin, wiedząc, że złożyć go nie mogę, bo się nie uczyłem.

Rozumiałem, że jest to ze strony przedsiębiorcy podła zemsta na mnie. Byłem zaś przekonany, że, jako członek partji socjalistycznej (a uważałem się za takiego, opłacając składkę partyjną już w przeciągu 2 lat i czytając literaturę partyjną) ulec, prosić o to, co mi się święcie należy — nie mogę, nie poniżając siebie i towarzyszy. Postanowiłem więc rozpocząć z przedsiębiorcą walkę. Odszedłem po odbyciu 4 lat i 9 miesięcy terminu 1-go maja 1898 roku jako «wilk», to jest niewyzwolony na czeladnika chłopiec, nie mający według praw cechowych prawa pracować w piekarni.

Choć wszyscy czeladnicy przyznawali mi bezwzględną słuszość, jednak niektórzy śmieli się ze mnie, bo uważali, że podejmuję nierówną walkę i pierwszej zdechnę z głodu, niż wygram sprawę z bogatym. Byli jednak już członkowie partji, co dodawali mi otuchy i pomagali, jak mogli, nie byłem sam. Pomocy od rodziny nie miałem żadnej i nie prosiłem o nią.

Wspominając te dalekie czasy, mimowoli porównyuję je z tem, co jest obecnie w ojczyźnie światowego proletariatu — w ZSRR.

Wówczas młodociany robotnik, aby uzyskać kwalifikację i prawo do samodzielnego zarabkowania, musiał iść na 4—5 lat do dobrowolnej niewoli, do majstra — przedsiębiorcy i nie tylko pracować dla niego przez ten okres bezpłatnie, ale i być obiektem skrajnego wyzysku, jakiegoby nigdy nie wytrzymało żadne zwierzę pociągowe.

Dziś w ZSRR każdy młodociany robotnik jest wszechstronnie ochraniający przez prawodawstwo proletariackiego państwa, ma możliwość stać się wszechstronnie wykwalifikowanym robotnikiem danego zawodu i stoją przed nim otworem podwoje zarówno wszystkich specjalnych, jak ogólnych instytutów, akademij i uniwersytetów.

Wówczas młodociany robotnik, skończywszy naukę jakiegoś rzemiosła, czy fachu i stając się wykwalifikowanym rzemieślnikiem, przechodził z kategorii pracujących bezpłatnie, do kategorii pracujących za wynagrodzeniem, którego jednak nigdy nie wystarczało, aby żyć po ludzku. Zawsze i wszędzie pozostawał obiektem wyzysku kapitalistycznego, bydłem roboczym, nie posiadającym żadnych praw z wyjątkiem prawa sprzedaży swojej siły roboczej, gdy ta znajdowała nabywcę, i zdychania z głodu, gdy jej kupić nie chciano. Dziś w ZSRR każdy młody robotnik po ukończeniu praktyki, czy szkoły, dających pewną kwalifikację, ma bezwzględnie zapewnioną pracę i odpowiednie wynagrodzenie i ma zagwarantowane prawo czynnego udziału w życiu politycznym i społecznym, w rządzeniu państwem proletariackim i w budownictwie socjalistycznym.

Po odejściu od swego przedsiębiorcy i oddaniu do sądu sprawy o świadectwa czeladnicze zamieszkałem na przedmieściu Warszawy, Pradze u rodziców swego przyjaciela. Ojciec jego był inwalidą wojny tureckiej i pracował jako magazynier białizny w łaźni, a matka — w tejże łaźni pra-

cowala jako praczka. Mieli czworo nieletnich dzieci i mieszkali w jednym pokoju o jednym oknie.

Gospodarze moi wczesnym rankiem szli oboje do pracy, a wracali dopiero o godzinie 7 — 8 wieczorem. Na dzieci dwoje mlodszych dzieci szlo do pobliskiej ochronki, a starsze spedzaly czas w pobliskim parku. Dzieci sie karmily chlebem i wedlina, jaka im rodzice zostawiali na caly dzien. Poniewaz mieszkanie bylo ciasne, wiec mialem lozko wspolnie z najstarszym chlopcom, za co placilem 2 rb. miesiecznie. Urzadzilwszy sie z mieszkaniem, postanowilem wziac sie do nauki i w tym celu zapisalem sie do jedynie wowczas dla robotnikow w Warszawie dostepnej czytelnicy warszawskiego Towarzystwa dobroczynnosci, aby miec ksiazki, ktorych juz bylem bardzo spragniny.

Wcale nie wiedzialem, co czytac pierwszej i jak czytac. Kiedy zapytalem o to studenta, wydajacego ksiazki, dal mi historie Polski, a pozniej sam juz sobie wzialem historie cywilizacji Senjobosa i Bokla. Historie powszechna przeczytalem dopiero w X pawilonie. Z historii Polski dowiedzialem sie i rozumialem tylko tyle, ze byli tacy a tacy krolowie i panowie, ktorzy przez 800 lat darli sie pomiedzy soba o to, kto ma rzadzic i korzystac z rzadzenia Polska, jako majatkiem, ale, czym byl naprawde ten majatek i na czyj koszt odbywala sie ta osiemsetletnia zabawa, nie dowiedzialem sie nic. Chlop — pracownik, ktorego pracą istniało to wszystko, byl tylko «tlem tego pieknego obrazu» (t. j. historii Polski), jak mawial polski pisarz Gomulicki. Ale jak to sie stalo, ze ten chlop, ten «smerd» w ciagu calych setek lat godzil sie byc tylko bydlciem roboczem — na to pytanie otrzymalem odpowiedz dopiero znacznie pozniej. I o buntach chlopskich w Polsce dowiedzialem sie nie z dzieł historycznych, lecz z powiesci Kraszewskiego.

Z historii cywilizacji dowiedzialem sie, ze to, co jest obecnie, to jest ten burzazynny ustroj spoleczny, nie istnial zawsze, bo sie wszystko na swiecie zmienia i udoskonala, «ulega powolnej, lecz systematycznej ewolucji». Nie pocieszyla mnie zbyt «powolnosc ewolucji» ktora Senjobos specjalnie podkreśla. Od Bukla dowiedzialem sie, ze w historii ludzkości istnieje prawo «przyczyn i skutkow», ze wielka rewolucja francuska byla nastepstwem strasznego ucisku i wyzysku, jakiemu podlegali ze strony krola i szlachty francuskiej chlopcy i rzemieślnicy. Bukle dal mi nawiecej, bo nauczyl mnie myslec.

Pomocy w nauce nie mialem od nikogo, a kiedy zwróciłem sie o taka pomoc do znajomego inteligenta, wysmial mnie, mowiac: «Po co piekarzowi nauka? Powinien on starac sie o to, aby stac sie wlascicielem wlasnej piekarni, a do tego, do tego naprzyklad znajomosc historii jest niepotrzebna. Polska ma az za duzo inteligentow, uczonych, ale brak jej dobrych rzemieślnikow». Wiecej sie o podobna pomoc nie zwracalem do nikogo z inteligentow z wyjatkiem towarzysza Trusiewicza, o czym bedzie mowa nizej. Musialem narazie dawac sobie rade sam. Czytywalem regularnie organ owczesnej PPS — «Robotnik», z ktorego dowiadylam sie o warunkach pracy w fabrykach i warsztatach i cosniecos o sprawach politycznych, w ktorych sie jednak orjentowalem slabo. Stosunkowo nawiecej daly mi broszury W. Libknechta (ojca Karola Libknechta, ktory zostal zabity przez faszystow razem z Różą Luksenburg.) — «W obronie prawdy» i «Wiedza to potega». Daly mi one duzo materialu do myslenia i uzasadnily naukowo to, czego nauczyl mnie zycie, to jest, ze my — robotnicy pracujemy na majstrow i przedsiebiorcow, a nie oni na nas i ze nastepstwem tego jest i byc musi antagonizm klasowy, wy-

wołany przeciwieństwem interesów i przejawiający się codziennie i na każdym kroku.

Najbardziej «naukowa» książka nie zdołałaby mnie przekonać, że jest to wymysł socjalistów i że w rzeczywistości istnieje zupełna zgodność interesów. Zarówno ja, jak i moi najbliżsi towarzysze, członkowie partji, wyrobiliśmy już sobie pewien światopogląd, wyrażający się w zdecydowanie wrogim stosunku do społeczeństwa burżuazyjnego i państwa. Uważaliśmy, że istnieją tylko dwie sytuacje: albo się kogoś wozi na swoim karku, albo się jest wożonym. My należeliśmy do pierwszej kategorii i nasz stosunek do jeżdżących na naszych karkach był jasny — musieliśmy z nimi walczyć na śmierć i życie. Ale, ponieważ wróg był nie tylko silny, ale i mądry, więc aby z nim skutecznie walczyć, trzeba było się uczyć, dużo uczyć, aby mu sprostać.

Oszczędności, jakie posiadałem, odchodząc od swego przedsiębiorcy, wynosiły około 20 rb. i wystarczyły mi przy wielkiej oszczędności na maj i czerwiec. Ale kiedy wydałem ostatnie grosze, zaczął się dla mnie okres głodu, ciągnący się aż do września, kiedy dostałem czasową pracę w piekarni, a później w fabryce na Kamionku. Czem i jak żyłem przez te dwa miesiące, nie wiem, ale faktem jest, że często po parę dni nic zupełnie nie jadłem. Jakie uczucia mają głodujący mieszczańscy poeci, dowiedziałem się w kilkanaście lat później z powieści K. Hamsuna. Ja miałem tylko zwyczajne uczucie głodu, czasem mocne osłabienie i gorączkę, ale ponad tem wszystkim górowało uczucie głębokiej nienawiści do sytego «społeczeństwa» burżuazyjnego, które mnie, młodego i chcącego pracować, zmusza do głodu.

Ówczesne «społeczeństwo» polskie było rzeczywiście bardzo syte i wysoce zadowolone z «dobrych czasów» i

samo z siebie i miało po temu poważne powody, bo stworzony przez polską burżuazję t. zw. «program pracy organicznej», t. j. program bogacenia się i dorabiania bez względu na drogi i środki — został wspaniale zrealizowany.

Rozwój przemysłu, szczególnie włókienniczego i metalowego, postępował w tym czasie bardzo szybko, dzięki rosyjskim rynkom zbytu. Pozatem zarówno w Warszawie, jak i w innych miastach powstały w tym czasie dziesiątki i setki fabryk, fabryczek i warsztatów, wyrabiających i wysyłających do Rosji setki tysięcy i miliony par obuwia, ubrań, rękawiczek i tp. W samej tylko Warszawie pracowało na eksport 20 tysięcy szewców. Był to naprawdę świetny okres dla przemysłu i handlu w Polsce. Burżuazyjne gazety zachłystywały się z radości, że: «w naszym kraju kwitnie dobrobyt». Czasami tylko, i to bardzo ostrożnie, aby nie rozgniewać «władzy» mruknęły coś półgłębkiem, że «niestety, ten dobrobyt, jaki kraj nasz posiada z łaski najjaśniejszego pana (Mikołaja II) w małym tylko stopniu dotyczy ziemianstwa (właścicieli ziemskich i inteligencji)». I rzeczywiście, jak to można było sądzić z kronik B. Prusa¹, właściciele ziemscy bankrutowali, a masa inteligencka, nauczyciele, literaci, artyści — cierpiała prawdziwą nędzę dochodziła do przekonania, że jest jej zawiele. «Najjaśniejszy pan» nie pozwalał ich przyjmować do swoich urzędów, a najjaśniejszy kapitał nie potrzebował ich tylu, ilu ich było do wzięcia.

Inaczej było z robotnikami. Ci mieli do sprzedania tylko swą siłę roboczą, a nie sumienie i cześć. A na tę siłę był duży popyt i nie przypuszczam, aby w tym czasie Warszawa liczyła wielu bezrobotnych, choć pracujący w masie swojej nie mogli pochwalić się dobrobytem.

¹ Polski pisarz i publicysta burżuazyjny.

Ja bardzo boleśnie odczuwałem swoje przymusowe próżniactwo, widząc dookoła tylko ludzi zajętych pracą i względnie sytych. W poszukiwaniu pracy chodziłem po różnych fabrykach i warsztatach, które ogłaszały w gazetach, że potrzebują robotników i w przeciągu krótkiego czasu pracowałem kolejno w kilku drukarniach, litografii, szlifierni szkła i w fabryce szuwaksu. Nie pamiętam już dzisiaj, z jakich powodów mnie wydalonono, dość, że pracowałem w tych zakładach zaledwie parę dni. Najdłużej pracowałem w szlifierni szkła, gdzie zarabiałem 30 kop. dziennie. W fabryce szuwaksu płacono mi aż 40 kop. dziennie, ale przy robocie tej tak bardzo niszczyło się ubranie, że po tygodniu musiałem je rzucić. Wziąłem się następnie do sprzedawania gazet na ulicy.

W tym czasie odbyła się moja sprawa z przedsiębiorcą, którą, pomimo mądrej, gorącej mowy adwokata mego przedsiębiorcy — wygrałem. Adwokat ten w mowie swojej dowodził sądowi, że nie mam prawa żądać świadczeń i odszkodowania, ponieważ odszedłem z terminu samowolnie. byłem buntownikiem, sam nie chciałem pracować i buntowałem innych, przez co nabawiłem swego chlebowadce wielu strat. Była to dopiero pierwsza instancja. Walka z przedsiębiorcą kosztowała mnie dużo nędzy i głodu, a jego tylko trochę pieniędzy.

Przyjaciele moi, występujący w sprawie, jako świadkowie, wzięli mnie do roboty do piekarni żydowskiej w Piasecznie pod Warszawą, gdzie obaj pracowali. Praca była nieciężka i zarobek, o jakim nawet marzyć w swoim położeniu «wilka» nie mogłam — 2 rb. 50 kop. lonu tygodniowo i 45 kop. dziennie na życie. To też po kilku tygodniach sprawilem sobie ubranie i obuwie, którego bardzo potrzebowałem.

Ciekawy był stosunek do mnie właściciela piekarni, któregośmy nazywali ojciec Mendel. Wiedząc, że nie jestem jeszcze formalnie czeladnikiem, nie chciał mi, jako majster, mówić «panie», a nie mógł zwracać się do mnie na «ty», więc mówił mi «uno», np.: «Dlaczego uno zrobiło zamało czarnego chleba», ale to były drobnostki, na które nie zwracałem uwagi, bo z towarzyszymi pracowało się lekko, wesoło, i żal było rozłączać się, kiedy się skończył sezon i trzeba było wracać do Warszawy i znowu być bezrobotnym.

Po powrocie do Warszawy skomunikowałem się z organizacją i otrzymałem parę numerów «Robotnika» i «Przedświtu», organów PPS¹.

«Robotnik», redagowany wówczas popularnie i zrozumiale, pisał o naszych sprawach robotniczych i był dość chętnie czytany przede wszystkim dla braku innych pism socjalistycznych. Natomiast «Przedświt», przeznaczony głównie dla mieszczańskiej inteligencji, pisał bardzo górnym stylem i o sprawach mało wówczas dla robotników zrozumiałych, jak np.: «Czy międzynarodowy proletariąt jest bezpośrednio zainteresowany w odbudowaniu niepodległej Polski, albo: «Czy odbudowanie niepodległej (naturalnie burżuazyjnej i w następstwie — faszystowskiej Polski, jaką ona jest dzisiaj) — Polski może przyspieszyć zaprowadzenie w Polsce ustroju socjalistycznego» — był przez robotników mało, a najczęściej wcale nie czytany. Dla nas robotników idea międzynarodowej solidarności proletariatu była w owych czasach czemś tak cudownie pięknym, że aż mało prawdopodobnym, bośmy nie widzieli

¹ PPS — Polska Partja Socjalistyczna, była partją socjalistyczną, która za główne swoje zadanie uważała wyzyskanie robotniczego ruchu socjalistycznego dla walki o niepodległość burżuazyjnej Polski.



przejawów tej solidarności, ale bardzo niewiele nas ciekawiło, czy proletariąt zagraniczny będzie popierał sprawę niepodległości, bo sama ta sprawa była nam — robotnikom doskonale obojętna.

W tym czasie dostałem książkę Smajlsa «Samopomoc» i przeczytałem ją bardzo uważnie, a ponieważ miałem już za sobą pięć lat dobrej szkoły życia robotniczego, więc nienawidziłem serdecznie nauki i kultury burżuazyjnej, która jest tak bezwzględnie podła, że nie ograniczyła się do zwykłego wyzysku robotnika, ale starała się go jeszcze ogłupić. Byłem głęboko przekonany, że ci Smajlsowie są za mądrzy, aby sami mogli wierzyć w to, co piszą, mianowicie, że każdy robotnik własną pracą i oszczędnością może się stać bogatym, a przynajmniej uzyskać niezależność materialną, więc piszą świadome kłamstwo, za dobre pieniądze, zapłacone przez burżuazję, aby ogłupiać robotnika i odciągnąć go od walki z posiadającą bogactwa burżuazją. Ta książka Smajlsa nauczyła mnie krytycznie się



zapatrywać na książki «naukowe», traktujące o robotnikach i ostrzegać przed takimi książkami towarzyszy, którzy jeszcze wierzyli w ich naukowość.

Wkrótce po powrocie z Piaseczna, moje kilkarublowe oszczędności wyczerpały się i trzeba było znowu porzucić naukę i myśleć o jakimś zarobku. A ponieważ sprawa otrzymania moich czeladniczych świadectw nie była jeszcze rozstrzygnięta, a pracować w piekarni w charakterze «wilka» nie chciałem, więc pozostawało mi znowu szukanie zarobku poza piekarnią, to jest poza swoim fachem, którego się prawie pięć lat uczyłem. Dzięki znajomości, jaką zawarłem z młodymi robotnikami w czytelni, udało mi się przy ich pomocy uzyskać pracę w fabryce tasien gumowych «Jege-ra i Cyglera» na Kamionku na Pradze.

Fabryka ta wówczas zatrudniała około 300 robotników, prawie wyłącznie młodzieży obojga płci. Wśród starszych wiekiem robotników było 4—5 majstrów i szpinerów (przędzarzy) i kilkunastu szwaczy i szwaczek, którzy szyli

pasy, szelki, podwiązki itp. Szpinerzy stawiali i doglądali maszyny, które tkwały i plotły taśmy najróżnorodniejszych gatunków i rozmiarów.

Ja zostałem «szpulownikiem», to jest nawijałem jedwabną przędę z motków na szpulki do maszyn. Otrzymywałem za to początkowo 35—40 kop. dziennie, a po miesiącu pracy — 45 kop. Niewiele większą płacę otrzymywała większość młodych robotników. Wykwalifikowani robotnicy szpinerzy zarabiali od 1 rubla 15 kop. do 1 rubla 30 kop. dziennie. Praca trwała od 7 rano do 8 wieczorem z półgodzinną przerwą na śniadanie i półtoragodzinną na obiad.

Po kilkutygodniowej pracy zostałem przyjęty do miejscowej organizacji fabrycznej, składającej się przeważnie z młodych chłopców, z którymi poznałem się w czytelnicy. Paru z nich już było członkami PPS, więc porozumiewaliśmy się przy pomocy kwitów za opłacone składki partyjne, na których była połówka stempla partyjnego. W pięciu czy siedmiu zaczęliśmy się naradzać nad urządzeniem strajku w celu wywalczenia przynajmniej podwyżki płacy i o ileby się dało — skrócenia dnia roboczego, choćby o jedną godzinę.

Najważniejszą sprawą była jednak podwyżka płacy zarobkowej, bo dla większości młodzieży robotniczej praca fabryczna była zajęciem stałym, a zarobek — jednym środkiem utrzymania własnego, a często utrzymania rodziny. Z drobnymi wyjątkami młodzież ta była dziećmi robotników warszawskich, albo okolicznych. Bez względu na większość nas odżywiała się «suchem», to jest jakąś taną wędliną i herbatą. Gotowane jedzeniem jedliśmy tylko w niedziele i święta. Taki «suchy» obiad, śniadanie, czy kolacja składały się zwykle z pół lub funta chleba, ćwierci funta wędliny i bańki herbaty, co razem kosztowało —

25—28 kop., to jest dwie trzecie zarobku dziennego. Mający na utrzymaniu rodziny żyli samym tylko chlebem i herbatą. Wobec tego sprawa podwyższenia zarobków była dla wszystkich zrozumiałą koniecznością i strajk miał wszelkie szanse powodzenia. Szanse zwycięskiego strajku zwiększała znacznie ta okoliczność, że lepiej płatni, a więc «rozważniejsi» robotnicy, wykwalifikowani, gdyby nawet chcieli, nie mogli przeciwdziałać strajkowi, bo stanowili zaledwie $\frac{1}{10}$ część ogółu robotników i sami pracować nie mogli. Poza to dowiedzieliśmy się od naszego chłopaka, który pracował w kantorze, że fabryka miała dużo obstalunków, a zapasów gotowego towaru nie było.

Odbito na hektografie — zdaje się, że z pomocą PPS — odezwę z żądaniami. Strajk zaczęliśmy jakoś w drugiej połowie grudnia 1898 roku, trwał on, zdaje się, przeszło tydzień i został przez nas całkowicie wygrany. Uzyskaliśmy podwyżkę zarobków przeciętnie o 25 proc., tak, że najniższy zarobek miał wynosić 54 kop. dziennie, i przedłużenie przerwy obiadowej o pół godziny, czyli skrócenie dnia roboczego z 11 do 10 i pół godzin.

W układach strajkowych brał udział, jako «urzędowy» obrońca robotników, inspektor fabryczny, który, choć często pijany, zachowywał się jednak przyzwoicie. W czasie strajku kilku policjantów pilnowało fabryki, nie wtrącając się do strajku. Taki stosunek policji tłumaczył się tem, że była ona zajęta przy odsłonięciu pomnika Mickiewicza w Warszawie, gdzie miała być manifestacja narodowo-socjalistyczna, a w samej rzeczy nie było nic.

Administracja fabryki wskutek tego strajku wydalila kilku robotników bez żadnych motywów, co znaczyło, że są wydaleniem za udział w kierownictwie strajku i bez dwutygodniowego odszkodowania. W liczbie wydanych by-

lem i ja. Ponieważ uważaliśmy, że odszkodowanie takie słuszenie nam się należy, więc udaliśmy się ze skargą do inspektora, a kiedy ten zbył nas niczem, bojąc się narazić fabrykantowi, od którego brał łapówkę, udaliśmy się do starszego inspektora, popularnego wśród robotników liberala i dzięki, jego interwencji nasze dwutygodniowe zarobki zostały nam wypłacone.

Praca w tej fabryce i udział w strajku nauczyły mnie bardzo dużo. Przedewszystkiem przekonałem się, że wśród robotników fabrycznych niema przesądów kastowości cechowej, niema «panów czeladników», niema chłopców, których uczy się, bijąc. Przekonałem się, że robotnicy fabryczni, nawet wykwalifikowani, nie mówiąc o niewykwalifikowanych, wolni już byli od wszelkich marzeń o pozostaniu samodzielnymi przedsiębiorcami. W fabrykach byli tylko robotnicy mniej lub więcej wykwalifikowani i lepiej lub gorzej zarabiający, ale zawsze będący, nawet często i we własnej świadomości, tylko żywym dodatkiem do maszyny, bez której najczęściej tracili swoją kwalifikację i dlatego nie mogli mieć podstaw do marzeń o samodzielności.

Pod względem świadomości klasowej robotnicy fabryczni w masie swojej nie stali niżej od piekarzy, a pod względem zainteresowania się życiem poza fabryką np. zainteresowania książkami — młodzież robotnicza, z jaką się zetknąłem w fabryce, stała niewątpliwie wyżej od młodzieży piekarskiej. Byłem z wieloma z nich na odsłonięciu pomnika Mickiewicza i długo później z nimi utrzymywałem stosunki i dostarczałem im już naszej esdeckiej literatury.

Ponieważ z tej pracy w fabryce nietylko nie mogłem uciulać żadnych oszczędności, ale nawet nie mogłem całkowicie opłacić zaległości za komorne i pranie, więc gospodarze moi zaczęli mi trochę dokuczać, podśmiewując

się ze mnie, że, będąc czeladnikiem w swoim fachu, pracuję jako chłopiec. Więc zarówno ze względu na rosnący głód, jak i na to, że dostać pracę w charakterze chłopca gdzieś w fabryce przy warsztacie było mi coraz trudniej, bo paszport mój opiewał na lat 20 — postanowiłem starać się o pracę w piekarni poraz pierwszy i ostatni w Warszawie w charakterze «wilka».

Dostałem pracę w małej piekarni chlebowej — na Budach w Warszawie, gdzie pracował mój stary znajomy piekarz Czarnecki, który mnie wciągnął do tej roboty. Czarnecki, socjalistą nie był i do organizacji nie należał, ale był członkiem naszego związku i naszym bliskim sympatykiem. Praca nasza była dość ciężką, bośmy musieli codziennie we dwóch robić dwa dość duże ciasta chlebowe, co wymagało nateżenia wszystkich naszych sił, jednak szła nam dobrze i zgodnie i była urozmaiconą piękną grą na skrzypcach mieszkającej przez ścianę siostry naszego przedsiębiorcy.

Czarnecki był rzadkim typem piekarza, nie pijącym wcale wódki i mającym dość duże odczytanie. Prawda, że jego lektura, jak sam przyznawał, była bardzo jednostronna, mianowicie były to prawie bez wyjątku książki treści religijnej, co w głowie jego wytworzyło fatalny, mistyczny bigos. Zapytany przez niego, czy wierzę w nieśmiertelność duszy i w życie pozagrobowe, odpowiedziałem, że ani mi się śni wierzyć w takie głupstwa. Zauważyłem, że swoją odpowiedzią sprawiłem Czarneckiemu przykrość, jednak cofnąć tego, com powiedział, nie mogłem i nie chciałem. Postarałem się natomiast wytłumaczyć mu, dlaczego w te rzeczy nie wierzę. Powoływałem się na to, com przeczytał i na fakty z życia znane i Czarneckiemu, więc zgadzał się za mną coraz więcej, ale męczyły go jeszcze różne wąt-

pliwości w rodzaju: «Czy naprawdę niema boga i życia pozagrobowego», w które ja sam już nie wierzyłem, ale resztek jego wątpliwości rozproszyć nie mogłem.

Dalem mu do przeczytania broszurę «Wiedza to potęga» W. Libknechta, ale mi ją po tygodniu zwrócił, tłumacząc się, że czytać nie może, bo męczy go senność. Umysł jego, przemęczony ciężką pracą fizyczną, odmawiał posłuszeństwa, kiedy trzeba było nateżyć wszystkie jego siły. Przekonałem się o tem na sobie. Po 12—13 godzinnym dniu roboczym w fabryce, czy piekarni, choć byłem o 25 lat młodszy od Czarneckiego, czytając zasypiałem, albo wcale nie mogłem zrozumieć tego, co czytam¹

Ej wy, drodzy, młodzi towarzysze, komsomolcy, partyjnicy, bezpartyjni — wszyscy, którym wielka Rewolucja październikowa, kierowana przez naszą partję komunistyczną, zagwarantowała 4 i 7-o godzinny dzień roboczy i szeroko otworzyła przed wami podwoje wiedzy, — czytając te wiersze, wspominajcie, z jak ciężkim trudem zdobywali jej okrucy wasi ojcowie i stańcie się szturmowcami, zdobywającymi jej wielkie tajemnice!

Otrzymawszy pracę w piekarni, zacząłem nanowo brać udział w organizacji piekarskiej, istniejącej od lipca 1897 roku w postaci piekarskiego związku zawodowego. Stosunki moje z tą organizacją były bardzo oryginalne i dla dzisiejszego młodego pokolenia mało zrozumiałe. W przeciągu dwóch lat, to jest od lipca 1897 roku do tegoż miesiąca 1899 roku, byłem jej faktycznym członkiem i jako taki pełniłem w niej różne funkcje, bo jej kierownicy, mię-

¹ Ładnie jest o tem powiedziane w wierszu p. t. «Dumanie» — «Gdy praca nadmierna obciąża człowieka, myśl wszelka zmęczeniem spłoszona ucieka. I nic mi do tego, co było, co będzie, bom taki nieczuły, jak moje narzędzie».

dzy innemi, Rudy Adam¹⁾ traktowali mnie, jako towarzysza. Jednak nie mieli odwagi wprowadzić mnie do kierownictwa związku formalnie, bojąc się zarzutu ze strony ogółu piekarzy, że do kierownictwa związku należą chłopcy. Główną przyczyną bojaźni była niczem nieusprawiedliwiona i fatalna w swoich skutkach omyłka kierowników pierwszego strajku czy ich pepesowskich doradców, że pozostawili chłopców własnemu losowi i nie wciągnęli ich do organizacji strajku. Ten zasadniczy, ciężki błąd organizacji piekarskiej mścił się na niej bardzo dotkliwie przez całych lat 8 i został naprawiony dopiero w roku 1905.

Wszystkie wysiłki piekarskiej organizacji zawodowej, mające na celu zaprowadzenie w piekarstwie świętowania niedziel i świąt, które były świętowane przez robotników innych fachów i gałęzi przemysłu, nie mówiąc już o zarobkach i godzinach pracy, które nie uległy żadnej zmianie przez lat osiem, były paraliżowane i łamane przez przedsiębiorców tylko dzięki temu, że mogli oni stale przeciwstawiać chłopców strajkującym czeladnikom. Były piekarnie, w których na 16—20 chłopców, pracowało 1—2 czeladników, a w bezwzględnej większości piekarń chłopcy stanowili conajmniej $\frac{1}{3}$ ogółu robotników. Chłopcy, jak i przed strajkiem pozostawali pod wyłączną «opieką» majstrów i przedsiębiorców. Ci zaś, widząc, że zakonspirowana organizacja, której się bali, nie wtrąca się do tej «opieki», korzystali z niej w ten sposób, że «dobrowolnie» zaczęli płacić chłopcom coraz wyższe wynagrodzenia i stawali się zastępować czeladników chłopcami. Rezultatem tego były niebywale w fachu piekarskim bezrobocie i nędza.

W takich warunkach praca i walka organizacji piekar-

¹ Adam Jagodziński — obecnie pracownik partyjny na Ukrainie Radzieckiej.

skiej była podwójnie ciężka i żmudna. Dziesiątki razy zaczynało się od początku to, co zdawało się być zrobione. W przeciągu 4 lat, to jest od 1898 do 1901 roku przeprowadzono kilkanaście strajków częściowych, obejmujących po parę piekarni. W czasie tych strajków często trzeba było siłą usuwać specjalnie piekarzy, bo panował tak niebywały brak pracy, że wielu z nich wołało pracować w niedzielę i święta, to jest 7 dni w tygodniu, a nawet godzić się na przyjmowanie przez przedsiębiorców większej liczby chłopców, niż zostać zupełnie bez pracy i zdychać z głodu. Niektórzy przedsiębiorcy, aby zagwarantować takim chętnym do pracy «wolność» pracy, zwracali się o pomoc do carskiej policji. To zmusiło organizację do stosowania «odezw z lasu», to jest kija¹. Kije dawało się nie tylko robotnikom, którzy nie chcieli słuchać organizacji i dla których odezwy papierowe były niedość przekonywające, ale przede wszystkim majstrom i kierownikom piekarni, którzy dla otrzymania specjalnych nagród pieniężnych od przedsiębiorców, nie tylko zmuszali robotników do nadmiernej pracy, ale szykanowali ich w najpodlejszy sposób, a często, wymuszali pod groźbą wydalenia łapówki pieniężne lub «fundy». Do takich panów organizacja posyłała trzech czy czterech towarzyszy, uzbrojonych w specjalne kije, stanowiące ich własność i zależnie od winy karała ich «postraszyć» lub posłać do szpitala. Wobec tego, że członkowie organizacji piekarskiej, zajmujący się robotą «kijową», wkrótce się rozkonspirowali o tyle, że znali ich już wszyscy kandydaci do kijów, organizacja piekarska za-

¹ Teror ekonomiczny zaczęła organizacja piekarska stosować w dużej mierze pod wpływem pepesowskiego «Robotnika», który go propagował, jako najskuteczniejszy środek walki z kapitalistami. Zdecydowanie występować przeciwko stosowaniu teroru ekonomicznego zaczyna dopiero SDKPiL w latach 1906—1907.

warła umowę z organizacją stolarzy i metalowców, które również przeprowadzały częściowe strajki i również musiały stosować «odezwę z lasu»: piekarze chodzili na robotę do nich, a oni «pracowali» u piekarzy.

Ale pomimo to wszystko, pomimo niebywałych wysiłków było to tylko szarpanie się, drobna, codzienna walka, dzięki której zaledwie można było utrzymać najgłówniejsze zdobycze pierwszego strajku i po przeszło dwuletniej prawie i bez przerwy trwającej walce zaprowadzić świętowanie niedziel i świąt. Dopóki nasze kijaszki spadały na głowę niektórych robotników i najemnych majstrów i kierowników piekarni, policja nie wtrącała się do tej sprawy, ale kiedy w czerwcu 1900 roku, dostał kije sam starszy majstr piekarskiego cechu, a nawet go trochę pokłuto za denuncjację — zaczęły się wśród piekarzy areszty, a następnie i zesłania. Z sześciu aresztowanych — trzech po kilkumiesięcznym więzieniu zesłano na trzy lata do północnych gubernij Rosji.



W styczniu, czy lutym 1899 roku poznałem się z młodym piekarzem Masłowskim. Był to pierwszy, jak na owe czasy, naprawdę inteligentny robotnik; umiał w porównaniu z tem, co wiedziałem ja, bardzo dużo i nauka przychodziła mu z ogromną łatwością. Pochodził z Poznańskiego i skończył tam kilka lat szkoły miejskiej, a znając język niemiecki, miał możliwość zapoznania się z niemiecką literaturą socjaldemokratyczną. Poza tem grał bardzo ładnie na skrzypcach. Był on, jakbym to dzisiaj określił, naturą artystyczną. Wesół, trochę lekkomyślny, lubił się bawić, lubił towarzystwo kobiece, a nade wszystko lubił swoje skrzypce, które w jego rękę śpiewały, jak żywe. Poza tem

był dobrym socjalistą i towarzyszem. On pierwszy objaśnił mi zasadniczą różnicę, zachodzącą pomiędzy PPS a SD, o której istnieniu wiedziałem przedtem bardzo niewiele. Objął mi, że PPS, do której należałem, jest partią nacjonalistyczną i dlatego jej cele są nie tylko obce, ale i poprostu wrogie sprawie robotniczej. Nie rozumiałem wtedy wcale, co znaczy słowo «nacjonalizm», ale dzięki wyczerpującym objaśnieniom tow. Masłowskiego, stałem się gorącym zwolennikiem socjaldemokracji, która walkę o sprawę robotniczą stawiała ponad wszystko i dla której walka ta była jedynym celem. Objasnień tych Masłowski udzielał nie tonem mentora, który umie cenić swoją świadomość, lecz jakby mimochodem — przy robocie. Robotą, w której ja mu zacząłem pomagać, prawie natychmiast po zawarciu znajomości, było odbijanie na hektografie zbiorku pieśni rewolucyjnych. Umiał on na pamięć wszystkie wówczas istniejące pieśni i deklamacje rewolucyjne i przepisywał je dla hektografu z pamięci. Odhektografowawszy pewną ilość egzemplarzy, rozpowszechnialiśmy je głównie wśród młodzieży robotniczej.

Masłowski był, jako rewolucyjny socjaldemokrata, uczniem starego polskiego rewolucjonisty — Marcina Kasprzaka¹, który skierował go do Warszawy — do tow.

¹ Marcin Kasprzak — robotnik, jeden z najwybitniejszych polskich robotniczych działaczy socjalistycznych, urodził się w Poznaniu w 1860 roku. W roku 1885 wstąpił do miejscowej partii socjalistycznej i przez nią znajdował się w stałych stosunkach z działającą w Polsce wówczas socjalno-rewolucyjną partią «Proletariat», niosącej wszelką pomoc i współdziałanie. W roku 1886, aresztowany przez władze pruskie za swoją działalność rewolucyjną i skazany na dwuletnie więzienie, ucieka z więzienia i przyjeżdża do Królestwa. Tu zbiera resztki rozbitej przez żandarmów organizacji «Proletariat» i łączy je luźnymi kółkami robotniczymi. Organizuje wydawnictwo literatury socjalistycznej i prowadzi szeroką robotę propagandystyczną, bezwzględnie zwalczając rodzący się już wówczas

J. Rosoła, aby pomagał w pracy nad odbudowaniem organizacji socjaldemokratycznej w Polsce. W jego mieszkaniu zawarłem w kwietniu 1898 roku znajomość z kierownikiem i organizatorem grupy socjaldemokratycznej — Janem Rosołem.

w Polsce socjal-nacjonalizm. Po czteroletniej intensywnej i wyczerpującej pracy nielegalnej, wyczerpawszy wszelkie jej możliwości, L. Kasprzak jedzie za granicę — do Londynu. Znajdowała się tam wówczas grupa byłych członków partii «Proletariat» — inteligentów (przyszłych organizatorów PPS), która już zupełnie jawnie stanęła na stanowisku socjalnacjonalizmu, zerwawszy ostatecznie z ideą socjalizmu międzynarodowego. Kasprzak ostro występuje przeciwko tej grupie, i, zerwawszy z nią ostatecznie, powraca do Poznania.

W roku 1893 Centralny Komitet PPS, aby «unieszkodliwić» Kasprzaka, jako swego zdecydowanego przeciwnika, cieszącego się, jak w Poznańskim, tak i w Królestwie dużym autorytetem wśród robotników, ogłasza go za prowokatora. Dowiedziawszy się o tem, Kasprzak jedzie do Królestwa, aby się zrehabilitować wobec robotników i nadal walczyć z PPS, ale zostaje aresztowany przy przejściu granicy. Po odsiedzeniu dwóch i pół roku w więzieniu, Kasprzak ucieka ze szpitala więziennego w Warszawie i przyjeżdża do Poznania, gdzie zostaje natychmiast aresztowany za stare sprawy. Odsiedziawszy stary wyrok, Kasprzak niezwłocznie zaczyna pracować w miejscowej SD organizacji. W roku 1900 jest kandydatem niemieckiej partii socjaldemokratycznej do parlamentu. W tym czasie, dzięki inicjatywie J. Rosoła, który wrócił z zesłania z gubernji archangielskiej, rozpoczyna się szeroka kampanja w celu zdemaskowania oszczerstw inteligentów z PPS na Kasprzaka. Począwszy od roku 1897, Kasprzak, mieszkając w Poznaniu, niesie wszelkimi sposobami pomoc wskrzeszonej w Królestwie organizacji socjaldemokratycznej, przygotowując i posyłając do Polski na nielegalną pracę cały szereg towarzyszy. W lutym 1904 roku Kasprzak przyjeżdża sam do Warszawy i staje do pracy w nielegalnej drukarni Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. 27 kwietnia tegoż roku, w czasie najścia na tę drukarnię żandarmów Kasprzak, broniąc się, zabija trzech policjantów i dwóch żandarmów.

2-go września 1905 roku sąd wojenny skazuje Kasprzaka na karę śmierci, a 8-go tegoż miesiąca wyrok zostaje wykonany.

Kasprzak wszedł na szafot z okrzykiem: «Niech żyje rewolucja!». Inteligenci z PPS nawet po sławnej obronie Kasprzaka w drukarni — nie odwołali swych oszczerstw na niego i zdobyli się na to dopiero po jego zamordowaniu przez carat, aby zrehabilitować samych siebie wobec oburzenia mas robotniczych.

Spotkanie to zrobiło na mnie bardzo głębokie wrażenie, choć byłem do niego już przygotowany przez Masłowskiego, który mi opowiedział o działalności jego i Kasprzaka. Rosół wszedł do pokoju Masłowskiego w chwili, kiedyśmy odbijali nowe wydanie pieśni rewolucyjnych. Zdziwił się narazie moją obecnością i dopiero, wysłuchawszy informacji Masłowskiego, kim jestem, podał mi twardą od pracy, robotniczą rękę. Było to faktyczne przyjęcie do swego grona.

Rosół był to średniego wzrostu, z dużą, siwą brodą, starzec (miał już lat przeszło 50) o spokojnej, poważnej twarzy i mądrych oczach. Trzymał się prosto, choć miał już za sobą nie tylko więzienie i zesłanie, ale ze 40 lat ciężkiej pracy fizycznej. Ubrany bardzo skromnie, ale nadzwyczaj czysto, mówił spokojnie i używał słów i określeń tylko prostych. Czuć było, że to, co umiał i rozumiał on, prosty robotnik, przetrwał mocno i na własny język przetłumaczył.



W czerwcu tegoż roku otrzymałem wiadomość od adwokata, że sprawa moja z przedsiębiorcą została ostatecznie wygrana, ale przedsiębiorca podobno z namowy cechu, aby nie dopuścić do szkodliwego precedensu, wypłacił wymaganą kaucję i założył kasację do senatu, to jest zagwoździł sprawę na lat 10—15, więc powodu do radości nie było. Jednak adwokaci, prowadzący kilka podobnych spraw, rozpoczęli starania przed generał-gubernatorem o rozstrzygnięcie ich administracyjnie. Widocznie starania zostały uwieńczone powodzeniem, bo po upływie paru tygodni otrzymałem z cechu wezwanie, abym się stawił po odbiór świadectw czeladniczych, które mi doręczył sam starszy majster,

Tak więc, choć z dwuletnim opóźnieniem, ale zostałem «czeladnikiem». Nie żałowałem jednak nigdy tych dwóch lat, bo gdybym się był wyzwolił na czeladnika normalnie, nie miałbym sposobności poznać i nauczyć się wielu rzeczy, jakie poznałem przez okres, kiedy byłem «wilkiem».

Chociaż w tym czasie dostać pracę w piekarni było, wskutek dużej liczby bezrobotnych, bardzo trudno, to jednak, dzięki specjalnym staraniom towarzyszy z organizacji i gruntownej znajomości fachu, już po kilkunastu dniach otrzymałem pracę i to jako odpowiedzialny «ciastowy». Dzięki serdecznemu, braterskiemu stosunkowi pracujących w tej piekarni towarzyszy i ich pomocy mogłem już po paru dniach zorjentować się w pracy i opanować ją. Przedsiębiorca, u którego otrzymałem tę pierwszą w charakterze czeladnika pracę, był znany, jako łotr z pod ciemnej gwiazdy. Za niedokładnie zrobione pieczywo nie tylko wytrącał z zarobków, ale najordynarniej wymyślał, a zauważywszy, że ktoś z jego robotników czyta, lub ma jakieś nielegalne wydawnictwo, denuncjował go do policji.

U takiego «pracodawcy» musiałem się pilnować podwójnie: jako odpowiedzialny robotnik i jako socjalista. Ale dzięki temu, że pracowało nas siedmiu członków organizacji (nie licząc pięciu chłopców — terminatorów, którzy również byli przez nas zaagitowani), — i ponieważ trzymaliśmy się mocno kupy, udało mi się w tej pierwszej robocie przepracować około pięciu miesięcy, to jest do strajku, jakiśmy urządzili w tej piekarni na tak zwane «boże narodzenie» o świętowanie niedziel i świąt, którego w niej nie było.

Praca moja była nietyle ciężka, ile wyczerpująca, bo pracowałem stale w nocnej zmianie bez żadnych przerw i świąt, jako odpowiedzialny za swój dział. Musiałem pil-

nować swoich towarzyszy-pomocników, śpiących często przy pracy, bo jedni z nich w dzień pracowali trochę w organizacji, a drudzy nie wysypiali się z innych powodów. Wstawiałem do pracy o godzinie 5-ej po południu, a kończyłem o 3—4-ej rano.

Będąc, co się zowie, nagi i bosi i naskutek tego z konieczności dbając o pracę, znacznie mniej czasu udzielałem robocie w organizacji zawodowej i partyjnej i moje bezpośrednie stosunki z nimi na czas pewien się rozluźniły, bo w dzień rzadko kogo mogłem spotkać, a wieczorami nie mogłem się z pracy zwolnić. Ale starałem się wykorzystać wolny czas w dzień, dużo czytając. Przeczytałem dostarczone mi przez Masłowskiego stare numery «Sprawy robotniczej» i bardzo zniszczoną, z brakującymi kartkami broszurę Macieja Różgi pod tytułem «Niepodległość Polski a sprawa robotnicza» oraz «Z Pola Walki», opis procesu i list «proletarijczyków», «Kobieta i socjalizm» Bebla. Niezależnie od tego brałem w dalszym ciągu książki z czyteln.

Z przeczytanych wówczas książek najwięcej skorzystałem z dzieła T. Korzona pod tytułem «Wewnętrzne dzieje Polski». Dużo mi dały zawarte w niej fakty mimo, że sam autor był reakcjonistą. Dowiedziałem się z tej książki, że Polska na długo przedtem, zanim ją podzieliły pomiędzy sobą Rosja, Niemcy, Austria, była trupem politycznym, że okrzyczana później konstytucja 3-go maja była płodem strachu, jaki obleciał bardziej oświeconych z pośród szlachty przed rewolucją francuską, płodem, którego bali się sami jego twórcy, że ciemna masa szlachecka, która wówczas jedynie stanowiła «naród», nie ze swoich przywilejów, dających jej możności pasożytowania na ciele prawdziwego narodu, chłopów — ustąpić nie chciała i nie ustąpiła,

że spodłona do gruntu kilkusetletnim pasożytnictwem, bez wahania sprzedała niezależność polityczną Polski, byleby za tę cenę otrzymać prawo pasożytowania nadal; że ostatni król Polski był tylko inteligentniejszym od swego otoczenia, słuźalcem carycy-Katarzyny, posadzonem na tronie z jej rozkazu. Dzieło Korzona było pierwszą książkę, która objaśniła mi, czym była Polska i, poza broszurą M. Różgi, miała najbardziej decydujący wpływ na mój zdecydowanie wrogi stosunek do PPS.

«Z Pola Walki» — to testament bohaterów, męczenników, którzy pierwsi oddali swe życie za sprawę robotniczą w Polsce. Wzywa on szerokie masy proletariatu do walki o wyzwolenie, o przyszłość klasy robotniczej.

Bebel w swojej książce «Kobieta a socjalizm» wskazywał ówczesnemu pokoleniu proletariatu, jaka będzie ta przyszłość.

Te dwie książki wywarły na mnie oszałamiający wpływ. Czytając je po kilka razy, aby lepiej zrozumieć i zapamiętać, upijałem się ich treścią, jak pijak wódką, i rwałem się gdzieś do czegoś, sam sobie nie zdając sprawy, że rwę się do walki w imię idealów, za które zginęli «proletarijczycy», w imię ustroju socjalistycznego. Życie i świat wydawały mi się teraz piękniejszymi. Radość życia rozpierała mi piersi. Odczuwałem ogromną potrzebę podzielenia się z innymi tem, czego się dowiedziałem, co rozumiałem. Dzieliłem się tymczasem z towarzyszami przy pracy, nawet z dużą dla tej pracy szkodą. Opowiadałem towarzyszom, o co walczyli i za co ginęli «proletarijczycy», nasi bohaterzy i jaka cudowna czeka nas przyszłość tu, na ziemi, za życia, a nie gdzieś tam na niebie po śmierci, jeżeli będziemy o nią walczyć my, wszyscy uciskani i wyzyskiwani w dzisiejszym ustroju. Opowiadania temi pociągałem towa-

rzyszy i podniecałem się sam i, gdyby nie twarda szkoła życia, jaką już przeszedłem, byłbym prawdopodobnie narobił jakichś głupstw.

Broszura Różgi¹, napisana jasno i zrozumiale, z żelazną logiką wyświetlała kwestję niepodległości Polski, a inteligencję z PPS przedstawiała jako tych, którzyby chcieli rękoma robotników zdobyć tę niepodległość, potrzebną nie robotnikom, lecz im — inteligentom.

▲
Tak mi przeszedł czas do tak zwanych świąt «bożego narodzenia», to jest do 25 grudnia, kiedyśmy urządzili strajk u naszego przedsiębiorcy i ja odeszłem z pracy. W końcu listopada tegoż 1898 roku zmarł Janusz Tański, jeden z organizatorów Związku robotników polskich. Na jego pogrzebie spotkałem poraz drugi Rosoła, ale mdał znak, żeby do niego nie podchodzić, bo była moc policji i szpiclów. Był to pierwszy demonstracyjny pogrzeb, na jakim byłem obecny, ale robotników było na nim obecnych zaledwie kilku.

W tym czasie przyjechał do Warszawy Feliks Dzierżyński, który miał pseudonim «Franek» i «Astronomek». Bardzo energicznie zajął się robotą agitacyjną i urządzał zebrania agitacyjne z członkami PPS, przeciwko której występował bardzo energicznie. Dzierżyński swoją gorącą wymową i siłą przekonania przeciągnął na stronę naszej grupy socjaldemokratycznej moc robotników z PPS. Nie byłem na żadnym z tych zebrań, na których występował «Astronomek», a kiedy powróciłem po miesiącu nieobecności do Warszawy, Dzierżyński był już aresztowany na zebraniu przy ulicy Kaliksta.

¹ Różga — pseudonim Róży Luksenburg.

Jak wielki był plon pracy agitacyjnej «Astronomka», przekonał się, urządziwszy pierwsze, duże zebranie pod pozorem zabawy tanecznej, na którym było obecnych nie jak dawniej kilkanaście, czy kilkadziesiąt, lecz już przeszło setka osób, członków partji, tak, że w trzech dużych pokojach z trudnością się mogli wszyscy pomieścić. Mieliśmy muzykę, składającą się z harmonji i skrzypiec, a tańczono mało, bo nie było miejsca. Przemawiał Rosół, a później były śpiewy i deklamowanie utworów rewolucyjnych. Rozeszliśmy się dopiero o 12-tej w nocy.

Zebrania takie urządzano zimą jako wieczorki składkowe, a latem — jako również składkowe — majówki i musiały one zastępować zupełny brak literatury, której nie mieliśmy wcale z wyjątkiem dwóch starych egzemplarzy «Z pola walki», jednego egzemplarza «Kobiety» Bebla, kilka numerów starej, bo z roku 1894-5 «Sprawy Robotniczej»¹, przechowanych przez ojca Rosoła, jako relikwie, które dawał czytać tylko najbliższym towarzyszom, kilka broszur W. Liebknechta «Wojny chłopskie», Engelsa — «Dobra nowina robotnikom wiejskim», Motz-Abramowskiej «Wskazówki», jak się zachowywać w razie aresztu na badaniach i w więzieniu.

Zaraz po powrocie do Warszawy zostałem wezwany na najbliższe zebranie u towarzysza Rosoła. Zebrania te nie miały charakteru zebrań, czy posiedzeń oficjalnych, bo właściwą organizacją była cała grupa i na zebraniach bawali zależnie od możliwości wszyscy jej członkowie. Przewodniczył zawsze tow. Rosół bez żadnego wyboru, jako najstarszy z pośród nas rewolucjonista.

Na tem pierwszym dla mnie zebraniu było obecnych oko-

¹ «Sprawa Robotnicza» wchodziła w latach 1894/5 jako organ SD Królestwa Polskiego.

ło 20 osób, tematem obrad było położenie, jakie się wytworzyło z powodu aresztu «Astronomka»-Dzierżyńskiego i nad sposobami zdobycia literatury nielegalnej. Ojciec Rosół, który utrzymywał stale stosunki listowne z pozostającymi za granicą w Niemczech towarzyszami — Różą Luksemburg, Adolfem Warskim i Juljanem Marchlewskim — zakomunikował nam wiadomość, że mają oni przysłać nam trochę literatury i inteligenta. Wiadomość ta ucieszyła nas bardzo i dodała otuchy, bośmy się obawiali, że przeszło sto członków PPS, przeciągniętych na naszą stronę przez «Astronomka» odejdzie od nas z powrotem, nie otrzymując naszej literatury. Żalowano ogromnie Astronomka, który w bardzo krótkim czasie zdołał zaskarbić sobie sympatię wszystkich, z którymi się stykał, swoim entuzjazmem i gorącym umiłowaniem sprawy robotniczej. Wszyscy byli przekonani, że gdyby nie został tak szybko aresztowany, to niewątpliwie mielibyśmy jakąś literaturę i, co niemniej ważne, choćby hektografowany program naszej partji, nad którym pracował Astronomek z Antonim Rosołem, ale nie zdążyli z powodu aresztu odbić go na hektografie. Zarówno do przyjazdu Dzierżyńskiego, jak i po jego aresztowaniu, grupa nasza nie miała żadnej pomocy ze strony zamieszkałej w Warszawie inteligencji, choć, jak się dowiedzieliśmy później od Trusiewicza, było w tym czasie w Warszawie paru naszych sympatyków, ale bali się nawiązać z nami stosunki ze względu na bezpieczeństwo swoich cennych osób.

Nie przedstawialiśmy być grupą, a nie partją aż do przyjazdu do Warszawy Trusiewicza. Nawet po przejściu na naszą stronę stu kilkudziesięciu członków z PPS — nie staliśmy się partją, bo Dzierżyński nie zdążył stworzyć organizacji, w której nowi towarzysze połączyliby się z

członkami już istniejącej grupy 50. Łączyła nas tylko wspólność przekonań i antagonizm do PPS. Robota grupy ograniczała się do organizowania zebrań, zbierania mniej więcej regularnie płaconych składek oraz hektografowania i rozpowszechniania zbiorów poezji rewolucyjnej. Poza tem zbieraliśmy stale na wszystkich zebraniach pieniądze na pomoc dla więźniów, których mieliśmy kilku. W początkach 1900 roku nasza grupa socjaldemokratyczna liczyła przeszło 50 członków. Tu podam tylko krótkie biografje najbliższych z nich:

1. Rosół Jan — szewc, brukarz, robotnik magistracki, członek partji «Proletariat», następnie Związku robotników polskich i Socjaldemokracji Królestwa Polskiego. Zesłany w roku 1895 do gubernji Archangielskiej na trzy lata. Po powrocie z zesłania, w końcu roku 1898 skupia wokoło siebie, przy aktywnej pomocy żony i syna, grupę robotników — socjaldemokratów, nazwaną przez członków partji PPS — «grupą Rosoła». Grupa Rosoła, zorganizowana i kierowana przez «ojca», jak go nazywali jej członkowie, była podstawą odbudowania organizacji socjaldemokratycznej w Polsce w postaci Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Aresztowany w końcu 1900 roku, po trzyletnim więzieniu, został w październiku 1903 roku zesłany na pięć lat do Wschodniej Syberji. Zmarł w 1912 roku w Żyrardowie.

2. Rosół Antoni, syn Jana — uczeń, posiadał, jak o tem mówi w nekrologu, poświęconym jego pamięci, Feliks Dzierżyński — wielkie wrodzone zdolności. Brał czynny udział w robocie grupy i pomagał Feliksowi Dzierżyńskiemu przy pisaniu i odbijaniu na hektografie programu partji. Aresztowany na początku 1900 roku i więziony w Cytadeli, zapada na suchoty i zwolniony naskutek tego

z więzienia, jedzie do matki, znajdującej się na zesłaniu w Kownie i tam umiera w lipcu 1900 roku.

3. **Piekarz Władysław** — szewc, lakiernik i malarz, bardzo czynny i energiczny, pracuje w zorganizowanej przezeń grupie zawodowej lakierników, następnie w grupie SD. Aresztowany w połowie 1900 roku, zostaje po dłuższym więzieniu zesłany na pięć lat do Alekmińska, okręgu jakuckiego, gdzie, pracując jako malarz, przebywa aż do końca 1905 r. Po powrocie do kraju przystępuje niezwłocznie do roboty partyjnej i pracuje kolejno jako pracownik partyjny w Warszawie, Łodzi, Zagłębiu Dąbrowskiem i Częstochowie. W r. 1906 bierze udział w piątym zjeździe SDKPiL w Zakopanem, w 1907 roku jest delegatem na ogólnopartyjny (V) zjazd SDPRR. Po powrocie z tego zjazdu pracuje na robocie partyjnej aż do końca 1908 roku. Z powodu wyczerpania wszelkich możliwości nielegalnej pracy w Polsce, ścigany przez władze carskie, z drugą żoną swoją, również członkiem partji, Janiną Krasowską, udaje się do Rygi. Tam naskutek wypadku przy pracy w fabryce «Wikander i Laszan», przez dłuższy czas choruje. Przyszedszy do zdrowia, jedzie z żoną znów do Warszawy, znowu tulają się bez mieszkania i cierpią nędzę, bo są nielegalni i prześladowani przez policję. W r. 1915 wyjeżdżają do Rosji i osiadają z dwójkiem małoletnich dzieci w Czelabińsku, a następnie — w Krasnojarsku, gdzie ich zastaje rewolucja lutowa 1917 roku. Pracują oboje jako członkowie miejscowej organizacji SDPRR (bolszewików) aż do zajęcia Krasnojarska przez bandy kolczakowskie, które ich aresztują i po kilkumiesięcznym więzieniu oboje rozstrzelują¹.

¹ Dwaj ich synowie Witold i Stefan są czynnymi członkami WKP(b).

4. **Matuszewski Wincenty** — pseudonimy «Napoleon», «Bomba», «Marcin» — krawiec damski. Był członkiem grupy, a później partji. Należał do t. zw. arystokracji robotniczej, bo, jako artysta w swoim fachu, zarabiał od 80 do 120 rb. miesięcznie, to jest trzy do czterech razy tyle, ile zarabiał wówczas średni robotnik każdego innego fachu. Mając wszelkie szanse po temu, aby zostać samemu przedsiębiorcą, Matuszewski nie poszedł tą drogą, nawet majstrem w cudzem przedsiębiorstwie zostać nie chciał. Wstąpiwszy do partji, wyrzekł się względnego dobrobytu i możliwości mieszczańskiego szczęścia. Posiadał rodzinę, której pomagał materialnie, ale z chwilą przystąpienia do pracy czynnej w partji najbliższą rodziną jego stali się towarzysze i partja. Wiosną 1900 roku ma na swoim utrzymaniu drukarnię partyjną. Jest członkiem komitetu centralnego SDKPiL i bierze udział w trzecim zjeździe partji. Po masowych aresztach w grudniu 1901 roku, pozostawszy przypadkowo na wolności, bierze na siebie cały ciężar utrzymania nadwyrężonej przez areszty organizacji partyjnej w ciągu przeszło roku. Aresztowany w połowie 1902 roku, jest pierwszym więźniem politycznym, sądzonym na zasadzie słynnego paragrafu 102 (z którego faszystowska Polska sądzi komunistów. Po odsiedzeniu kary przystępuje niezwłocznie do pracy partyjnej, którą wypełnia jako zawodowy rewolucjonista aż do roku 1912. W przeciągu tego okresu jest kilkakrotnie aresztowany i znajduje się przez pewien czas na emigracji w Krakowie i Lwowie. W roku 1914 skazany na wieczne osiedlenie na Syberji. Rewolucja lutowa 1917 roku zastaje go w Irkucku, jako czynnego członka miejscowej organizacji SDPRR (bolszewików), gdzie też został zamordowany przez mieńszewików.

5. Leśniewski Jan — pseudonim «Boer», «Burak» — szewc. Należał do grupy i bierze czynny udział w jej robocie, jako też i w robocie partyjnej. Latem 1900 roku zostaje przez Zarząd główny SDKPiL wysłany na robotę partyjną do Łodzi, gdzie organizuje miejscowy komitet SD. W r. 1901 powraca z Łodzi do Warszawy i w czasie ogólnych aresztów w grudniu zostaje też aresztowany i w r. 1903 zesłany na pięć lat do Wschodniej Syberji, dokąd się udaje razem z żoną Aleksandrą Kwiatkowską, również członkiem grupy i partji. Powraca do Warszawy w końcu 1905 roku i staje z powrotem do czynnej pracy partyjnej, jest członkiem komitetu warszawskiego partji, bierze udział w zjazdach partyjnych. W r. 1909 zostaje skazany na katorgę i osiedlenie, skąd go zwalnia w 1917 roku rewolucja lutowa. Znajduje się w ZSRR i pracuje w Narkomlechpromie.

7. Magrzyk Tomasz, pseudonim — «Murzyn», członek grupy i następnie partji, dzielny i energiczny i całą duszą oddany sprawie robotniczej. Bierze udział w trzecim zjeździe SDKPiL w 1901 roku, gdzie zostaje wybrany do Zarządu Głównego partji. Zarabiając nieźle, jako zdolny szewc, pomaga partji materialnie i wszystkie wolne chwile poświęca pracy partyjnej. Zostaje aresztowany 15 listopada na konferencji ogólnomiejskiej i po dwuletnim więzieniu zesłany wraz z innymi towarzyszami na pięć lat do wschodniej Syberji, skąd powraca w końcu 1905 r. i niezwłocznie przystępuje do pracy partyjnej. Bierze udział w zjazdach partyjnych. Aresztowany w roku 1909 i skazany na katorgę i osiedlenie, z którego zwalnia go rewolucja lutowa 1917 roku. Pracuje w SDPRR bolszewików w Irkucku aż do nadejścia band kołczakowskich, które biorą go w niewolę. Umiera w obozie jeńców w 1919 roku.

8. Masiuk Karol. Młody robotnik śląski, przysłany do kraju na robotę partyjną przez Marcina Kasprzaka. Dzielny, energiczny, oddany sprawie całą swą istotą, doskonały mówca. Był jednym z najbardziej uświadomionych robotników. Serdeczny i przyjacielski, był ogromnie lubiany przez wszystkich towarzyszy. Był członkiem pierwszego komitetu warszawskiego SDKPiL, brał czynny udział w organizowaniu manifestacji majowej w 1900 roku i manifestacji na pogrzebie Węgrzynowicza tegoż roku. Aresztowany w końcu 1900 roku. Dwuletnie przeszło więzienie w Siedlcach zupełnie zrujnowało jego zdrowie. Wysłany przez władze carskie za granicę umiera w 1906 roku w Czesławicach pod Krakowem na suchoty.

9. Bulak Józef, również młody robotnik — blacharz. Serdeczny przyjaciel Masiuka i jego uczeń. Czynny, energiczny i oddany sprawie. Nie mógł się pogodzić z zupełnym brakiem literatury socjalistycznej w naszej organizacji i dowiedziawszy się, że w Krakowie, (były zabór austriacki) można ją dostać legalnie, uskładał sobie pewną kwotę pieniędzy. We wrześniu 1900 roku bez wiedzy organizacji przedostaje się do Krakowa, gdzie, zakupiwszy pewną jej ilość, stara się ją przewieźć do kraju. Aresztowany przy powrotnym przechodzeniu granicy i zбитy przez żandarmów, umarł widocznie w więzieniu, bo odtąd wszelki ślad po nim zaginął.

10. Jagodziński Adam. pseudonim «Rudy Adam», piekarz. Najstarszy i najczynniejszy członek piekarskiej organizacji zawodowej, bo już od roku 1896 brał czynny udział w kierownictwie pierwszego strajku piekarzy w 1897. Był jednym z organizatorów zerwania tej organizacji z PPS i przejścia do grupy Rosoła. Czynny członek grupy i następnie SDKPiL. Aresztowany następnie na po-

grzebie Węgrzynowicza w sierpniu 1900 i zesłany na trzy lata do Odesy, w r. 1903 już powraca do Warszawy i pracuje w partii jako zawodowy rewolucjonista — z przerwami, wywołanymi przez areszty, aż do 1908 roku. Aresztowany w tym roku i skazany na katorgę, odzyskuje wolność dopiero w 1917 r. i do dnia dzisiejszego bierze czynny udział w robocie partyjnej.

Tacy byli członkowie t. zw. grupy Rosoła. A jej twórca — Jan Rosół nie posiadał prawdopodobnie i jednej trzeciej «urzędowej» wiedzy nawet bardzo przeciętnego inteligenta, ale czytał dużo, a przede wszystkim skorzystał bardzo wiele z obcowania ze starymi rewolucjonistami w więzieniach i na zesłaniu. Przysłuchiwał się uważnie ich sporom i dyskusjom, przetrawiał usłyszane we własnej głowie i tłumaczył na własny, prosty język.

Nie ulega wątpliwości, że my, członkowie przez niego zorganizowanej grupy, więcej umocniliśmy się w swoich rewolucyjno-socjalistycznych przekonaniach pod wpływem jego jasnych i z siłą głębokiego przekonania wypowiadanych nauk, niż gdybyśmy przeczytali najmądrzejsze nawet książki, bo do ich zrozumienia nie byliśmy wcale przygotowani. A każde słowo «Ojca» było dla nas najzupełniej zrozumiałe, jak kartoflana zupa z czarnym chlebem, którą się z nami dzielił. Tłumaczył nam, iż być nie może, aby przez przyrodę był ustanowiony taki porządek społeczny, przy którym człowiek pracujący — robotnik ma być tylko cichem, pokornym bydłem roboczym, stwarzającym swoją pracę wszystko, a nie korzystającym z niczego; zarówno cała starożytna, jak i nowożytna cywilizacja i olbrzymia wiedza ludzka i sztuki — powstały tylko dzięki pracy niewolników, niewolnictwo samo zmieniało tylko formy, a treść jego pozostała w państwach kapitalistycznych

do dnia dzisiejszego i tylko mędrcy starożytni posiadali dość szczerości, aby powiedzieć otwarcie, że nie mogą wyobrazić sobie cywilizacji bez niewolnictwa. Cuda wiedzy i sztuki są wielkie i piękne — tłumaczył nam Rosół, — a my, robotnicy, współtwórcy tego wszystkiego, o ich istnieniu nawet nie wiemy. Z caratem i burżuazją trzeba prowadzić ciągłą i nieustanną walkę, ale obalenie caratu, którego dokonać możemy tylko wspólnie z robotnikami rosyjskimi, jest jedynym środkiem wiodącym do celu, a celem być musi socjalizm — ustrój socjalistyczny.

Jak i kiedy zaprowadzony być może ten ustrój, Rosół nam nie mówił, ale mówił, co trzeba robić już dziś, aby zaprowadzenie tego ustroju przyspieszyć. Trzeba organizować się i uczyć się, dużo się uczyć, bo nie powinniśmy my, młodzi robotnicy zapominać ani na chwilę, że na niczyją pomoc liczyć nie możemy i nie powinniśmy. Inteligencja mieszczańska, z bardzo drobnymi wyjątkami ma swoje własne interesy klasowe i niezawsze pójdzie z nami, a nawet w decydującym momencie może nas zdradzić, jak to miało miejsce w 1830, a szczególnie w 1848 r. we Francji, Niemczech i Austrii, i jak to ma miejsce w Polsce, gdzie PPS ciągnie robotników do walki o swoją sprawę — niepodległości Polski, potrzebną im — inteligentom, a nie robotnikom. Ta niepodległość, o ileby jej uzyskanie było możliwe, da inteligentom posady, synekury i przywileje takie same, jakie w dawnej Polsce posiadali ich dziadowie i pradziadowie, a nam robotnikom może zamienić bat rosyjski na bat polski¹, którego smak dobrze pamiętają starsi robotnicy, a szczególnie chłopci. Środkiem, narzędziem

¹ Do roku 1864, to jest do zniesienia pańszczyzny karano batem nie tylko robotników miejskich i chłopów, ale i rzemieślników i robotników fabrycznych.

walki powinna być nasza organizacja robotnicza, która ma nas łączyć wszystkich bez różnicy fachu, czy zarobku, następnie strajki i demonstracje.

Stosunek towarzysza Rosoła do inteligencji był, jeżeli nie wrogi, to w każdym razie ostrożny. W jego głowie nie mogło się pomieścić, aby dzieci mieszczaństwa z pobudek tylko altruistycznych wyrzekały się możliwości zajęcia w społeczeństwie burżuazyjnym uprzywilejowanych stanowisk, zrywały stosunki ze swoją klasą i rodziną i szły do robotników, aby wspólnie z nimi walczyć o ich sprawę. Towarzysz Rosół znał takich inteligentów, dla których sprawa robotnicza stała się ich sprawą, bo znał osobiście niektórych inteligentów z «Proletariatu» i późniejszych organizacji, ale może właśnie dlatego, że znał, szanował i czcił tych nielicznych — bał się przygodnych pasażerów naszego wozu partyjnego, którzyby chcieli poprowadzić go do cuchnącego bagna patryjotyzmu i oportunizmu. Było to następstwem wysoko rozwiniętej czujności klasowej i doświadczenia starego rewolucjonisty.

Do naszej grupy SD już w połowie 1890 roku przystąpiły następujące organizacje zawodowe, których kierownicy byli już członkami grupy: 1) szewcy w liczbie kilkuset członków, kierownicy: Magrzyk, Leśniewski, Minich i Winklan, 2) lakiernicy — około 60 osób, kierownik Piekarz Władysław i 3) piekarze — około 200 osób, jeden z kierowników Adam Jagodziński. Organizacje te miały już za sobą kilkuletnią praktykę walki zawodowej o warunki pracy, były inicjatorami i kierownikami walki strajkowej i posiadały duże wpływy wśród nieorganizowanej masy robotników. Główną rolę w tych organizacjach grała młodzież czeladnicza.

O ile przyjazd do Warszawy Dzierżyńskiego na jesieni

1899 roku wniósł do grupy życie, energię, entuzjazm i mocne przekonanie, że PPS nie jest partją robotniczą — o tyle z przyjazdem Trusiewicza w lutym 1900 roku zaczęło się tworzenie podstaw organizacji partyjnej. Trusiewicz przyjechał jako wysłannik pozostających na emigracji Róży Luksemburg i Adolfa Warskiego, i zwrócił się od razu do Rosoła, którego znał z czasów Związku Robotniczego z 1890 r. Trusiewicz był znacznie starszy od Dzierżyńskiego, więc z tej racji został przez nas nazwany nie Astro-nomkiem, lecz Astronomem. Brunet w okularach, trochę zgarbiony, robił wrażenie starszego, niż był w rzeczywistości (liczył wówczas już lat 34 do 36). Mówił spokojnie, ale płynnie i starał się unikać wyrażen dla nas niezrozumiałych, a zapytany, objaśniał spokojnie i rzeczowo. Widać było, że posiadał duże doświadczenie jako agitator, propagandysta i organizator. Doświadczenie to, nabyte w ciągu kilkuletniej pracy wśród robotników warszawskich w latach 1889 — 1892 nauczyło go, jak objaśniać nam, robotnikom, rzeczy dla nas nieznane i niezrozumiałe w sposób, nie poniżający naszej godności ludzi dorosłych i ośmielający nas do zadawania pytań i zabierania głosu.

Prawie zaraz po przyjeździe Trusiewicza zostało zwołane u Rosoła ściśle zebranie pięciu do sześciu osób, na które ja zostałem zawezwany. Na zebraniu tem postanowiono zwołać duże zebranie, składające się z najbliższych towarzyszy, w celu wyboru komitetu warszawskiego. Zebranie to odbyło się, o ile sobie przypominam, 10 marca 1900 roku w mieszkaniu, zajmowanym przez szewca Czerwonego i Karola Masiuka przy ulicy Kaczej N. 22 w Warszawie.

Na zebraniu tem byli obecni tylko starzy członkowie grupy, to jest ci, co przystąpili do niej przed listopa-

dem-grudniem 1899 roku w liczbie dwudziestu paru osób. Wysłuchawszy referatu Trusiewicza o celach i zadaniach komitetu, zebrani dokonali wyborów przez tajne głosowanie kartkami. Zostali wybrani: 1) Kwiatkowska Franciszka — robotnica fabryczna, 2) Bandurski Julian — szewc, 3) Masiuk Karol — robotnik fabryczny — blacharz, 4) Płochocki Marjan — piekarz i 5) Draba Ludwik Dawid-murarz. Był to pierwszy warszawski komitet socjaldemokratyczny. Większość jego członków stanowiła młodzież, bo Draba i Bandurski byli w jednym ze mną wieku.

Zakres działalności tego komitetu był narazie bardzo skromny, ponieważ nie mieliśmy ani literatury, ani drukarni, ani żadnych prawie środków materialnych. Zaraz na pierwszym posiedzeniu zdecydowano wydanie odezwy o powstaniu i zadaniach komitetu. Ponieważ wiedzieliśmy z doświadczenia, że odezwa, odbita na hektografie, nie zrobi dość silnego wrażenia, jako «pisana» — więc postanowiliśmy nabyć t. zw. drukarnię kieszonkową z kauczkowymi czcionkami. Drukarnia taka kosztowała 8 do 12 rubli, to jest sumę na nasze stosunki dość dużą, to też wydaliśmy na jej kupno całą prawie zawartość naszej kasy, ale za to już w przeciągu kilku dni mieliśmy «swoją drukarnię», na której zaczęliśmy «trześć» odezwę komitetu. W rzeczywistości «trzeźanie» to odbywało się bardzo powoli, bo «drukarnia» zawierała zaledwie taką ilość liter, że można było jednocześnie ułożyć zaledwie cztery większe ósemkowego formatu, tak że odezwę, zawierającą 40 wierszy druku, trzeba było 10 razy składać, odbijać i rozbić i z powrotem składać. W ten sposób wydrukowanie tysiąca odezw zabrało nam przeszło tydzień czasu. Kiedyś z towarzyszką Czerwoną (młoda robotnica fab-

ryczna, członek grupy Rosoła) nabrali pewnej wprawy, robota szła nam znacznie szybciej, była jednak zawsze mozolna i nie byliśmy z niej nigdy zadowoleni.

Marzyliśmy o prawdziwej drukarni. Trusiewicz miał dużo planów i projektów, ale również za najbliższe zadanie uważał urządzenie choćby skromnej drukarni. Ponieważ jednak wszystkie nasze marzenia i projekty rozbijały się o zupełny brak środków materialnych, zaczęliśmy więc przede wszystkim myśleć o ich zdobyciu. Postanowiliśmy z nadejściem lata urządzać jaknajwcześniej zebrania i masówki i na nich zbierać pieniądze, a towarzysz Trusiewicz miał urządzać płatne odczyty o historii ruchu rewolucyjnego w Rosji i Polsce dla studentów — rosyjan w Warszawie. Kiedy te odczyty ze względu na niewielką liczbę słuchaczy, dały zaledwie kilkanaście rubli, to jest sumę niedostateczną dla zrealizowania naszych projektów, Trusiewicz postanowił pojechać do Kijowa i Charkowa, aby tam zebrać trochę pieniędzy wśród studentów lub uzyskać pomoc materialną od organizacji miejscowej. Wyjechał z Warszawy na początku kwietnia i zostaliśmy znowu sami.

W czasie jego nieobecności, która trwała parę tygodni, urządzaliśmy zebrania w sprawach zawodowych i kierowaliśmy drobnymi strajkami. W dalszym ciągu wydawaliśmy zbiorki poezji rewolucyjnych. Oprócz tego odbiliśmy aktualną, przeznaczoną na t. zw. święta wielkanocy, kolendę rewolucyjną i sprzedawaliśmy ją po pięć kopiejek egzemplarz. Zrobiliśmy pieczęć Komitetu warszawskiego i wzięliśmy udział w manifestacji majowej wspólnie z PPS. Choć nasi towarzysze, nie mogąc się połączyć w jedną grupę SD, tworzyli ich kilka, jednak starali się nie łączyć z członkami PPS.

Pochód majowy w 1900 roku w Warszawie był o wiele większy, niż wszystkie zebrania razem wzięte przez całe cztery lata, to jest od roku 1896. Jeżeli w latach poprzednich z trudem jedynie można było odróżnić grupki demonstrantów od spacerującej w alejach mieszczańskiej publiczności, to w tym roku zebrani demonstranci zajmowali prawie całą przestrzeń od placu Aleksandra do ulicy Koszykowej. Myślę, że, wzięwszy pod uwagę zajmowaną przez demonstrację przestrzeń — liczbę demonstrantów można było liczyć na 10 do 12 tysięcy, bo spacerujące mieszczaństwo, zobaczywszy policję, wycofała się z pośpiechem w boczne ulice. Dopiero, kiedy w samym środku demonstracji podniesiono niewielki, czerwony sztandar i rozległ się śpiew «Warszawianki», policja i wojsko zamknęły wszystkie wyjścia tej części Alei i zaczęła się pogoń za aktywnymi demonstrantami. Ponieważ początkowo policja i wojsko wchodzili w tłum jeden za drugim, a nie frontem, więc demonstranci przesuwali się z miejsca na miejsce, nie stawiając oporu. Ale, kiedy policja zaczęła aresztować oddzielnych demonstrantów, tłum się zwarł i aresztowanych odbito. Wtedy zaczęła się szarża kozaków. Część demonstrantów wpadła do ogrodu przed pałacem «Sans Souci» (czytaj San Susi), tu dopiero zaczęła się bijatyka z kozakami przy pomocy lasek, krzeseł, stołów, a nawet luster, bo w ogrodzie tym była mleczarnia. Po pewnym czasie na placu boju pozostało tylko kilkunastu mocno pobitych i stratowanych końmi demonstrantów. Większość demonstrantów, znajdujących się w ogródku, uciekła przez mur na ulicę Mokotowską, a dużą część pozostałych w Alejach, wojsko wpędziło do parku Ujazdowskiego, skąd również większość uciekła. Pozostających w liczbie około tysiąca kilkuset odprowadzono pod

strażą wojska do Cytadeli. Podobno było również rannych kilkunastu kozaków. Dzięki tej bitwie i masowym aresztom cały proletarijat Warszawy dowiedział się o demonstracji majowej i stała się ona bardzo popularna. Świętem jeszcze 1 maja nie był, bo demonstracje były urządzane w najbliższą niedzielę.

W naszej pracy partyjnej najtrudniej nam było dać sobie radę z robotą agitacyjną, bo choć wielu z nas wiedziało już dość dużo, jak na owe czasy, to jednak ryzykantów, którzyby się podjęli samodzielnie prowadzić koła, prawie nie było z wyjątkiem towarzysza Masiuka, który prowadził koła piekarzy i szewców. Nie mieliśmy odwagi prowadzić kół, bośmy zdawali sobie sprawę, że wiadomości, posiadane przez nas, nie są w naszych głowach usystematyzowane, że jako młodzi musieliśmy być podwójnie baczni, aby nie skompromitować organizacji i siebie. Obawialiśmy się ośmieszyć, jak to często bywało z pepesowskimi agitatorami, nawet inteligentami. Znając ten stan rzeczy, Trusiewicz przed swoim wyjazdem urządził parę zebrań, specjalnie poświęconych przygotowaniu nas do roboty agitacyjnej, mianowicie — wyłożył nam w krótkich zarysach program socjaldemokracji, objaśnił Manifest komunistyczny i różnicę pomiędzy socjalizmem utopijnym a naukowym. Dzięki temu, że wykłady te były nam udzielone w bardzo zrozumiały sposób, skorzystaliśmy z nich dość dużo, nabraliśmy odwagi i nagłeni koniecznością wobec zupełnego braku agitatorów-inteligentów, wzięliśmy się do roboty: zaczęliśmy prowadzić pięć czy sześć nowych kół agitacyjnych.

Poza literaturą rewolucyjną nielegalną, której ilość i jakość była, jak już nadmieniałem, dość skromna, ówczesni członkowie partji, rewolucjoniści, pomimo głęboko kry-

tycznego stosunku do literatury burżuazyjnej, nie mogli się jednak wyrzec zupełnie książek i czytali, o ile im czas na to pozwalał, stosunkowo dużo, a szczególnie beletrystykę i poezję: Konopnicką, Orzeszkową, Kraszewskiego, Sienkiewicza. W tym czasie specjalnie zaczytywaliśmy się Sienkiewiczem, zwłaszcza jego «Quo Vadis», dopatrując się analogii pomiędzy prześladowaniem pierwszych chrześcijan przez cesarza Rzymu — Nerona a prześladowaniem rewolucjonistów przez carat. Czytaliśmy dość dużo powieści historycznych, osnutych na tle historii Polski, no i naturalnie «Trylogię» Sienkiewicza. Choć niezawsześmy odróżniali prawdę historyczną od fantazji autora, to jednak przypuszczam, na zasadzie własnego doświadczenia, że czytanie tych rzeczy nie miało na rozwój umysłowy robotników głębszego wpływu. Czytaliśmy i powieści tak zwane współczesne, które opisywały życie klas posiadających, mieszczaństwa i inteligencji, to jest klas nam obcych i z którymi nie mieliśmy w życiu żadnej styczności poza stosunkiem robotnika do przedsiębiorcy «chlebobdawcy», a więc stosunkiem zupełnie oficjalnym, najczęściej wrogim. Więc choć czytaliśmy te opisy nieraz z dużą przyjemnością, bo były ładne, jednak nie zapominaliśmy ani na jedną chwilę, że czytamy o życiu ludzi nam zupełnie obcych, którzy odnosili się do nas — robotników, jako do klasy «niższej».

Byliśmy wszyscy prawie dziećmi rzemieślników, albo robotników fabrycznych, którzy uważali za swój obowiązek nauczyć dzieci przynajmniej pisać i czytać, to jest tego, co prawie wszyscy umieli, bo znajomość czytania i pisanja już dla ówczesnego robotnika czy rzemieślnika była konieczną wobec podniesienia się poziomu technicznego rzemiosła i wywórczości fabrycznej. Bez takiej nauki ele-

mentarnej już nie można było zostać rzemieślnikiem, ani wykwalifikowanym robotnikiem fabrycznym.

Po powrocie Trusiewicza z Kijowa¹ odbyło się kilka posiedzeń Komitetu, na których między innymi omawialiśmy sprawę wspólnego zjazdu z socjaldemokratyczną organizacją litewską i międzynarodowego kongresu socjalistycznego, który się miał odbyć w Paryżu we wrześniu 1900 roku.

Stosunki pomiędzy naszą organizacją a miejscową organizacją bundowską były dość bliskie, bośmy oddawali sobie różne, wzajemne usługi: oni pomagali nam w sprawach technicznych, a myśmy dawali im pomoc przy przeprowadzaniu strajków. Te stosunki z robotnikami bundowskimi stały się nawet bardzo serdeczne po bardzo wydatnym udziale robotników żydowskich w pogrzebie Węgrzynowicza i dzielnem ich zachowaniu się wobec kozaków i policji.

W sierpniu Rosół zawiadomił nas, że zmarł Edward Węgrzynowicz, członek partji «Proletariat» i SD Związku Robotniczego, wobec czego komitet warszawski postanowił zorganizować na jego pgrzebie jaknajwiększą manifestację.

Cale 24 godziny zużyliśmy na jej zorganizowanie. Jakąż dumą i radością napelniły się nasze serca, kiedy o godzinie 2-ej 7 sierpnia, około domu N. 97 na ulicy Pańskiej przy skromnym, jednokonnym karawanie zebrała się taka masa, o jakiejśmy ani marzyli, było conajmniej 1500 osób.

Ogólną uwagę w tej wybitnie robotniczej dzielnicy War-

¹ Nie udało mu się zebrać takiej sumy, na jakąśmy liczyli, wobec czego musieliśmy narazie rzec się całkowitego urzeczywistnienia naszych planów wydawniczych.

szawy zwracały porządek i karność tak olbrzymiego wówczas zbiorowiska ludzi. Wszyscy uczestnicy na chwilę przed ruszeniem pochodu ustawili się w szeregi i wzięli pod ręce. Specjalną uwagę zwracała obecność dużej liczby towarzyszy — Żydów, a właściwie robotniczej młodzieży żydowskiej. Przed karawanem towarzysze i towarzyski w równej liczbie chrześcijanie i żydzi nieśli wieńce z dużymi, czerwonymi szarfami, na których były napisy: «Towarzyszowi idei od towarzyszy». Pomimo, że pogrzeb ten odbywał się w dniu roboczym, że większość towarzyszy została o nim zawiadomiona w ostatniej chwili, poza setką robotników-żydów i kilku pepesowców, pozostali uczestnicy manifestacji byli albo członkami naszej organizacji SD albo jej sympatykami, pozostającymi w stałej łączności przez nasze organizacje zawodowe. Zorganizowanie takiej liczby zupełnie świadomych celu uczestników było olbrzymim sukcesem naszej partii. Była to jedna z pierwszych akcji rewolucyjnych na większą skalę. Takiego robotniczego pogrzebu jeszcze Warszawa nie widziała, uczestniczący w pogrzebie robotnicy — Żydzi szli z odkrytymi głowami. Był to akt głębokiej czci dla zmarłego bojownika sprawy robotniczej.

Kondukt pogrzebowy, odprowadzony przez wielki tłum, idący chodnikami aż do samego mostu, przeszedł w uroczystym nastroju ulicami Pańską do Żelaznej, następnie — Chłodną i Elektoralną przez plac Bankowy do placu Teatralnego. Kiedy, minawszy ratusz, weszliśmy w ulicę Senatorską, którą zajęliśmy dosłownie całą, spotkaliśmy prawdopodobnie przypadkowo ówczesnego generał-gubernatora Królestwa Polskiego — księcia Imeretyńskiego, jadącego powozem z zamku. Zobaczywszy pochód, kazał stangretowi zatrzymać konie, zdjął czapkę i z odkrytą głową, stojąc w

powozie, przeczekał aż przeszedł cały pochód. Nastrój towarzyszy, uczestniczących w pochodzie, był wogóle bardzo podniosły, a po tem spotkaniu i oznakach szacunku, może spowodowanych przez zwyczajne tchórzostwo, (bo Imeretyński był wobec nas w tej chwili najzupełniej bezbronny) jaki okazał pochodowi «najjaśniejszy» satrapa — stał się poprostu szalony. Już przy spotkaniu z Imeretyńskim niektórzy towarzysze zaczęli śpiewać i tylko dzięki karności organizacyjnej udało się ich od tego powstrzymać, aby przedwcześnie nie prowokować policji.

Dopiero po przejściu mostu na Pradze rozległa się ogólnista melodja «Warszawianki», śpiewanej dość zgodnie przez wszystkich demonstrantów. Na czele pochodu szli Karol Masiuk i Franciszka Kwiatkowska. Oni prowadzili pochód i dyrygowali śpiewem.

W tych cudownych i świętych chwilach, jakie przeżyaliśmy wszyscy, a przynajmniej ja, poraz pierwszy w życiu i których nie zapomnę nigdy, zdawało się nam, że już dziś, teraz idziemy «na walkę krwawą, świętą i prawą», że nic się nam oprzeć nie zdoła, bo «któż zdoła wstrzymać strumień w biegu, czyż jest na świecie taka dłoń». Ogarnął nas wszystkich «święty ogień» — zadawało się nam, że drzewa przydrożne chylą się w czci przed bojownikiem, którego my odprowadzamy na miejsce ostatniego odpoczynku i chylą się przed nami, jego następcami, którzy jesteśmy gotowi do śmiertelnego boju, bośmy silni, niezwyciężeni — w jedności.

Cudowny dzień chrztu rewolucyjnego dla półtora tysięcy proletariuszy!

Dziś, kiedy po latach trzydziestu kilku przeżywam znowu we wspomnieniach ten dzień dla mnie święty, myślę o drogich, serdecznych towarzyszach: Rosole, Masiuku, Kwiat-

kowskiej, Bulaku i wielu, wielu innych, którzy polegli w walce, złożyli drogie dla nas głowy do snu wiecznego, nie doczekawszy się zwycięstwa.

Cześć waszej pamięci, drodzy, kochani Towarzysze idej i walki. Wierzę, że proletariąt polski, zwyciężwszy, godnie uczci swoich nawet «szeregowych» bojowników.

Kiedyśmy byli już przeszło w połowie drogi na cmentarz brudzieński, zauważyliśmy, że duży oddział kozaków jedzie mijając nas, przez pola w stronę cmentarza. Choć zorientowaliśmy się odrazu, że jest to zasadzka na nas, jednak doszliśmy, śpiewając, do bramy cmentarza i dopiero, dowiedziawszy się, że kozacy oczekują nas tam, postanowiliśmy nie wszyscy towarzyszyć trumnie do mogiły. Ze składu komitetu warszawskiego mieli iść za trumną: Kwiatkowska i ja. Masiuk, Bandurski i Draba mieli wracać do miasta, aby wskutek aresztów organizacja nasza nie została rozbita. Na cmentarzu dopiero po odśpiewaniu przed otwartą mogiłą «Marsza żałobnego» i «Na barykady», kiedy Kwiatkowska zaczęła rwać szarfę i rozdawać towarzyszom na pamiątkę, zauważyliśmy, że nas otoczył gęsty pierścień kozaków, którzy krzyczeli nam, że jesteście aresztowani i żądali, abyśmy oddawali laski¹. General-gubernator Imer-tyński był lotrem, jak każdy carski satrapa, ale poza tym człowiekiem dość inteligentnym, aby zorientować się, że gdyby nas kazał aresztować w czasie pochodu, to wobec wysoce podniesionego nastroju, w jakim się znajdowaliśmy, doszłoby niewątpliwie do krwawej bójki demonstrantów z kozakami i policją, co byłoby dla niego, «liberala» wcale nie na rękę, bo jego zadaniem w tym okresie było robić

¹ Laski i parasole zaczęto odbierać od manifestacji majowej tegoż roku, kiedy towarzysze zrobili z nich użytek na głowach kozaków i policji.

w Polsce wobec Europy liberalną «wiosnę». Więc kazał nas aresztować po skończonej uroczystości, kiedy nastrój bojowy już z natury rzeczy znacznie opadł. Otoczeni przy grobie, byliśmy nie prowadzeni, lecz pędzeni przez pijanych kozaków przy częstem użyciu nahaiek naprzelaj przez groby i zarośla, z czego skorzystało wielu towarzyszom, rozbiegając się w różne strony, ponieważ kozacy mieli bardzo utrudniony pościg wskutek zapadania się dołów mogiłnych pod ciężarem koni. W tym momencie uciekło dużo uczestników demonstracji, ale nad złapanymi znęcali się kozacy w zwierzęcy sposób.

Kiedyśmy zostali wypędzeni z cmentarza na szosę i uformowano z nas znowu pochód tym razem pod strażą pijanych kozaków i oficerów, szliśmy już znacznie wolniej, bo kozacy, jak i ich konie, byli już bardzo zmęczeni. Kilku towarzyszy zwróciło się do kozaków z przemową, tłumacząc im, że są synami chłopów, których carat gnębi tak samo, jak i nas robotników. Wtedy oficerowie kazali specjalnie bić przemawiających. Zostali mocno pobici: Kwiatkowska, Stańczyk, Grabski i jeszcze kilka osób. Trochę batów dostałem i ja, bom szedł z nimi pod rękę aż do samego cyrkułu policyjnego. Kiedy nas wpędzono do ogromnego podwórza cyrkułu praskiego przy ulicy Brzeskiej, były już tam rozstawione stoły, za którymi siedzieli oczekujący naszego przybycia żandarmi i policja. Przyprowadzono nas do cyrkułu przeszło 300 osób, ale po sprawdzeniu dokumentów i krótkim badaniu kilkadziesiąt osób zwolniono natychmiast, przyczem żandarmi nie popełniali omyłek, bo nikt z czynnych towarzyszy zwolniony nie został. Wstępne badanie i sprawdzanie dokumentów u posiadających przy sobie takowe — trwało od wieczora do godziny 3 — 4 nad ranem. Następnie grupami po 36 odprowadzono nas

do aresztu przy ratuszu, gdzie mieściła się i żandarmiska «ochrona».

Byliśmy wszyscy, a szczególnie towarzyszy, zmęczeni, wygłodniali, więc zażądaliśmy jedzenia, które nam dano w postaci chleba i wodnistego krupnika, nazwanego później «tyfusem». Tu dopiero zaczęło się powtórne, bardziej szczegółowe badanie przy pomocy szpiclów, którzy przybyli na cmentarz widocznie razem z kozakami, bo zeznawali tylko o tem, co się tam działo, a więc: ten śpiewał, «hurra, zerwijmy z carów korony», tamten krzychał: «Precz z caratem, niech żyje sprawa robotnicza». «Ta rozdawała kawałki czerwonej szarfy» i tp. Wskazanych przez szpiclów okazało się przeszło 50 osób, które pozostawiono w ratuszu, a pozostałych przeszło 200 osób w nocy z 8 na 9 sierpnia przeprowadzono do fortu Aleksieja koło Cytadeli. W tej grupie znalazłem się i ja.

Fort Aleksieja było to wysokie podziemie, zbudowane w kształcie koła z dużymi oknami, wychodzącymi na okrągłe podwórze. Przecięcie tego koła stanowiła brama wejściowa, a po obu jej stronach mieściły się dwie małe sale. Do jednej z nich wsadzono nasze towarzyszy w liczbie 36, a w drugiej mieściła się straż, składająca się z 30 żołnierzy i oficera. W wielkiej sali, zajmującej $\frac{3}{4}$ całego fortu, umieszczono mężczyzn w liczbie około 20 osób. My byliśmy pierwszymi lokatorami zarzuconego fortu. Słoma, rozesłana na cementowej podłodze, miała nam służyć za posłanie i siedzenie. Stołów ani stołków, nie było. Jedzenie i chleb żołnierski przywieziono dla nas z Cytadeli i były one smaczne i pożywne.

Straż nasza zmieniała się co 24 godziny. Wyznaczano ją kolejno ze wszystkich punktów, które stały załogą w Warszawie. Z drobnymi wyjątkami zarówno żołnierze,

jak i oficerowie traktowali nas dobrze, a czasem nawet bardzo dobrze. Wśród kilkudziesięciu oficerów, którzy byli u nas naczelnikami straży, najlepiej traktowali nas oficerowie — Rosjanie, najgorsi byli Tatarzy, Polacy i Ormianie. Polaków przez cały czas było dwóch i obaj byli do gruntu znikczemni ludzie, którzy specjalnie obmyślali sposoby szykanowania nas, aby pokazać zwierchności swoją gorliwość i lojalność polityczną. Własnoręcznie rewidowali nawet w garnuszkach przynoszone nam przez rodziny i przyjaciół jedzenie. Podglądali i podsłuchiwali nas, nie pozwalali siedzieć na oknach i tp. Dowiedziawszy się od żołnierzy, że są polakami, wymyślaliśmy im po polsku, udając, że nic nie wiemy, że nas rozumieją.

Ponieważ nie chciano zadawać sobie pracy sprawdzania liczby więźniów przez wyczytywanie z listy, więc codziennie przy zmianie straży ustawiano nas w szeregi po dwóch i w ten sposób liczono. Jeżeli ustępujący oficer był lotrem, to przy takim sprawdzaniu okazywało się, że nas jest za dużo, albo brak kilku. Robiło się to w ten sposób, że, będąc ustawieni w długi szereg w pobliskiej sali, przechodziliśmy z końca w koniec przez okna. Jeżeli przeszło nas dwóch z końca, od którego zaczęto liczyć, i stanęliśmy na końcu przeciwnym, to okazywało się akurat dwóch więcej, niż być powinno, w odwrotnym wypadku było dwóch mniej. W takich razach nowy oficer nie chciał przyjąć warty i robił zdającemu ją wymówki.

Jeden oficer — polak nie tylko nas szykanował na każdym kroku i pozwalał sobie po chamsku rewidować przynoszone nam podania, np. mieszając jedzenie w garnuszkach patykiem, ale i do przynoszących, szczególnie do żydów, zwracał się na «ty». Wyrzucał przynoszone dla nas owoce i tp. Ukaraliśmy go w ten sposób, że przy zdawaniu warty

po trzykrotnem przeliczeniu za każdym razem była nas inna liczba, a stanąć do szeregu poraz czwarty odmówiliśmy kategorycznie, tłumacząc się zmęczeniem. Nowy oficer, którego już znaleźliśmy jako porządnego człowieka, odmówił przyjęcia warty i zagroził, że zwróci się do komendanta Cytadeli z raportem o niemożności zmiany warty, a ponieważ nie chciałby tego robić, więc radzi swemu poprzednikowi, aby nas przeprosił. Mieliśmy dużą satysfakcję, kiedy taki pachnący elegancik (najśladzszy wnuczek po abramowej suce, jak nazywali go piekarze) wyszedł do nas sam, bez eskorty żołnierzy, bo ich się wstydził i w urzędowym języku wyjąkał: «gospoda, ja izwiniajus, czto nie był z wami dostаточно wieźliw i pozwoltie mnie zdať karauł». Wyśluchaliśmy tych przeprosin, leżąc na brudnej i śmierdzącej słomie i w odpowiedzi towarzysze, upoważnieni do tego przez nas, wytłumaczyli mu, że my jesteśmy więźniami politycznymi i wymagamy, aby nas szanowano.

Najcieńszy zatarg, bo już nietylko z naczelnikami warty, ale i z komendą fortecy, mieliśmy o wodę....., bo fort Aleksieja wówczas wodociągu nie posiadał. W przeciągu pierwszych kilku tygodni naszego siedzenia wodę przynosił nam specjalni żołnierze z fortecy, ale później komendant jej wydał rozporządzenie, żeby wodę nosili żołnierze z warty lub sami więźniowie. Kiedy oficerowie byli możliwi, wodę przynosili nam żołnierze, ale kiedy przez parę dni z rzędu trafili się czarnosecińcy, ci pod pretekstem, że nie chcą męczyć żołnierzy, próbowali zmusić nas do noszenia wody, nie dając jej nam wcale. Wtedy my po kilkudniowym niepiciu i niemyciu się postanowiliśmy urządzić głódówkę.

Akurat tego dnia naczelnikiem naszej warty był oficer — Tatar, który, dowiedziawszy się, że się «buntujemy», zaraz po przyjściu warty wszedł do naszej celi z oddziałem

12-tu uzbrojonych w karabiny grenaderów i kazał brać siłą co silniejszych z pośród nas, aby ich zmusić do przyniesienia wody. Jednak ponieważ nas było 160, a ich choć uzbrojonych, zaledwie 13-tu razem z dowódcą, więc, nie dotykając ich prawie rękami, daliśmy im tak mocnego «sera», że, gdyby nawet mieli chęć użycia swoich karabinów, to nie mogli tego uczynić, będąc formalnie zgnieceni w naszym tłumie. Nietylko więc nikogo nie wzięli, ale zdaje się, byli bardzo zadowoleni, kiedy się sami mogli wycofać. A oficer, który w czasie tego stracił czapkę i rękawiczki, obawiając się, że możemy mu rozbroić żołnierzy, zaczął się w porządku wycofywać. My nie mieliśmy najmniejszego zamiaru ich rozbierać, aleśmy wytłumaczyli oficerowi, że na gwałt odpowiemy siłą naszej jedności i radzimy z tem się liczyć.

Wtedy «kniaź» użył innego sposobu: postanowił nas zastraszyć. Wprowadził do celi już większy oddział żołnierzy, uszykował ich w dwa szeregi i kazał nas wziąć «na muszkę». Miało to ten skutek, że niektórzy towarzysze przybrali fotograficzne pozy, co widząc żołnierze, nie czekając komendy, opuścili bagnety i śmiejąc się, wyszli z naszej celi. Wyszedł i oficer, ale wody przynieść nie kazał.

Aby ostatecznie zmusić komendanturę cytadeli do regularnego dostarczania nam wody przynajmniej w takich ilościach, abyśmy się mogli trochę umyć (o kąpieli mowy nie było, przez całe trzy miesiące kąpaliśmy się tylko raz jeden) i napić do syta, postanowiliśmy symulować choroby i na początku omdlenia. Zemdlalo nas kilku jednocześnie, a towarzysze, wtajemniczeni w sekret, narobili takiego hałasu, że oficer musiał sprowadzić z fortecy felczera, a następnie — lekarza. Kiedyśmy lekarzowi opowiedzieli, że od szeregu dni nie pijemy wody i od tyluż dni nie myjemy się,

choć był pijany, oburzył się i po powrocie do fortecy musiał mocno nagadać komendantowi, bośmy jeszcze w nocy otrzymali dwie beczki wody. Tak walczyliśmy wówczas i tylko dzięki tej walce mogliśmy nasze więzienie nazwać «letniskami». Jedzenie, otrzymywane z kuchni wojskowej, było czyste i pożywne. W dniu pogodnym spacerowaliśmy po parę godzin po wałach fortu.

Mogliśmy walczyć i utrzymać w takiej masie pewien porządek tylko dzięki temu, że zaraz od pierwszego dnia naszego siedzenia zorganizowaliśmy się w komunę, na czele której stał komitet, składający się z 5-ciu towarzyszy. Posiadał on dość szerokie kompetencje dzięki autorytetowi, jaki zdołał sobie wywalczyć. Większość więźniów, jak to już zaznaczyłem wyżej, była to młodzież, która z trudem przenosiła przymusową bezczynność więzienną i wskutek tego skora była do kłótni i bójek. Jednak komitet komuny, apelując do jej godności rewolucyjnej, umiał ją nie tylko utrzymać w karbach, ale tak zorganizować przepędzenie dnia, że czasu na kłótnie nie było. Poza to komitet w czasie wodnej i jedzeniowej głódówki musiał dzielić otrzymywane z zewnątrz pokarmy płynne, jak herbatę, kawę, barszcz, a nawet zafarbowaną wodę (bo czystej w czasie głódówki nie przepuszczano). Musiał dzielić łyżką, jak lekarstwo. Również dzielone były wszystkie podania.

Widzenia z rodzinami i towarzyszami otrzymywaliśmy w ten sposób, że przychodzących wpuszczano do naszej celi według liczby, a ponieważ zmieniająca się straż nie mogła znać z twarzy nikogo z nas, więc korzystaliśmy z tych widzeń, w ten sposób, że towarzysze, którzy z jakichbych względów potrzebowali być w mieście, otrzymywali za zgodą i wiedzą komitetu kilkudniowe urlopy. Aby taki urlop otrzymać, potrzeba było mieć kogoś, kto by zgodził się

przesiedzieć w więzieniu przez czas nieobecności urlopownego, aby się liczba zgadzała.

Przeszło dwumiesięczne więzienie (po trzy miesiące siedziało tylko kilku towarzyszy — stałych mieszkańców Warszawy) minęło nam dość szybko. Dzięki organizacji i wewnętrznej porządkowi, żyliśmy się, jak najbliższa rodzina. O systematycznej nauce w takich warunkach naturalnie nie było mowy. Jednak komitet prowadził pewną ustną agitację wśród kilku członków PPS polaków i żydów i to — o ile sobie przypominam — z powodzeniem. Głównym środkiem agitacji i propagandy w stosunku do żołnierzy był śpiew. Dla żołnierzy śpiewaliśmy specjalnie po rosyjsku, co niektórych oficerów doprowadzało do wściekłości. Poza to wymyśliliśmy nowy sposób witania się na wzór ówczesnego wojskowego. Kiedy wchodził oficer i witał żołnierzy słowami: «Zdarowo rebiata», a oni odpowiadali: «Zdrowie żelajem waszemu blagorodju». Jeden z nas wołał: «Witajcie, towarzysze», a wszyscy jednocześnie odpowiadali: «Niech żyje sprawa robotnicza!».

Nadszedł dzień 27 września 1900 roku, kiedy nam ogłoszono wyroki, wydane administracyjnie przez Imertyński. Stałych mieszkańców Warszawy skazano na 3-miesięczne więzienie i 2 lata dozoru policyjnego, a niestałym mieszkańcom zabroniono pobytu w Warszawie na przeciąg trzech lat i mieli być odesłani etapem do miejsc stałego zamieszkania.

27 września zaczęto nas przewozić więziennymi karetkami do więzienia transportowego na Pradze. Przy rozstawianiu się było dużo szczerych, serdecznych łez, bośmy się naprawdę żyli i pokochali wzajemnie.

Każdą odjeżdżającą karetkę żegnano okrzykami: «Precz z caratem! Niech żyje sprawa robotnicza! Niech żyje So-

cjaldemokracja!». Jadący w karetkach przez całą drogą od fortu do więzienia śpiewali na cały głos pieśni rewolucyjne. Polacy śpiewali «Warszawiankę» lub «Na barykady» — żydzi: «Przysięgę». W więzieniu na Pradze osadzono nas w kilku celach i zaczęto pod różnymi pozorami wywoływać do kancelarii. W ten sposób podstępem ukarano część z nas za śpiew w karetkach i okutych w ręczne kajdany przetrzymywano całą noc w ciemnym karcerze.

Przy przeprowadzaniu z więzienia na kolej znowu nam nałożono kajdany, a na nasz protest umotywowany tem, że politycznych więźniów kuć niewolno, naczelnik straży odpowiedział, że ma prawo nie tylko nałożyć nam kajdany, ale i pozabijać przy próbie ucieczki. Musieliśmy się ograniczyć do tego słownego protestu, bo było nas zaledwie kilkunastu na kilkuset kryminalnych, którzyby nas nie poparli. Zdjęto nam kajdany dopiero po przejechaniu dwóch czy trzech stacyj od Warszawy.

Począwszy od Nowomińska, zaczęto wysadzać po kilka osób. Tu zostałem wysadzony ja z kilkoma towarzyszami i stąd miałem być nazajutrz odesłany do Garwolina, jako miejsca stałego zamieszkania. Narazie na noc zaprowadzono nas do miejscowej kozy, której naczelnik, a jednocześnie i dozorca — stary, carski feldfebel, jeden z tych, co się nawet przez cały czas długoletniej służby w wojsku po rosyjsku nie nauczyli, ale po polsku zapomnieli, przeglądając nasze papiery, zwrócił się do jednego z nas z zapytaniem: «Jesteś policieski, znacyt casy ukrałeś», na co otrzymał odpowiedź w czystej polszczyźnie: «Nie pytaj się chumie, psia twoja mać, ale naucz się mówić po ludzku». Za karę nie otrzymaliśmy tego dnia «pajka», to jest 9-u kopiejek.

Areszt mieścił się w drewnianej chałupie gdzieś na przed-

mieściu Nowomińska, różniącej się od innych chałup tylko tem, że były w niej zakratowane okna. Można było całą tę chałupę przewrócić do góry nogami i uciekając, zabrać ze sobą śpiącego «naczelnika», który pełnił straż, siedząc na stołku w sieni. Ale uciekać nikt z nas zamiaru nie miał, wiedząc, że za dwa-trzy dni uzyska wolność.

Następnego dnia pod strażą uzbrojonego w kij t. zw. «stójki» poszedłem piechotą do miasteczka Garwolina, odległego od Nowomińska o 40 klm., dokąd przyszliśmy dopiero ku końcowi dnia. Areszt w Garwolinie również mieścił się w drewnianym domku z tą różnicą, że domek ten stał blisko rynku i zamiast podłogi miał ubitą ziemię, ponieważ służył jednocześnie za lokal, do którego z rynku zapędzano zabłąkane świny, kury i kaczki.

W kozie tej zastałem już 4-ch więźniów. Byli to cyganie, t. zw. «holociorze», to jest trudniący się kradzieżą koni. Przyjęli mnie tak serdecznie, jak mogliby przyjąć tylko towarzysze. Przedewszystkiem dali mi papierosów, których byłem ogromnie spragniony, bo, nie mając wcale pieniędzy, nie paliłem cały dzień. Następnie zapytali, czy jestem głodny, a kiedy otwarcie powiedziałem, że tak jest, starszy cygan powiedział coś do stojącej za oknem cyganki i za chwilę dostałem paczkę tytoniu z bibulką i duży kawał chleba z jakimś mięsem.

Przyjmowałem od nich tę pomoc w przekonaniu, że im zwrócę, otrzymawszy podanie od moich krewnych, którzy w roku poprzednim tak serdecznie mnie przyjmowali. Dopiero stary cygan, który znał ich lepiej ode mnie, wytłumaczył mi, że nie mam czego się spodziewać, bo oni, dowiedziawszy się, że siedzę w areszcie, będą się wstydzili przyjść do mnie, a o ile ja bym chciał przyjść do nich po uwolnieniu, to mnie w takim stanie, jak jestem, nie ze-

chęć przyjąć, bo «porządnych ludzi» policja nie trzyma w areszcie i nie gania po etapach.

Choć uważałem się stanowczo za zupełnie porządnego człowieka, jednak musiałem przyznać rację cyganowi. Rzeczywiście wygląd mój był fatalny. Przedewszystkiem w przeciągu dwóch miesięcy nie zmieniałem bielizny, bo gospodyni moja bała się mi ją przynieść, aby jej nie areztowano. Prałem więc to, co miałem na sobie w zimnej wodzie i w rezultacie pozostały tylko strzępy. Następnie ubranie moje, choć całe, było jednak ogromnie wytarte od siedzenia na podłodze.

Dnia następnego zostałem zwolniony, przyczem przeczytano mi, że w przeciągu trzech lat nie mam prawa powracać do Warszawy, to jest potwierdzono to, co mi już ogłoszono w forcie. Podziękowałem im za informacje i podałem, że najdalej za dwa dni będę już w Warszawie z powrotem. Stosując się do rady cygana, nie poszedłem do krewnych, lecz do miejscowej piekarni, której właściciela znałem, z poprzedniego pobytu w Garwolinie. Ponieważ był to akurat dzień przedjarmarczny, więc pomogłem mu przy nocnej robocie w piekarni, za co otrzymałem 60 kopiejek i jedzenie, a rano 1 października 1900 roku wyruszyłem piechotą do najbliższej stacji kolejowej.



Część II

Dalszy ciąg pracy partyjnej



Powróciłem do Warszawy z tego pierwszego zesłania pociągiem towarowym «na gapę», to jest jako pasażer bezpłatny, późno w nocy. Wyskoczyłem z wagonu z biegu, bo na stacji mogłaby mnie zatrzymać policja. Tego musiałem unikać, nie posiadając żadnych dokumentów. Na ulicę Żąbkowską, na której mieszkał Ojciec, również poszedłem nie przez rogatkę, gdzie stał posterunek policji, lecz przez pola i ogrody.

Kiedy zapukałem w okno do mieszkania Ojca, wyjrzał w tej chwili i nie zdziwił się wcale moją obecnością, bo wiedział, że byłem wysłany niedaleko, więc był pewien, że w krótkim czasie powrócę. Przez uchylone okno powiedział mi, żebym nietylko nie myślał nocować u niego, ale i uprzedził wszystkich towarzyszy, by przez pewien czas nie dochodzili do niego, ponieważ z powodu jego syna Antoniego, który został w tym czasie zwolniony z więzienia w X pawilonie z powodu ciężkiej choroby gruźliczej,

jest mocno szpiegowany i miał dwukrotną rewizję. A z Zalewskim (Trusiewiczem) mogę się spotkać w mieszkaniu matki «Monopola» (Nitenberga) na ulicy Ogrodowej.

Ponieważ, idąc na ulicę Żąbkowską, miałem nadzieję, że u Ojca nie tylko rozgrzeję się i posilę, ale i prześpię, bodaj na ławce, więc zrobiło mi się trochę markotno, że muszę drałować dalej. Zresztą nie wiedziałem wcale, dokąd ma się udać wśród nocy i ubrany byłem zupełnie po letniemu, aby nie wzbudzić podejrzenia. Dopiero po drodze przypomniałem sobie adresy znajomych. Drogę z ulicy Żąbkowskiej na Pradze na Orlą przeszedłem bardzo szybko nie dlatego tylko, że było mi pilno, ale ponieważ jesienna nocka była już porządnie chłodna i wcale nie uspasabiała do powolnego spaceru.

Na Orlej mieszkał stary mój znajomy piekarz, przezwany z powodu okropnej chudości Pasyjką. Otwierającej bramę domu stróżce oddałem resztę posiadanych miedzaków i prędko pobiegłem na górę, aby się nie zdążyła spytać, do kogo idę. Pasyjka z żoną byli to bardzo dobrzy, ale bardzo biedni towarzysze, bo on już od kilku lat nie pracował z powodu suchot, których się nabawił jeszcze będąc chłopcem w terminie. Ona również zarabiała, jak to się mówi, za wiele, aby zdechnąć z głodu, ale za mało, aby się we dwoje mogli najadać dosyta. Przyjęli mnie tak, jak tylko biedacy umieją przyjąć takiego samego biedaka. Jak są sami. Wiedzieli, że wracam z więzienia, więc nie dziwili się, że jestem brudny i owszony. Spałem na podłodze, bo w zajmowanej przez nich na poddaszu komórcie innego miejsca nie było.

Nazajutrz rano poszedłem na ulicę Ogrodową Nr. 46, gdzie mieszkała towarzyszka Paulina Nitenberg-Hencei, matka towarzyszy partyjnych: Karola — szewca, Piotra —

malarza i Stanisława — stolarza. Z tych trzech Karol już wówczas od dwóch lat brał udział w robocie naszej organizacji partyjnej, Piotr pomagał, a Stanisław był sympatykiem. Matka ich liczyła już około 60 lat, ale pod wpływem agitacji Rosoła i swego syna Karola zerwała zupełnie z rodziną i z kobiety religijnej stała się przekonaną socjaldemokratką, oddającą partii bardzo cenne usługi. Umówiłem się z nią co do spotkania z Zalewskim — Trusiewiczem. W tym samym domu mieszkał również jeden z moich starych przyjaciół i towarzyszy, piekarz Władysław Dobrowolski, który wraz z czterema innymi młodymi towarzyszami kierował wówczas piekarską organizacją zawodową, rozbitą przez masowe areszty w dniu 7 sierpnia i przez nich odbudowaną. W dniu następnym spotkałem się u Matki z Zalewskim i umówiliśmy się co do terminu najbliższego zebrania partyjnego.

Było to pierwsze zebranie, na jakim byłem obecny po wyjściu z więzienia, więc pamiętam je doskonale. Odbyło się ono w mieszkaniu towarzysza Piątkowskiego (pseudonim Biskup) — robotnika fabryki metalowej Lilpopa, Rau i Lowensztajna. Obecni byli: Zalewski, Karol Nitenberg, Matuszewski, Cajler — młody piekarz, Masiuk, Magrzyk, Dobrzyńska — młoda robotnica fabryki włókienniczej. Szerechowicz, Bandurski — szewcy i Sokołowski — student. Zalewski zdawał sprawę z II zjazdu Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, który się odbył w końcu sierpnia 1900 roku w miejscowości Otwock pod Warszawą w mieszkaniu Dalskiego, i z międzynarodowego kongresu socjalistycznego, który się odbył w Paryżu. Nie mogę przypomnieć sobie wszystkiego, co mówił Zalewski, ale przypominam sobie opowiedziany przez niego epizod na międzynarodowym kongresie, polegający na tem, że

grupa inteligentów z PPS usiłowała zakwestjonować mandat, dany przez nas na ten kongres Róży Luksemburg. Ze sprawozdania o zjeździe krajowym przypominam sobie fakt formalnego połączenia z socjaldemokratyczną partią Litwy i skład centralnego kierownictwa partji, Zarządu Głównego, do którego zostali wybrani: Zalewski, Domański Czesław — szewc z Wilna. Kozłowski Mieczysław — prawnik, obaj od Litwy, Sokółowski i Dalski (Samuel Ettinger) — również prawnik.

Wobec tego, że partja nasza miała prowadzić robotę rewolucyjną na terenach Królestwa i Litwy, każdy z krajów miał mieć swój komitet centralny. Komitet Centralny dla Polski został wybrany na tem zebraniu i w skład jego weszli: Matuszewski, Nitenberg Karol, Piątkowski, Zalewski i Płochocki. Wkrótce jeden z członków Zarządu Głównego, Dalski, wskutek wyjazdu za granicę zrzekł się swego mandatu i na jego miejsce ja zostałem dokooptowany do centralnego kierownictwa partyjnego.

Dziś już nie przypominam sobie, jak podziałal na mnie fakt, że ja — wczorajszy jeszcze chłopiec, «wilk» dziś stałem się członkiem dwóch kierowniczych organów partyjnych. Zdaje mi się, że nie zastanawiałem się nad tem nie zastanawiałem i twierdziłem stanowczo, że nie dostałem zawrotu głowy, choroby, którą później dało mi się często obserwować u wielu towarzyszy. Zalewski często powtarzał nam, że jesteśmy dopiero małą grupą, której zadaniem jest przygotować robotę dla partji i że nie trzeba brać zbyt dosłownie powiedzenia niemieckiego historyka, iż stworzenie kółka robotniczego ma większe historyczne znaczenie, niż bitwa pod Sadową. Radził nam — młodzieży, abyśmy, do-

stawszysię do więzienia i na zesłanie, co dla każdego rewolucjonisty w Rosji jest nieuniknione, wzięli się z całych sił do nauki.

O tem, że zostałem członkiem Komitetu Centralnego i Zarządu Głównego, wiedziało zaledwie 10-15 towarzyszy, ale ci najbliżsi rozumieli doskonale, że było to nie tylko zaszczytem, ale i obowiązkiem, który wymagał całkowitego, zupełnego oddania się robotcie partyjnej, co było dla mnie łatwiejsze, niż dla innych towarzyszy, gdyż nie miałem żadnych obowiązków rodzinnych.

Na jednym z wspólnych posiedzeń ZG i KC uchwalono, aby stworzyć nasze organizacje partyjne na prowincji, to jest w Łodzi, Zagłębiu Dołębskiem i Białymstoku i zorganizować drukarnię, w której możnaby było drukować odezwy, a może i pismo partyjne. Praca została podzielona w ten sposób, że Karol Nitenberg został posłany do Białegostoku, Jan Leśniewski — do Łodzi, a ja — do Zagłębia. Po drodze miałem nawiązać stosunki z naszą organizacją w Częstochowie, założoną przez Dalskiego.

Ponieważ byłem zajęty drukowaniem odezwy z powodu skazania przez carski sąd wojenny na karę śmierci towarzyszy: Świdorskiego i Woźniaka, oskarżonych o zabójstwo prowokatora, oraz odezwy noworocznej z powodu nowego stulecia, więc mogłem wyjechać dopiero w końcu grudnia i przyjechałem do Częstochowy w przeddzień nowego roku. Dalskiego znalazłem według danego mi przez towarzysza Zalewskiego adresu i w nocy z 31 grudnia na 1-szy stycznia 1901 roku zajęliśmy się rozlepianiem przywiezionych przeze mnie odezw. Dnia następnego odbyło się posiedzenie miejscowego komitetu, w skład którego wchodzili dwaj robotnicy i Dalski.

Z Częstochowy pojechałem do Zagłębia, nie mając zu-

pełnie żadnych adresów. Liczyłem jedynie na to, że znajdę kogoś ze znajomych piekarzy i przez niego nawiążę stosunki z górnikami. W Dąbrowie górniczej, dokąd przyjechałem około południa dopiero późno w nocy zdołałem dowiedzieć się adresu znajomego, młodego piekarza, który przed kilku miesiącami przyjechał do Zagłębia z Warszawy, uciekając od prześladowania policji. Pójść do niego w nocy nie mogłem, więc musiałem przenocować w szynku na ławce. Rano znalazłem go pod wskazanym mi adresem. Mieszkał kątem u jakiegoś robotnika kopalnianego, bardzo porządnego człowieka, który jednak lubił podpić, więc trzeba się było przed nim konspirować. Powiedziałem, że jestem z zawodu farbiarzem (miałem bowiem na rękach czerwone i nie dające się zmyć plamy od tuszu, którym drukowałem odezwy, i przyjechałem w poszukiwaniu pracy.

Natychmiast poszliśmy z Bocianem (taki miał pseudonim ten piekarz) na poszukiwanie jego znajomych i zaagitowanych przez niego górników. Było ich trzech i należeli poprzednio do PPS, ale pod wpływem agitacji Bociana zerwali z nią. Jeden z nich, starszy wiekiem, ślusarz z zawodu, pracował kiedyś w Warszawie, stykał się z «proletariatchykami», o których mówił: «to były prawdziwe socjaliści, nie, jak te panięta», to jest uczniowie szkoły sztygarów w Dąbrowie, sympatycy PPS. Narazie stworzyliśmy grupę z 4-ch towarzyszy, która w krótkim czasie założyła miejscową organizację socjaldemokratyczną, liczącą w lipcu 1901 roku, za pobytu w Zagłębiu Zalewskiego, około 20 osób. Posyłał im naszą literaturę i odezwy.

Ponieważ kilkudniowy mój pobyt w Częstochowie i Zagłębiu kosztował, nawet przy bardzo daleko posuniętej

oszczędności, więcej, niż obliczyliśmy z Zalewskim, a Bocian był akurat bez pracy i nie mógł mi nic pożyczyć, więc z powrotem do Częstochowy musiałem jechać «na gapę», to jest bezpłatnie. Znaleźliśmy z Bocianem konduktora pociągu towarowego, który zgodził się przewieźć mnie w wagonie służbowym, ale pod warunkiem, że będę siedział w węglarce, mieszczącej się pod podłogą tego wagonu. Nie mając wyboru, zgodziłem się, byleby wracać, bo czekała mnie praca i tracić czasu nie miałem prawa. Po przejechaniu 90 kilometrów, dzielących Dąbrówę od Częstochowy, musiałem pięknie wyglądać, gdyż konduktorzy na mój widok pokładali się ze śmiechu. Pieniądze na dalszą drogę do Warszawy otrzymałem od Dalskiego.

W tym czasie poznałem się bliżej z towarzyszem Edwardem Sokołowskim¹, studentem instytutu agronomicznego w Puławach. Miał on duże stosunki wśród warszawskiej rosyjskiej, socjalistycznie nastrojonej studenterii, ale z robotnikami stykał się niewiele, ponieważ nie mieszkał w Warszawie. Śród tych studentów byli: Andrejew, student medycyny z żoną, siostrą towarzysza Kozłowskiego z Wilna, Zadochlin — student politechniki, dwie siostry Szwec — akuszerki, paru studentów weterynarii — ukraińców, nauczyciel — rosjanin, starszy już człowiek, były członek partii «Proletariat». Z inteligentów — Polaków do grupy sympatyków naszych należeli Kosońska Stefanja (Kazimiera Daniel) — artystka malarka, pszyślana do pracy partyjnej w kraju przez towarzyszkę Wojnarowską z Paryża, Badjorowa Olga — nauczycielka w Łodzi, Chwalewik («Świderski») student, Widerszałówna Julja — przyrod-

¹ Pseudonim «Tomasz», «Orłowski». Zmarł w Moskwie w kwietniu 1932 roku.

niczka i Bergman — farmaceuta. Ci tylko inteligenci mieli jakiś kontakt z naszą partją.

Ale nawet i z tej niewielkiej liczby nie wszyscy mogli i chcieli być nam pomocni w robocie. Inteligenci-rosjanie mieli ku temu szczere chęci, nie mogli jednak pracować, nie znając polskiego języka. Pomoc ich ograniczała się do dawania swoich mieszkań na nasze zebrania partyjne, noclegów dla Zalewskiego i zbierania czasami składek pieniężnych. Większość ich była również w ciężkich warunkach materialnych, więc niewiele nam mogli pomóc. Bergman płacił składki i prowadził jedno koło, Chwalewik-Świdorski prowadził czas jakiś koło, na którym wykladał program erfurcki i do roboty partyjnej zbytnio się nie palił.

Z całej tej grupy najczynniejsza była Kosowska, która prowadziła koło, robiła korektę i większość zarobionych przez się pieniędzy wydawała na partję.

Dalski również przez pewien czas prowadził koło, ale zauważywszy, że jest szpiegowany — wyjechał zupełnie za granicę. Należał on do tych szczęśliwców, którzy mieli czas i możliwość materialną studiowania nauk za granicą.

Zalewski zaś był zawodowym rewolucjonistą. Miał już za sobą przeszło 10 lat nielegalnej pracy partyjnej, więzienia i kilkakrotnego zesłania, lecz posiadał mniej wiedzy od Dalskiego. Jako stary rewolucjonista, cieszył się dużym szacunkiem wśród inteligentów. Ale miał ich szacunek, a nie sympatię, bo traktował ich dość lekceważąco. Dawał im odczuć, że robotników ceni wyżej, niż ich. Lubili go za to bardzo robotnicy, przede wszystkim dlatego, że widzieli w nim nie tylko bezwzględnie oddanego sprawie robotniczej rewolucjonistę, ale i starszego towarzysza, który do robotników przychodził nie po to, aby im «hetmanić»,

lecz, aby z nimi wspólnie walczyć. Powtarzał nam nieraz, że nasze zerwanie z drobnomieszczańską, nacjonalistyczną PPS, która chce wykorzystać polski proletarijat dla swoich nacjonalistycznych celów, powinno być dla nas nauką, że musimy się sami stać hetmanami swojej sprawy. Mówił, że wszelkie gadanie o «poświęcaniu się» inteligentów dla sprawy robotniczej jest kłamstwem i chamstwem, i że my robotnicy tylko zyskamy na tem, gdy w szeregach swoich będziemy mieli mniej «poświęcających się» dla nas.

Wkrótce po moim powrocie z Zagłębia i Częstochowy odbyło się połączone posiedzenie KC i ZG, na którym zdecydowano zwołać w Białymstoku konferencję partyjną dla nawiązania ściślejszego kontaktu z naszą organizacją na Litwie i wspólnego omówienia sprawy stałego stosunku z SD rosyjską.

SDPRR dotychczas znaliśmy tylko z opowiadań Zalewskiego i pojedynczych numerów «Raboczewo Diela» i «Raboczej myśli», któreśmy otrzymali jeszcze przy końcu 1900 roku, i «Iskry». Otrzymaliśmy również po jednym egzemplarzu «Podpolnoj Rosji» — Stepniaka i «Czudnaja» — Korolenko. Literatura ta, a szczególnie Stepniak i Korolenko wywarły na nas olbrzymie wrażenie. Jednak najradośniejsza była zaczerpnięta z tej literatury świadomość, że my, robotnicy polscy, w walce z caratem i burżuazją nie jesteśmy samotni, jak to nam twierdzili inteligenci z PPS, lecz że tam, w głębi Rosji — w Petersburgu, Moskwie, Kijowie i innych ośrodkach przemysłowych — istnieją również organizacje robotnicze, które organizują robotników, uświadamiają ich i kierują ich walką.

Wobec wielkiego zainteresowania wśród nas ruchem robotniczym w Rosji, Zalewski na kilku zebraniach objaśniał nam, jakie partje rewolucyjne istniały i istnieją w Rosji

które walczą z caratem i burżuazją rosyjską. Opowiadał nam o dekabrystach, narodowolcach, socjaldemokratkach i socjalistach-rewolucjonistach. Dziś nie mogę już sobie przypomnieć, do jakiego z ówczesnych ugrupowań socjaldemokratycznych skłaniał się sam Zalewski i czy objaśniał nam różnice w ich taktyce, przypominam sobie jednak, że najwięcej mówił nam o «Sojuszu borby za oswobodzenie raboczego klasa», i że największą sympatię żywiliśmy do tej organizacji. Różnice, które zachodziły pomiędzy rosyjskimi ugrupowaniami socjaldemokratycznymi i które spowodowały rozłam na dwie frakcje bolszewików i mieniszewików na II Zjeździe SDPRR w r. 1903, objaśnili nam szczegółowo dopiero towarzysze — rosjanie, spotkani przez nas w październiku-listopadzie w więzieniach moskiewskim i krasnojarskim.

Jakkolwiek w tym czasie byłem bardzo zajęty robotą partyjną, nie mogłem zupełnie zarzucić pracy w piekarskiej organizacji zawodowej. Pomagałem jak i czem mogłem: drukowałem odezwy, nawiązywałem zerwane naskutek aresztów stosunki z innymi socjaldemokratycznymi organizacjami zawodowymi, bywałem czasami na posiedzeniach organizacji kierowniczej, a nawet raz jeden musiałem wziąć udział w tak zwanej «mokrej robocie» w stosunku do pewnego majstra-szpicla, który zagrażał istnieniu całej organizacji piekarskiej. Nie zrobiliśmy mu, co prawda, specjalnej krzywdy, gdyż otrzymał tylko powierzchowne rany sztyletami, ale rezultat był dobry, bo szpicel tak się przestraszył, że natychmiast porzucił pracę i wyjechał do Ameryki.

Wzajemnie za swoją pomoc otrzymywałem od organizacji piekarskiej możliwość zarobienia od czasu do czasu kilku rubli na życie. Bez pomocy organizacji żaden z właścicieli

piekarni, ani żaden jej zarządzający dobrowolnie nie pozwoliłby mi u siebie przepracować ani jednej godziny, bo wszyscy oni wiedzieli, że jestem «buntownik». Trzeba było siłą zdobywać prawo do zarobienia ciężką pracą kilku rubli. Robiło się to zwykle w ten sposób, że ktoś z przedstawicieli organizacji szedł do jednej z większych piekarni, w których pracą kierowali nie sami ich właściciele, lecz administratorzy i majstrowie i mówili takiemu osobnikowi: «musisz wziąć na zastępczą pracę na dzień lub dwa w tygodniu takiego a takiego towarzysza». Kiedy taki majster lub administrator tłumaczył się, że się boi właściciela i policji, przedstawiciel organizacji obcinał go z miejsca, mówiąc: «Jak cię, psi synu, prosimy delikatnie, toś powinien zrozumieć», i nie było wypadku, aby ktoś z tych panów nie zrozumiał «delikatnej» prośby, bo żaden z nich nie miał chęci poznać smaku «odezwy z lasu». Piekarze nielegalni i znani jako «buntownicy» tylko w ten sposób mogli otrzymać jakikolwiek zarobek. Był on marny, bo nigdy prawie nie było można przepracować więcej, jak jeden dzień w tygodniu i zarobić od 1rb. 50 kop. do 2 rb. — i policja mogła się dowiedzieć i czasu się nie miało ze względu na pracę partyjną.

W lutym 1901 roku pojechaliśmy do Białegostoku na konferencję, na której byli obecni: 1) Zalewski — Trusiewicz 2) Sołkołowski — Tomasz, 3) Nitenberg — Monopol, 4) Płochocki — Olbrzymek, 5) Matuszewski — Marcin, 6) Papkiewicz — Balcewicz, 7) Kozłowski Mieczysław i 8) Domański Czesław. Ostatni trzech byli przedstawicielami Litwy. Najważniejszą sprawą, nad którą debatowała nasza konferencja, była sprawa nawiązania stałych stosunków z Socjaldemokratyczną Partją Robotniczą Rosji. Następnymi punktami porządku dziennego konferencji były spra-

wy: zorganizowanie drukarni partyjnej, wydawanie organu partyjnego w kraju i sprawa środków pieniężnych.

Nad sprawą nawiązania stosunków z SDPRR dyskusja trwała prawie całą noc, bo trzeba było rozstrzygnąć, z jakimi z ugrupowań socjaldemokratycznych w Rosji nawiązać stosunki, bośmy wiedzieli, że było ich kilka, zupełnie prawie od siebie niezależnych. O ile mogę sobie przypomnieć, zostało ostatecznie zdecydowane nawiązanie stałych stosunków z kijowską grupą «Iskry», jako najbliższą terytorjalnie. Konferencja poleciła Zalewskiemu zredagowanie odpowiedniego listu do rosyjskich towarzyszy¹. Zarządowi Głównemu konferencja poleciła zorganizować niezwłocznie drukarnię partyjną i zacząć wydawanie partyjnego pisma w kraju. Konferencja odbywała się w mieszkaniu członka naszego Komitetu białostockiego i trwała dwa dni.

Po powrocie z konferencji zajęliśmy się bardzo energicznie wykonaniem jej postanowień i już w końcu lutego, dzięki czynnej pomocy towarzysza Rosoła, udało nam się urządzić coś w rodzaju drukarni. To «coś» składało się z 20 funtów starych czcionek, ukradzionych z drukarni jednej z gazet burżuazyjnych, bośmy na kupno naszych nie mieli pieniędzy, z dębowej deski, obitej z jednej strony grubą, żelazną blachą, żelaznej ramy ze śrubami do zmcowywania złożonych czcionek, kaszty drukarskiej, wałka ze specjalnej masy do smarowania czcionek farbą i z prasy w formie dużego przycisku. Prawie wszystkie te przed-

¹ Wiadomość o tym liście znajduje się w 7 numerze leninowskiej «Iskry» z sierpnia 1901 roku. W związku z tym listem została wydana hektografowana broszura pod tytułem: «K towarzyszom russkim socjaldemokratam», zawierająca krótki zarys historii socjalistycznego ruchu robotniczego w Polsce. Broszura ta znajduje się w archiwum IMEL.

mioty zostały nam dostarczone i wykonane przez różnych towarzyszy, członków partii bezpłatnie. Pieniądze były wydane tylko na kupno farby drukarskiej, papieru i winkielaka do nabierania czcionek. Siedzibą tej naszej pierwszej, «prawdziwej» drukarni było kawalerskie mieszkanie Matuszewskiego przy ulicy Tamce Nr. 39 w Warszawie.

Urządźwszy drukarnię, musieliśmy rostrzygnąć, kto będzie w niej pracował, jako drukarz. W czasie konferencji powstał projekt mego wyjazdu na kilka miesięcy na naukę zecerki do pewnej drukarni w Wilnie. Następnie jednak musieliśmy go zaniechać z powodu braku środków na moje utrzymanie w czasie tej nauki, a głównie z powodu zupełnej niemożności oderwania mnie od bieżącej roboty partyjnej, bo warunki tak się złożyły, że wykonywałem dużą jej część. Wobec tego, że kilka lat przedtem pracowałem jako uczeń w drukarniach, gdzie między innymi nauczyłem się rozbierać i rozkładać stare «zace», więc moi towarzysze zdecydowali, że skoro umiałem rozbierać, to powinienem umieć i składać i w ten sposób zostałem drukarzem partyjnym. W czasie instalacji tej drukarni, przyjechał z Berlina Karol Waclaw, zecer z zawodu. Opowiadał nam, że w Berlinie składał dzieła Marksa, Hegla i Kanta i utrzymywał stosunki z Różą Luksemburg. Był on rzeczywiście bardzo wykwalifikowanym zecerem, ale ponieważ wzamian za swoją fachową pomoc zażądał ni mniej ni więcej, jak kooptacji do komitetów centralnego i warszawskiego, a rekomendacja tow. Luksemburg nie była zbyt polecająca, więc na posiedzeniu KC zapadła decyzja, że mam pracować bez fachowej pomocy pana Karola.

Matuszewski, w którego mieszkaniu mieściła się, jak już wspomniałem wyżej, nasza drukarnia, pracował jako krawiec damski w firmie Hersego i zarabiał od 25 do 30

rubli tygodniowo, co na owe czasy było bardzo dużo, wziął więc drukarnię na swoje utrzymanie razem ze mną, bo, pracując przy składaniu, nie mogłem się odrywać dla zarobku na utrzymanie.

Pierwszą, większą robotą tej naszej drukarni poza jedną czy dwiema odezwaniami, wydaniami z różnych powodów — było wydrukowanie 500 egzemplarzy pisma pod nazwą «Kurjerek Robotniczy» w formie dużej ćwiartki o czterech stronicach druku¹). Praca moja nad tem pismem była bardzo żmudna, zarówno wskutek tego, że uczyłem się dopiero na tej robocie, jak również i z powodu braku wielu gatunków czcionek, a szczególnie tytułowych i tłustych. Dla złożenia tytułów musiałem przerabiać nożem duże litery. Np. z litery B, której było dość dużo, robiłem literę L, której brakło, z litery B robiłem R, z I — wykrzyknik itp. Pozatem każdą stronicę musiałem składać osobno a po odbiciu rozbierać ją i dopiero składać następną.

Na pracę, którąby wykwalifikowany zecer wykonał przez dzień, czy dwa, ja potrzebowałem dni 10. Radości zaś po wydrukowaniu było niewiele, bo numer wyglądał rzeczywiście dość marnie. Odezwy wychodziły nam znacznie lepiej. Prawie jednocześnie z wyjściem z druku naszego «Kurjerka» przysłano nam z zagranicy pewną ilość teoretycznego organu naszej partji pod tytułem «Przegląd socjaldemokratyczny», oraz odezwy, nie pamiętam już dziś z jakiego powodu napisanej przez Różę Luksemburg i wydrukowanej za granicą. Kiedyśmy porównali te druki z naszą produkcją, to płakać nam się chciało ze wstydu, tak marnie ona wyglądała. Nie traciliśmy jednak nadziei, że następne muszą być lepsze.

¹ «Kurjerek Robotniczy» znajduje się w archiwum IMEL.

Również w tym czasie przyłączyła się do nas organizacja zawodowa białoskórników razem ze swoim sekretarzem Ignacym Rządca. Białoskórnicy byli to robotnicy bardzo wykwalifikowani i stosunkowo dużo zarabiający. Połowa ich conajmniej, w charakterze wędrownych rzemieślników, dla zdobycia fachowej kwalifikacji bywała zagranicą — (w Lipsku, Paryżu i Berlinie. Należeli tam do związków zawodowych, nauczyli się trochę języków) i w ten sposób zetknęli się z legalnymi warunkami istnienia organizacji robotniczych, dzięki czemu byli dla partji dość cennym nabytkiem. Pozatem dawali dość regularnie ze swojej kasy pewne sumy na rzecz partji.

W ten sposób organizacja naszej partji zarówno w Warszawie, jak i Łodzi rosła prawie z każdym dniem. Na Litwie w tym czasie, to jest na początku roku 1901, istniały komitety miejscowe w Wilnie i Białymstoku i grupa w Grodnie. W skład komitetu w Wilnie wchodziłi towarzysze: Kozłowski Mieczysław, Papkiewicz i Domański Czesław, a komitet białostocki składał się z towarzyszy Nitenberga i Bogdanowicza, członka starego «Proletariatu». Członkami naszej organizacji w Wilnie byli przeważnie garbarze, a w Białymstoku — robotnicy fabryk włókienniczych, fabryki metalowej Wieczorka i szewcy.

Towarzysz Domański, który przyjechał do Warszawy w kwietniu, był bardzo inteligentnym i dzielnym robotnikiem, ale w tym czasie gonil już resztkami sił z powodu suchoty, których się nabawił w więzieniu. Pomagał nam w robocie w przeciągu 2 czy 3 miesięcy, następnie powrócił do Wilna i wkrótce umarł.

Zbliżał się 1-y maja, więc zaczęliśmy się szykować do akcji majowej, a przede wszystkim do wydrukowania

rozpowszechnienia odezw majowych. Mieszkanie Matuszewskiego nie wydało się nam dostateczne pewnem dla takiej roboty, więc przy pomocy Nechlowej przenieśliśmy drukarnię naszą na ulicę Ogrodową Nr. 26 do piwnicy pod mieszkaniem Cajlera.

Przystąpiłem do roboty nad odezwą majową około połowy kwietnia. Miałem już trochę nowych czcionek i nabyłem już pewnej wprawy w składaniu i odbijaniu. Odezwy miało być 10 tysięcy. Kupiłem dobry papier, wymyłem porządnie czcionki i zacząłem drukować. Ponieważ wejście do mojej piwnicy znajdowało się w ogólnej sieni, więc w dzień nie można było wchodzić do niej, ani wychodzić, aby nie zwrócić na siebie uwagi. Wskutek tego jedzenie przynoszono mi w nocy, a dla podkrzepienia sił towarzysze przysłali mi butelkę wódki. Składanie odezwy wielkości dużego arkusza zajęło mi jeden dzień, a odbijanie trwało przeszło tydzień, ale odezwy były doskonale, miały czysty i wyraźny druk. Mówiliśmy, że z wykonania są podobne do luksusowego pisma burżuazyjnego p. t. «Tygodnik ilustrowany».

Wobec tego, że jak mi się zdawało, nauczyłem się już dość dobrze drukować, więc marzeniem mojem stało się wydrukowanie zbioru pieśni rewolucyjnych. Jednak marzenie to nie zostało urzeczywistnione z powodu braku pieniędzy i głównie czasu.

Dzień 1 maja 1901 roku był momentem dla naszej organizacji w Warszawie niesłychanie ważnym, tembardziej, żeśmy zdecydowali urządzić demonstrację majową oddziennie od PPS i nie w Alejach Ujazdowskich, lecz na Chłodnej i Elektoralnej. W tem miejscu jeszcze nigdy nie było manifestacji majowej, więc nasza organizacja i my wszyscy poszczególni jej członkowie musieliśmy użyć dużego wy-

siłku, aby nie skompromitować niepowodzeniem naszej partji.

Myśl przeniesienia naszej demonstracji majowej na Chłodną — Elektoralną podał Zalewski i była to myśl ze wszech miar słuszna. Przedewszystkiem w ten sposób dobitnie akcentowaliśmy naszą odrębność od PPS, podkreślaliśmy proletarjacki charakter tej demonstracji, wyprzedzając ją z dzielnicy robotniczej, i dokonywaliśmy przeglądu swoich sił. Pozatem chodziło nam o udział w niej robotników-Żydów, którzy na demonstrację w Alejach Ujazdowskich prawie wcale nie chodzili.

Nareszcie nadszedł oczekiwany przez nas wszystkich z mocnem biciem serca dzień demonstracji. Tłumy robotników zaległy ulicę Chłodną i część Żelaznej, gdzie się zebrali demonstranci. Publiczność, zapelniająca trotuary po obu stronach tych ulic, choć w demonstracji brała tylko pośredni udział, była jednak czysto proletarjacka w przeciwieństwie do publiczności, która spacerowała w czasie demonstracji PPS po Alejach Ujazdowskich i składała się wylącznie z mieszczaństwa. Demonstracja nasza była dostatecznie imponującą, jak na owe czasy i warunki i była przekonywującym dowodem, że organizacja socjaldemokratyczna w Warszawie przestała być nieliczną grupą. Liczbę demonstrantów obliczaliśmy na 3 — 4 tysiące, choć korespondenci niektórych gazet zagranicznych podawali ją na 10 tysięcy.

Jeśli się weźmie pod uwagę, że Aleje Ujazdowskie już w tym czasie od kilku lat stały się tradycyjnem miejscem demonstracji majowych i że środki materialne i techniczne PPS były bez porównania większe od naszych, o czem świadczyła ogromna ilość bezpłatnie rozdawanych i rozrzuconych wydawnictw — to można bez przesady stwier-

dzić duży sukces naszej partji i jej bardzo poważny wzrost w przeciagu niecałych 2 lat.

Stare pokolenie robotników-rewolucjonistów na naszej demonstracji reprezentował członek starego «Proletariatu» — towarzysz Trojanowski, szewc z zawodu, który na tę uroczystość przywdział płaszcz Ludwika Waryńskiego — organizatora i wodza partji «Proletariat», zamęczonego przez rząd carski w kazamatach Szliselburga w 1889 roku.

Nadspodziewanie udana demonstracja majowa nie przewróciła nam w głowach. Dodała nam siły i otuchy, przekonała nas, że kroczymy dobrą drogą, że praca nasza jest potrzebna.

Policja, nie spodziewając się naszej demonstracji, główne swe siły skoncentrowała w Alejach Ujazdowskich, a przeciwko nam wystawiła niewielką liczbę policjantów, wskutek czego aresztowano zaledwie kilku demonstrantów i to dopiero po skończonej demonstracji.

Żałowaliśmy, że naszej demonstracji nie mógł widzieć Jan Rosół, bo siedział już od marca w więzieniu na Pawia-ku. Został aresztowany bez żadnego dowodu po kilkakrotnych rewizjach, podczas których nigdy nic nie znajdowano, gdyż był bardzo ostrożny. Ponieważ jednak żandarmi carscy jemu właśnie przypisywali główną zasługę szybkiego rozwoju naszej partji, więc postanowili choćby i bez dowodów unieszkodliwić go znowu na lat kilka.

Odczuwaliśmy bardzo brak rady i pomocy starego, doświadczonego rewolucjonisty, szczególnie pod nieobecność Zalewskiego, bo choć Rosół nie mógł być członkiem żadnej kierowniczej organizacji partyjnej, gdyż żandarmi śledzili każdy jego krok, pomagał jednak nam dużo czynem i radą we wszelkich sprawach. Kilkadziesiąt rubli wystarczyłoby, aby dać Ojcu możność wyjazdu choć na prowincję,

aby w ten sposób mógł uniknąć aresztu, którego można było oczekiwać już od czasu pogrzebu Węgrzynowicza. Niestety, ówczesne bardzo ciężkie warunki materialne naszej partji nie dawały nam możliwości przyjść mu z taką pomocą.

Podczas ostatniej rewizji w pierwszych dniach marca 1901 roku, kiedy żandarmi zakomunikowali mu, że zostaje aresztowany, wyraził im swoje zadowolenie, że się nareszcie skończy ciągle oczekiwanie. Przesiedział w bardzo ciężkich warunkach prawie 3 lata i został zesłany do Wschodniej Syberji w końcu 1903 roku. Kiedyśmy się spotkali w Krasnojarsku, opowiadał mi, że w czasie siedzenia na Pawia-ku, nie mając co palić, chciał sprzedać swoje miejsce w królestwie niebieskiem za paczkę machorki, ale nie mógł znaleźć nabywcy.

Po pierwszym maju wzięliśmy się do pracy ze zdwojoną energją. Na jednym z najbliższych po maju posiedzeń Zarządu Głównego i Komitetu Centralnego omawiano sprawę zwołania III zjazdu naszej partji, na którym, według zapewnień, miał również być obecny ktoś z naszych towarzyszy, mieszkających za granicą. Postanowiliśmy zwołać ten zjazd na miesiąc lipiec lub sierpień. Dla przygotowania zjazdu Zalewski został delegowany do Łodzi, Częstochowy i Zagłębia, a Sokołowski do Białegostoku i Wilna.

Im bardziej rosła nasza partja, tem mocniej odczuwaliliśmy starą naszą bolączkę — brak literatury socjaldemokratycznej. Otrzymywaliśmy doprawda mniej więcej regularnie «Przegląd Robotniczy», wydaliśmy jeden numer «Kurjerka Robotniczego» i wydawaliśmy dość często odezwy, ale w stosunku do zapotrzebowania — była to kropla w morzu, nawet jeżeli liczyć legalny tygodnik «Głos», w którym co tydzień były artykuły o polityce bieżącej, pisane

przez A. Warskiego i takiż tygodnik «Ekonomista», który drukował artykuły tow. S. Dalskiego o ubezpieczeniach robotników. Naukowej literatury społecznej nie było wówczas w Polsce prawie wcale z wyjątkiem kilku broszur. Wydawnictwa PPS w postaci przekładów z niemieckiego i francuskiego wykorzystywaliśmy w całej pełni. Jednak wszystko to razem wzięte, powtarzam, było niczem w porównaniu z tem, czegośmy potrzebowali i czego od nas żądały coraz szersze koła członków partji. Na każdym prawie posiedzeniu podnosiliśmy sprawę wydania popularnej broszury o elementarnych zasadach ekonomji politycznej (bo «Kto z czego żyje» Młota było za mało zrozumiałe dla robotników) i programu naszej partji.

Pisaliśmy o tem kilka razy do Róży Luksenburg i Warskiego. Wiedzieliśmy doskonale, że zagraniczna grupa naszych towarzyszy, składająca się z kilku osób, nie może wydać tych rzeczy na swój koszt, gdyż zarówno Warski, jak i Luksenburg nie opływają w dostatki i z trudem dostają środki na wydawanie «Przeglądu». Postanowiliśmy więc, że niezbędne na wydanie takich broszur pieniądze zbierzemy sami, a oni ją napiszą i wydadzą. I wzięliśmy się dość energicznie do zbierania pieniędzy na ten cel. Rozpowszechnialiśmy specjalne bloczki i listy składowe, a nawet w listopadzie zorganizowaliśmy specjalną loterję fantową i gdyby nie masowe areszty w grudniu tegoż roku, zebralibyśmy dość pieniędzy na to wydawnictwo, tembardziej, że i Litwa obiecała zebrać na ten cel pewną sumę.

Łącznikiem pomiędzy Wilnem a Warszawą był Husarow, lekarz wojskowy, bardzo sympatyczny i skromny towarzysz. Nie ściągając na siebie przez czas dłuższy żadnego podejrzenia ze strony carskiej policji dzięki wojskowemu mundurowi, wykonywał najryzykowniejszą robotę partyjną.

Po powrocie z objazdów Zalewski i Sokołowski na najbliższem posiedzeniu zdali nam sprawę ze stanu naszych organizacji na prowincji. W Łodzi, dzięki energicznej pracy Leśniewskiego, i jego brata, oraz N. Badjarowej i Widerszałówny — organizacja nasza rozwijała się nieźle i liczyła kilkuset członków, płacących mniej więcej regularnie składki partyjne i kilkanaście kół propagandy, złożonych z robotników włókienniczych, metalowców, cieśli i szewców. Jednak Leśniewski musiał wkrótce wyjechać z Łodzi, bo nie mógł zarobić tam na utrzymanie rodziny. Warunki, w jakich pracował w Łodzi, były bardzo ciężkie. Mieszkał razem z żoną i dwojgiem dzieci w małym pokoiku na facjacie i w tymże pokoiku mieścił się jego warsztat szewcki. Żartowaliśmy, że mają «pokój w kuchni i lufcik z balkonem». Zarabiał mało zarówno ze względu na niską opłatę pracy, jak z powodu ciągłego odrywania się od roboty zarobkowej dla pracy partyjnej.

W Częstochowie organizacja rozwijała się powoli i choć specjalnej działalności nie wykazywała, to jednak mieliśmy już stosunki w dwóch fabrykach i dobrze zorganizowaną granicę.

W Zagłębiu grupa nasza powiększyła się do 20 członków i gdybyśmy mogli dać tym dwóm organizacjom (Częstochowie i Zagłębiu) pomoc w postaci agitatora, niewątpliwie rozwinęłyby się bardzo szybko.

W Białymstoku, gdzie pracował Nitenberg, organizacja wzrosła znacznie dzięki jego pracy i pomocy ze strony Papkiewicza, a szczególnie Bogdanowicza, który posiadał wśród tamtejszych robotników bardzo szerokie stosunki.

W końcu maja 1901 roku otrzymaliśmy wiadomość, że przez granicę w Herbach około Częstochowy przyjdzie transport naszej literatury. Jechać po ten transport miałem ja,

dobrawszy sobie kogoś do pomocy. Pojechaliśmy we dwoje ze Stefanją Pulszewską, młodą robotnicą fabryki włókienniczej. Największa trudność tej roboty polegała na nawiązaniu stosunków z kontrabandzistą, który nikogo z nas nie znał.

Jakkolwiek posiadałem szczegółowy jego adres i umówione hasło, jednak przy pierwszym spotkaniu przyjął mnie bardzo nieufnie i zupełnie wyraźnie powiedział mi, że za propozycję wydania jakiegś jemu nieznanego literatury powinienby połamać mi kości. Chcąc być pewny, że nie jestem szpiegiem, zaproponował mi u siebie nocleg na strychu, gdzie byłem zamknięty aż do rana, kiedy powrócił z za pruskiej granicy, która się znajdowała na odległości pół kilometra. Po tamtej stronie widocznie mu powiedziano, że może zaufać człowiekowi, który zna hasło, bo oświadczył mi, że «książki są» i mogę je zabrać. Dopłaciłem mu 10 rubli, które stanowiły drugą połowę należnej sumy za przeniesienie 2 pudów literatury. Była ona zakopana głęboko w ziemi paczkami po 10 czy 15 funtów za stodołą i wyjmowało się z ziemi tylko taką ilość, jaką we dwoje mogliśmy wziąć za jednym razem. Transport ten zawierał sto kilkadziesiąt egzemplarzy «Przeglądu», kilka numerów «Zari» i więcej, niż pud ówczesnego organu SDPRR «Iskry», zdaje się 2 i 3 numery.

Cały ten transport mieliśmy przenieść ze wsi, odległej od Częstochowy o jakieś 4 likometry. Robiliśmy z Pulszewską po kilka spacerów dziennie tam i z powrotem, jednak cała praca trwała trzy dni, bo nie mogliśmy nosić «bibuły» poprostu paczkami w rękę, ile że znaczyłoby to wsypać się razem z literaturą i wsypać granicę. Trzeba było ją nosić na sobie, przywiązując na całym ciele, nogach i rękach specjalnymi powijakami, co przy dość ciepłych dniach było

bardzo męczące. Pozatem należało zachowywać się bardzo ostrożnie, aby nie zwrócić na siebie uwagi przy częstych spotkaniach z patrolami straży pogranicznej. Trzymaliśmy więc w rękach kwiaty, zebrane w polu po drodze i udawaliśmy mocno zakochanych. Przyznać muszę, że wobec dużego skrępowania ciężarem, jaki każde z nas dźwigało na sobie, nie było to wcale łatwym zadaniem.

Przeniósłszy cały transport do mieszkania jednego z częstochowskich towarzyszy, zajęliśmy się przy pomocy gospodarza pakowaniem literatury w podwójne dna trzech dużych waliz, które po jednej przewoziliśmy do Warszawy. Do Warszawy przyjechali po «Iskrę» i «Zarję» towarzysze z Moskwy i Kijowa. Jak już wspominałem, literatura rosyjska interesowała nas bardzo, ale z powodu słabej znajomości rosyjskiego języka małośmy się w niej orjentowali, szczególnie małośmy rozumieli artykuły teoretyczne i programowe. Najciekawsze i najbardziej zrozumiałe były dla nas korespondencje z różnych końców wielkiej Rosji.

Przypominam sobie również hymn satyryczny Tuporylowa, wymierzony przeciwko ekonomistom, przyszłym mieniszewikom, wydrukowany w jednym z numerów «Zari» i zaczynający się od słów: «Jeżeli wozmożno, no ostorożno, miedlennym szagom, robkim zygzagom szestwuj wpirod, raboczyj narod».

Jeżeli mówię, że małośmy rozumieli artykuły w «Iskrze» z powodu słabej znajomości rosyjskiego języka, to muszę dodać, że również mało rozumieliśmy artykuły w «Przeglądzie», choć były dla nas specjalnie przeznaczone i pisane po polsku. Nasza grupa zagraniczna była od dłuższego czasu oderwana od roboty krajowej i od polskich mas robotniczych i nie umiała przystosować swego sposobu pisania do potrzeb propagandy masowej. Byliśmy wtedy

przekonani, że jesteśmy poprostu zbyt głupi, aby zrozumieć takie mądre rzeczy. Dopiero znacznie później, kiedy już przeczytałem znaczną ilość książek, doszedłem do przekonania, że nawet przeciętnie rozwinięty robotnik może zrozumieć naukową książkę, czy artykuł, ale do tego niezbędne są dwa warunki: autor powinien obłok jasnego pojęcia o swym temacie mieć dobrą znajomość czytelników, dla których pisze, być z nimi związany faktycznie, a nie formalnie.

W roku 1901 zaszło prawie jednocześnie kilka strajków całkowitych i częściowych u białoskórników, szewców i piekarzy, któremi kierowały organizacje zawodowe tych fachów pod ogólnem kierownictwem naszej partji. W przeciągu lat 4, to jest od roku 1897 do 1901, strajki u piekarzy i szewców powtarzały się corocznie. Nasze organizacje zawodowe już od samego początku swego istnienia były najzupełniej pozbawione bundowskiej, tolerancji i dbałości o interesy drobnych przedsiębiorców, a tacy właśnie stanowili bezwzględną większość w szewctwie i białoskórnictwie.

Partja nasza kierowała pracą organizacyjną zawodowych bezpośrednio. Sprzyjało temu w dużej mierze to, że w kierownictwie tych organizacyj byli z drobnymi wyjątkami, ci sami towarzysze, co i w lokalnem kierownictwie partji.

Oprócz wyżej wymienionych organizacyj zawodowych, które były zaczątkami przyszłych związków zawodowych, zaczęliśmy organizować również robotników metalowych i zorganizowaliśmy już kilka kół agitacyjnych z robotników fabryk Rephana i Webera-Dejnego, na których układali również metalowcy — towarzysze Masiuk i Rulak.

W czasie lata wydaliśmy kilka odezw z powodu różnych bieżących wypadków politycznych i większą ulotkę wielkości dużego półlarkusza, poświęconą, zdaje się śmierci generał-gubernatora warszawskiego Imertyńskiego. Prawie co niedzielę urządzaliśmy zebrania-majówki na kępach Saskiej, Wielorybiej i Potockiej, położonych na Wiśle pod Warszawą. Na zebraniach tych bywało po 100, 200 i więcej osób. Była zawsze muzyka, składająca się z harmonji i skrzypiec, wódka, zakąski i tańce. Ale najgłośniejszym punktem były przemówienia agitacyjne, które wygłaszał w zastępstwie towarzysza Masiuka, aresztowanego wiosną tegoż 1901 roku, młodzi towarzysze — Aleksander Blek¹, piekarz i półinteligent, sekretarz organizacji zawodowej białoskórników i syn robotnika Ignacy Rządca². Tematami ich przemówień były artykuły w «Przegłądzie», na podstawie których opracowaliśmy ich konspekty. Na tematy antyreligijne występował Durko — robotnik — metalowiec. Robić te konspekty nauczył nas Masiuk. Na te zebrania-majówki zapraszaliśmy czasami robotników-żydów, członków organizacji bundowskiej i parę razy ich mówcy przemawiali u nas po żydowsku. Organizatorami tych zebrań był albo komitet warszawski, albo któraś z organizacyj zawodowych.

Stan organizacyjny naszej partji w okresie III Zjazdu SDKPiL i w przededniu masowych aresztów grudniowych

¹ Później Blek emigrował za granicę i, skończywszy szkołę sztuk pięknych w Paryżu, został znanym artystą rzeźbiarzem.

² Był autorem kilku pieśni rewolucyjnych, które napisał w roku 1903, siedząc na Pawiaku. Najpopularniejszym stał się marsz pożegnalny p. t. «W sybirskie tundry, w kraj daleki». W r. 1904 Rządca brał czynny udział w buncie zesłańców politycznych w Jakucku, znanym pod nazwą «Romanowskiego powstania», za co został skazany na 12 lat katorgi.

przedstawiał się, jak następuje: w Warszawie nasze organizacje zawodowe ogarniały przeszło 1000 robotników różnych zawodów i fachów i wszyscy członkowie tych organizacji byli jednocześnie mniej lub więcej czynnymi członkami partji. Podstawą naszej organizacji partyjnej były organizacje zawodowe i koła fachowe. Kół fabrycznych, ani też komórek formalnie nie było, ale członkowie naszych organizacji, pracujący w danej fabryce czy warsztacie byli z sobą w jaknajściślejszej łączności i faktycznie tworzyli komórkę w dzisiejszem znaczeniu tego słowa. Komórki te były w większości wypadków ściśle zakonspirowane i występowały jawnie tylko w nadzwyczajnych wypadkach. Literaturę naszą i odezwy rozpowszechnialiśmy wśród nieczłonków organizacji, wkładając je w fabrykach i warsztatach do szuflad, skrzynek z instrumentami i do kieszeni ubrań z wyjątkiem niektórych warsztatów szewskich, białoskórniczych, lakierniczych i piekarni, gdzie pracowali wyłącznie lub w większości członkowie naszej partji. Członkowie naszej organizacji pracowali w następujących fabrykach: Lilpopp-Rau i Lewensztajn, Rohn i Zieliński, Berman i Szwede, Rephan, Cukierwar i Weber-Dejne, w fabrykach włókienniczych Fajnkinda, Rajcherta, Szlenkiera, Kazanowskiego i Drezdeńskiej Manufakturze w fabryce łóżek Konrada i Jarnuszkiewicza, w lakierni, w kilkudziesięciu większych i średnich warsztatach szewskich, we wszystkich dużych piekarniach i części małych, w warsztatach białoskórniczych i paru fabrykach blacharskich, w dwóch warsztatach stolarskich i we wszystkich lakierniczych.

Na prowincji mieliśmy miejscowe komitety w Łodzi, gdzie organizacja nasza liczyła około 100 osób i tyluż członków liczył miejscowy oddział warszawskiej organiza-

cji zawodowej szewców. Na Litwie — w Białymstoku, Wilnie i Grodnie było razem 200—300 zorganizowanych członków naszej partji, tak, że nie licząc drobnych grup w Częstochowie i Zagłębiu Dąbrowskiem, liczbę członków SDKPiL w październiku-listopadzie 1901 roku można przyjąć mniej więcej za 1500.



III Zjazd SDKPiL odbył się w dniach 27 i 28 października 1901 roku w obecności następujących delegatów: od Warszawy: Wincenty Matuszewski — krawiec, Michał Cajler — młody piekarz, Edward Sokołowski — agronom, Jan Piątkowski — metalowiec, Tomasz Magrzyk — szewc, Marjan Płochocki — piekarz; z Łodzi: Jan Leśniewski, Olga Badior — nauczycielka, Halina Widerszal — doktor nauk przyrodniczych, z Litwy: Kozłowski: Mieczysław — prawnik, Karol Nitenberg — szewc i Husarow — lekarz wojskowy. W charakterze gości byli obecni: Kazimiera Daniel — artystka malarka, Bergman — farmaceuta, Stanisław i Piotr Nitenbergowie — robotnicy i ich matka — Paulina Hencel.

Pierwsze posiedzenie zjazdu odbyło się w mieszkaniu Cajlera, drugie — w mieszkaniu Hencelowej, trzecie — w polu pod Markami i ostatnie — w mieszkaniu Winkla¹. Ani porządku dziennego obrad zjazdu, ani dyskusji nie pamiętam, przypominam sobie tylko, że omawiano sprawę połączenia z Socjaldemokratyczną partją robotni-

¹ Winklan — członek Stowarzyszenia Starych Bolszewików, zmarł w Moskwie w roku 1927.

czą Rosji, przyczem przyjęto niesłuszną i mylną zasadę federacji.

▲
Zaraz po zjeździe Zalewski pojechał do Kijowa i Charkowa, skąd po kilku tygodniach powrócił, przywożąc trochę pieniędzy. Wzięliśmy się więc do wydania 1-go numeru naszego organu krajowego pod tytułem «Sprawa Robotnicza». Ponieważ zarówno przed zjazdem, jak i po zjeździe musiałem kilka razy jeździć do Częstochowy po naszą, a głównie rosyjską literaturę w postaci transportów «Iskry», więc, abym nie musiał odrywać się od pracy przy drukowaniu naszego pisma, postanowiliśmy oddać naszą granicę bundowcom z warunkiem, że będą wykonywać nasze zobowiązania w stosunku do SDPRR, jak również przewozić i naszą literaturę.

Drukarnię zainstalowano w mieszkaniu Karola Nitenberga, który już w tym czasie powrócił z Białegostoku i pracował w warsztacie, i jego żony Marji Dobrzyńskiej, Czerwonej, na tak zwanych Budach, poza granicą ówczesnej Warszawy. Zalewski pojechał do naszych organizacji prowincjonalnych w celu zebrania dla tego pierwszego numeru korespondencji z fabryk i warsztatów, a ja w drugiej połowie listopada wziąłem się do składania artykułu wstępnego, który, jeśli mnie pamięć nie myli, był nam przysłany z zagranicy. Praca szła mi już coraz lepiej, choć brakło jeszcze czcionek. Odrywałem się od tej roboty bardzo mało, pracując całymi dniami, a często i nocami całymi, chcąc zakończyć numer jaknajprędzej. Jednak już dawało się odczuwać dość silne zmęczenie, wywołane ciężkimi warunkami nielegalnego życia. Zmęczenie to odczuwaliśmy wszyscy, ale najbardziej Zalewski, który był już bardzo

trapiiony przez szpiclów, musiał porzucić wszystkie swoje noclegi u studentów-rosjan i nocował razem ze mną w lokalu drukarni na rozesłanych na podłodze firankach, przynoszonych przez Nitenbergową z fabryki do wykonania.

Drukarnia nasza nie wysypała się w czasie masowych aresztów, które wkrótce nastąpiły, tylko dzięki temu, że szpicle wówczas nie mieli odwagi iść dalej, jak do ulicy Młynarskiej, gdzie była granica miasta i zaczynały się bardzo skąpe, albo wcale nieoświetlone ulice. Od ulicy Młynarskiej skręcaliśmy wąską ścieżką, idącą brzegiem dużego i głębokiego dołu, zapelnionego wodą, dla którego szpicle mieli tak duży szacunek, że nie podchodzili doń na bliższy dystans. Ale w samym mieście śledzono nas już coraz mocniej. Razu pewnego zauważyliśmy, że na rogu ulic Leszna i Wroniej stoi stały posterunek szpiclowski, który obserwuje wchodzących i wychodzących z domu Nr. 102-a na Lesznie. Daliśmy znać naszym towarzyszom w fabryce Bormaniana z prośbą o pomoc. Przyszedł towarzysz Frajtag z jeszcze paroma towarzyszami i, udając pijanych, zaczęli nibyto awanturę, w wyniku której mocno poturbowany szpicel został uprzątnięty przez pogotowie ratunkowe. Niewiele to jednak pomogło, bo oprócz szpiclowania, z którembyśmy dali sobie radę, mieliśmy i prowokatora, o czym dowiedzieliśmy się dopiero po Rewolucji Październikowej¹.

Czuliśmy, że robi nam się coraz ciśniej i zdawaliśmy sobie jasno sprawę, że zbliża się moment aresztu i więzienia. 28 listopada została zwołana warszawska konferencja naszej organizacji, która się odbywała przy ulicy Ogrod-

¹ Prowokatorem tym okazał się Lucjan Szczechowicz.

wej Nr. 49. Na tej konferencji było obecnych około 30 osób, w tej liczbie i Zalewski. Pomimo zastosowanych wielkich ostrożności, konferencja się wsypała i wszyscy jej uczestnicy zostali aresztowani.

Wsypała ta, a szczególnie areszt Zalewskiego, oddziaływała na nas fatalnie. Napisałem o tem natychmiast do Róży Luksemburg.

Po tym areszcie większość pomagających nam inteligentów powyjeżdżała lub pochowała się. Z nami pozostali tylko towarzysze Kazimiera Daniel, Sokołowski i studenci rosjanie, których już również bardzo śledzono.

Położenie naszej organizacji i nasze było bardzo trudne i ciężkie, ale, choć, jak już o tem wspomniałem wyżej, byliśmy bardzo wyczerpani, jednak postanowiliśmy jednogłośnie ani na chwilę nie przerywać roboty w oczekiwaniu pomocy z zagranicy i za wszelką cenę skończyć numer, którego składałem już 4-tą stronicę, pracując w dzień i w nocy.

Jakoś w połowie grudnia zwołaliśmy posiedzenie Zarządu Głównego, aby zdecydować, co robić dalej. Posiedzenie było wyznaczone na godzinę 12-stą w dzień w niedzielę.

Z samego rana dnia tego zaszedłem do jednego z towarzyszy, od którego otrzymałem trochę tytułowych czcionek u innego odebrałem korespondencję, przeznaczoną do numeru, a u towarzyszyki Daniel — korektę już odbitych 3 stron, następnie poszedłem do mieszkania, w którym miało się odbyć posiedzenie. Poczekawszy tam czas jakiś na spóźniających się towarzyszy, postanowiłem dowiedzieć się o przyczynie ich opóźnienia i w tym celu poszedłem do mieszkania «Matki», to jest Henclowej, mieszczącego się w tymże domu. Wchodząc na schody, zauważyłem, że przy

wejściu stoi policjant a w głębi sieni — szpicel. Jednak spostrzeżenie to, które w innych warunkach wywołałoby chęć wydostania się z głupio zrobionej przez policję zasadzki, nie zdołało wybić mnie ze śpiączki, czy odrętwienia, w jakim się znajdowałem po całonocnej robocie w drukarni. Dopiero, kiedy, wchodząc do mieszkania Henclowej, zobaczyłem w korytarzu dwóch żandarmów, otrząsnąłem odrazu.

Kiedy, starając się udąć zupełną obojętność, przywitałem się z obecnymi w mieszkaniu towarzyszami, siedzący za stołem oficer żandarmski (jak się później dowiedziałem, naczelnik warszawskiej ochrony, pułkownik Kowalewski), zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Można sprosić' kak wasza familja?

Na co obojętnie odpowiedziałem:

— Stanisław Gołębowski¹.

— A gdzie żywiotie?

— Na ulicy Płockiej w domu Sosnowskiego (nigdy tam nie mieszkałem i nie wiem, czy był taki właściciel domu).

Widziałem, że matka Henclowa i jej synowie wymyślali mi wzrokiem, że wlażem, jak idjota i mieli zupełną rację. Pułkownikowi oczki się zaświeciły z radości, kiedy jego podwładni wyciągnęli z moich kieszeni czcionki, trzystronicowy numer «Sprawy Robotniczej»² i odebrane korespondencje.

Rewizja jednego pokoju trwała przeszło 12 godzin, obstukiwano ściany i podłogę, szukano w luftach kuchni i czekano, czy nie nadejdzie kto jeszcze, ale czekano na próżno,

¹ Byłem zameldowany w gminie pod Warszawą za pasportem piekarza tego nazwiska, który się później stał prowokatorem.

² Numer ten znajduje się obecnie w archiwum IMEL.

bo Matuszewski i Piątkowski, zauważywszy policję w bramie, nie weszli.

Dopiero o godzinie pierwszej w nocy zaczęto nas rozwodzić wprost do więzień, Hencłową i mnie do X pawilonu, a pozostałych — na Pawiak. Otrzymaliśmy odpoczynek i spokój na czas dłuższy.



Część III

Więzienie i załamanie



Więzienie dla przestępców politycznych, mieszczące się w cytadeli warszawskiej, a zwane X pawilonem, było otoczone legendarną tajemniczością i w masach robotniczych krążyły opowiadania o morderstwach, popełnianych tu na więźniach przez carskich żandarmów. Z nazwą tego więzienia była związana historia bohaterskiej socjalno-rewolucyjnej partji robotniczej «Proletariat». Tu w tych celach więziono jej bohaterów, tu zostali powieszzeni Kunicki, Bardowski, Pietrusiński i Osowski i stąd wywieziono na katorgę pozostałych 25, skazanych przez sąd wojenny i około 100 skazanych na zesłanie na Syberję wyrokami administracyjnemi.

▲
Otrzymałem dużą, jasną i czystą celę, w której znajdowało się łóżko z czystą pościelą, stół, stołek i dzbanek

z wodą. Było to umeblowanie skromne, ale najzupełniej wystarczające. Trzy razy dziennie przynoszono mi bardzo przyzwoite jedzenie, jakiego miesiącami nie widziałem podczas dwuletniej, nielegalnej pracy. Ci towarzysze, którzy miesiącami i latami pracowali w nielegalnych warunkach o głodzie i chłodzie, często nie mając pojęcia, gdzie znajdą nocleg, rozumieją napewno, że więzienie nietylko nie wywarło na mnie przygnębiającego wrażenia, lecz przeciwnie byłem z niego do pewnego stopnia zadowolony, jako z odpoczynku, który mi się słusznie należał i czułem się dobrze. Miałem nareszcie własny pokój. Coprawda, zamykał się trochę za mocno, ale nie można przecie wymagać za wiele.

Przez pierwsze dni pobytu w tym «własnym pokoju» dużo spałem i zjadałem wszystko, co mi dawano. Spałem jednak po piekarsku, to jest bardzo czujnie, przypominawszy sobie opowiadania towarzyszy, że żandarmi podsłuchują więźniów, mówiących przez sen i czasami biorą wprost ze snu na badanie. Czy podsłuchiwali — nie wiem, sądzę, że nie, a na badanie nie brali mnie w nocy ani razu. Już na drugi dzień pobytu w X pawilonie, wiedząc, że posiada on dużą bibliotekę, zażądałem książek. Pamiętam, jakby to było wczoraj, przyniesiono mi «Kobietę trzydziestoletnią» W. Balzaka. Przeczytałem tę książkę z przyjemnością, choć nie wszystko rozumiałem i mało mnie zainteresowała postać bohaterki, jej przeżycia i cierpienia. Następnie dano mi parę tomów utworów Rzewuskiego. Były to rzeczy najgłupsze i najbardziej cuchnące kadzidłem kościelnym i gromnicą ze wszystkiego, co kiedykolwiek czytałem z literatury polskiej. Nie mogąc wybierać z katalogu, który dawano dopiero po roku siedzenia, musiałem czytać i to plugawstwo.

Po kilku tygodniach siedzenia podczas jedzenia wyleciało

mi parę zębów, na drugi, czy trzeci dzień znówu się to powtórzyło, więc zawezwałem lekarza. Lekarz powiedział, że jest to szkorbut i przepisał mi jakieś proszki i cytryny, których zjadałem po kilka dziennie. Jeżeli był to rzeczywiście szkorbut, to nabawiłem się go nie w więzieniu, lecz na wolności. Choroba ta wywołała jakieś komplikacje w prawym uchu, wskutek czego straciłem w nim słuch na całe życie.

Dopiero po paru miesiącach przyszedłem zupełnie do równowagi moralnej i fizycznej i zupełnego panowania nad sobą. Głównie starałem się nie myśleć o tem, co pozostało na wolności, a więc o drukarni, o dokończeniu pisma i o tem, kto pozostał do pracy. Przełożyłem sobie nie bez trudu, że, skoro nie mogę niczem im pomóc, muszę myśleć nie o tem, co było, lecz o tem co i jak robić na przyszłość i jak racjonalnie wykorzystać względnie sprzyjające warunki, w jakich się znalazłem w więzieniu.

W drugim, czy trzecim miesiącu siedzenia otrzymałem pierwszą tak zwaną «wałówkę», to jest paczkę, w której było trochę bielizny i dwie książki: 1 tom «Kapitału» K. Marksa i «Zarysy kultury pierwotnej» Zibera, obie w języku rosyjskim. Był to trochę za ciężki bagaż na moje słabe siły, zwłaszcza Marks, ale przyznam się, iż sam fakt, że towarzysze uznali za możliwe przysłać mi Marksa — sprawił mi wielką przyjemność. Postanowiłem czytać te książki powoli i uważnie, nie tak, jak się czyta beletrystykę i tylko przez dwie ranne godziny. Resztę dnia zaczytywałem się najcenniejszymi utworami literatury europejskiej, wydanymi przez Bibliotekę warszawską. Były tam przekłady Szekspira, Szyllera, Woltera itp. Dopiero po 4-miesięcznym siedzeniu zostałem wezwany na pierwsze (i ostatnie)

badanie. Nosiło ono uroczysty charakter, bo było obecnych 2 żandarmów, naczelnik ochrony, który nas aresztował, jego pomocnik — rotmistrz Kuniski i 2 prokuratorów. Pierwsze pytanie, jakie mi zadano, było: jakie jest moje nazwisko, na co natychmiast powiedziałem im swoje prawdziwe nazwisko, gdyż ukrywać go dalej nie było już żadnej potrzeby. Następnie zadano mi zwykle żandarmskie pytanie, czy przyznaję się do tego, że jestem członkiem organizacji, nazywającej się Socjaldemokracją Królestwa Polskiego i Litwy, na co odpowiedziałem przecząco. Czem mogę objaśnić posiadanie kilku czcionek, korekty, listów? Gdzieś znalazłem, ale gdzie — przypomnieć sobie nie mogę. Na pytanie, czy znam Zalewskiego, odpowiedziałem twierdząco i objaśniłem, że pracowałem u niego w piekarni na ulicy Dzielnej¹. Dlaczego korzystałem z cudzego paszportu? Odpowiedziałem, że do tego zmusiły mnie same władze carskie, wysyłając mnie z Warszawy. Na tem zakończono badania, które trwało nie więcej, jak pół godziny.

Jak i kiedy badano moich towarzyszy, znajdujących się w X pawilonie, nie mogłem się dowiedzieć, bo żandarmi, wiedząc dobrze, że natychmiast porozumielibyśmy się przy pomocy więziennego telegrafu, to jest wystukiwania przez ścianę liter polskiego alfabetu, rozsadzali nas w ten sposób, abyśmy nie byli sąsiadami i nie mogli się porozumieć. Telegrafowanie, jak powiedziałem, polegało na przestukiwaniu liter, z których następnie składało się słowa. W tym celu brało się 23 litery alfabetu (bez a, e, j, ć, ż, ą itp.) i pisało się je po pięć w wierszu, co dawało cztery wiersze po pięć liter i jeden — 3.

¹ Był w tym czasie właściciel piekarni tego nazwiska.

A B C D E
F G H I K
L M N O
P R S T U
W Y Z

Wypukiwało się najprzód wiersz, a następnie odpowiednią literę. Naprzykład słowo «kto» telegrafowało się w następujący sposób: 2-gi wiersz, 5-ta litera, 4-ty wiersz 4-ta litera, 3-ci wiersz 5-ta litera itp. Przy pewnej wprawie i dzięki najzupełniejszej więziennej ciszy, rozmowy przy pomocy tego telegrafu szły bardzo szybko i nieraz prowadzono przez ścianę całe dyskusje. Kiedy rozmawiali starzy więźniowie, to zamiast wszystkich liter danego słowa, dość było wystukać jedną lub dwie litery, aby sąsiad dał sygnał, że rozumie, o co chodzi.

Ja już po dwóch tygodniach dość dobrze «telegrafowałem» i udawało mi się to robić tak zręcznie, że, choć rozmawiałem szczególnie w nocy dość dużo, jednak ani razu nie dałem się złapać żandarmom. W pierwszych miesiącach sąsiadem moim był jakiś wojskowy, który nie mógł się nauczyć alfabetu, a następnie łotysz, aresztowany na pruskiej granicy z transportem utworów Tolstoja, drukowanych w Londynie. Następnie przez czas dłuższy sąsiadką moją była Marja Rogowska z PPS, z którą nasza rozmowa ograniczała się pytaniami w rodzaju «dzień dobry», «jak się czujecie», «co czytacie» itp.

Po badaniu przestałem zupełnie myśleć o mojej sprawie i możliwości kary i było mi obojętne, jaki otrzymam wyrok. Wiedziałem, że w najgorszym razie zostanę zesłany na Syberję, gdzie spotkam się z towarzyszami i będę mógł się uczyć. Przedewszystkiem starałem się uczyć. Zabrałem się do studjowania «Kapitału» Marksa, w czym Ziber nie-

wiele mi pomógł. Studując «Kapitał», nie miałem nawet tej obawy i nieśmiałości, o jakiej w czasie późniejszym opowiadali mi inteligenci, którzy przed «Kapitałem» czytali coś niecoś z ekonomji politycznej. Ja byłem pod tym względem w stanie zupełnego «dziewictwa», bo nie miałem wówczas najmniejszego pojęcia o ekonomji politycznej, nie znałem nawet jej terminologii. Pozatem miałem pewne trudności z językiem rosyjskim. Wogóle znaczenia wielu słów i określeń musiałem się tylko domyślać, gdyż nie było kogo o nie zapytać.

Po bardzo powolnem i pracowitem przeczytaniu kilku rozdziałów doszedłem do przekonania, że zupełnie nic nie rozumiem. Czytałem jednak dalej. Zacząłem się dopiero trochę orjentować przy czytaniu dalszych rozdziałów, gdzie jest mowa o kupnie i sprzedaży siły roboczej, bo tę sprawę znałem już praktycznie. Przypominałem sobie obliczenie zysków mego przedsiębiorcy, którego dokonywałem przed strajkiem 1897 roku i z łatwością zrozumiałem, że zysk jego stanowiła nieopłacona wartość naszej pracy. Trudno mi opisać, jak bardzo mnie ucieszyło to proste odkrycie i przekonanie, że jednak nareszcie i ja będę mógł zrozumieć «Kapitał». Niemniejszą radość sprawiło mi cytowane przez Marksa sprawozdanie komisji parlamentu angielskiego, badającej warunki pracy w piekarniach londyńskich. Setki razy powtarzałem przytoczone w «Kapita-le» przysłowie łacińskie: «W tej bajce, jest mowa o tobie, zmieniono tylko imię». Napelniało mnie to taką radością, że śpiewałem, chodząc po celi «Marsyljanek», co prawda, tak, jak byli rosyjscy liberali, to jest, aby nikt nie słyszał. Cieszyłem się, jak dziecko, że w niedostępnem, jak mi się zdawało, dla mnie dziele naukowem, znalazłem bardzo wiele rzeczy, które znałem praktycznie i rozumiałem. Zda-

wałem sobie sprawę, że była to zaledwie kropla w porównaniu z tem, co trzeba było zrozumieć i przetrwać, aby się stać świadomym rewolucjonistą. Chwilami odczuwałem brak kogoś, z kim mógłbym się podzielić swoją radością i myślami. Ale były to tylko chwile. Wogóle nie żałowałem wcale, że jestem i muszę być sam, bo nie potrzebowałem tracić czasu na często bezpłodne rozmowy. Będąc sam, mogłem w zupełnym spokoju myśleć i przetrwać tę masę wiadomości, jakie czerpałem z czytanych książek.

W tym czasie dostałem Szekspira i poetów łacińskich. Szczególnie podobał mi się Lukrecjusz i niektórych jego wierszy nauczyłem się na pamięć. Czytając Szekspira, dziwiłem się, że taki mędrzec zajmuje się tak bagatelniemi sprawami, jak przygody miłosne i samobójstwa szlachty włoskiej, lądactwa królów angielskich i innych. W «Romeo i Julji» podobał mi się tylko zakonnik, hodojący w celach naukowych kwiaty. «Hamlet» zaś nie podobał mi się wcale. Nie mogłem jeszcze wówczas zrozumieć, że wszystkie te Hamlety i Kapulety oraz ich cierpienia potrzebne były Szekspirowi, jako narzędzie, przy pomocy którego wypowiadał swoje mądre i głębokie myśli.

Czytałem wyjątki z «Pieśni nad pieśniami» i z utworów perskiego poety Firduziego i wiele innych, i im więcej tych cudownie pięknych rzeczy czytałem, tem większa ogarniała mnie wściekłość, że były one wówczas prawie zupełnie niedostępne dla robotników.



Czas schodził mi bardzo prędko, choć pojęcia nie miałem, jak długo będę musiał siedzieć, a może właśnie dlatego. Żandarmi, jakby zapomnieli zupełnie o mnie i nie wywoływali mnie na badania aż do września czy paździer-

nika 1903 roku, a ja czułem się bardzo dobrze, bo czytałem i pochłaniałem książki. Główną masę przeczytanych wówczas książek stanowiła polska beletrystyka. Dały mi one znajomość polskiego języka, pojęcie o ideologii polskiego mieszczaństwa, burżuazji i ginącej szlachty polskiej. Wreszcie ogólną znajomość klasyków literatury światowej. To było dość dużo. Główną jednak rzeczą była nasza ewangelja, jakieśmy wówczas mawiali — «Kapitał». Czytałem powoli poraz drugi-trzeci, aby go lepiej zrozumieć i utrwalić w pamięci, tłumaczyłem z rosyjskiego języka na polski całymi stronicami i rozdziałami.

Nauka marksizmu przychodziła mi z trudnością dlatego, że zacząłem ją studjować bez żadnego przygotowania, na które nie miałem ani czasu, ani możliwości. Jednak zasadnicze podstawy tej nauki przetrawiłem i zrozumiałem. Zrozumiałem przede wszystkim, że «byt określa świadomość człowieka». Moja świadomość klasowa, jak i świadomość klasowa setek i tysięcy takich, jak ja robotników, powstała przy bydlęco ciężkiej pracy, pod uderzeniami trzciny i polana, któremi mnie popędzano przy tej pracy, czego nie mogli zrozumieć nawet dość niegłupi ówczesni towarzysze inteligencji, którzy przyszli do ruchu robotniczego z zewnątrz. Zrozumiałem dalej, że ustroje społeczne nie są wytworem dobrej lub złej woli jakichś bogów, czy ludzi, lecz jedynie wynikiem stosunków wytwórczych danej epoki i że akuszerką, która przyśpieszy i ułatwi poród nowego ustroju siłą — będzie i być może tylko klasa robotnicza, która ma do stracenia tylko kajdany ucisku i wyzysku, a do zyskania, zdobycia — wszystko.

I choć słabo rozumiałem podaną w «Kapitale» mechanikę ustroju kapitalistycznego, jednak miałem już wówczas przekonanie, że właśnie Marks odkrył «przyczynę przy-

czyn», nad którą tak dużo i tak niepotrzebne męczyły się uczone kretyny, w bezsilności swojej apelujące do nieba, skąd im pokazywano figę.

W książkach z biblioteki więziennej znalazłem podpisy więźniów, którzy je czytali, zrobione przy pomocy ledwie dostrzegalnych kropek i znaczków, robionych na literach. Między innymi znalazłem podpisy «Józef i Marja Piłsudcy, redaktorowie «Robotnika», aresztowani z drukarnią w Łodzi» i «Antoni Rosół, aresztowany w Warszawie jednocześnie z Feliksem Dzierżyńskim» i wiele innych nazwisk. Po upływie półrocznego więzienia przyszła do mnie na widzenie już przeze mnie wspomniana towarzyszka Jadwiga Pułczewska, robotnica fabryczna, która podała się u żandarmów za moją cioteczną siostrę. Niewiele mogliśmy naturalnie pomówić z sobą, bo widzenie odbywało się przez dwie siatki druciane, przyczem obok Pułczewskiej stał przez cały czas widzenia żandarm, który obserwował, czy ja jej nie komunikuję czegoś na migi, a z tyłu za mną, w ścianie znajdowało się okienko, przez które oficer żandarmerji słuchał naszej rozmowy. Jednak pomimo to wszystko zdążyła zakomunikować mi, że drukarnia ocalała i pracuje.

Takie widzenia miałem co miesiąc, bo Jadwiga nie mogła się częściej zwalniać z fabryki. Przez nią również otrzymywałem po kilka rubli na papierosy, zeszyty, pióra i ołówki, bo jedzenie więzienne wystarczało mi zupełnie i nie sobie kupować nie potrzebowałem.

Tak trwało do połowy 1903 roku, kiedy Pułczewska zachorowała i ja zostałem pozbawiony wszelkiej pomocy z zewnątrz. Chodziło mi głównie o palenie, do którego już się bardzo przyzwyczaiłem i obywać się bez niego było mi bardzo trudno. Ostatnie kilkadziesiąt kopiejek, jakie mia-

lem w kancelarii, zostały mi skonfiskowane przez naczelnika więzienia, jako kompensata za jakoby zniszczoną przeze mnie książkę. Zniszczenie polegało na tem, że podkreśliłem paznokciem parę wierszy, które mi się bardziej podobały w broszurze, napisanej przez A. Świętochowskiego¹ p. t. «Dumania pesymisty», co zauważył przez «judasza», to jest przez dziurkę we drzwiach, dyżurny żandarm i doniósł naczelnikowi. Broszurka Świętochowskiego (napisana przezeń za młodu, kiedy był dopiero kandydatem na szubrawca) była napisana z talentem i swadą polemiczną. Autor wyśmiewał w niej stosunki społeczne i drwił złośliwie z różnych szlacheckich ideałów. Naczelnik zażądał, abym zapłacił za tę broszurkę, jako, według niego, zniszczoną przeze mnie, 1 rubla, a ponieważ takiej sumy nie posiadałem, więc w przeciągu 3 miesięcy byłem pozbawiony nie tylko palenia, ale i książek z biblioteki więziennej. Była to specjalna żandarmska szykana w stosunku do mnie. Postanowiłem na nią nie reagować, aby nie pokazać żandarmom, że mnie rzeczywiście dotknęła.

Pomimo zupełnego panowania nad sobą, straciłem serce i w przeciągu kilkunastu dni nie spałem prawie wcale, więc zażądałem bromu i przyjmowałem go w tak dużych dawkach, że nastąpiło przytępienie pamięci i wreszcie brom przestał zupełnie na mnie działać. Następnie dostałem halucynacji. Zdawało mi się, że w celi u mnie ktoś jest i głośno z nim rozmawiałem, mając jednocześnie bezwzględną, świadomość, że jestem sam jeden. Wtedy dopiero zorjentowałem się, że jest ze mną źle i trzeba się ratować, bo będzie jeszcze gorzej. Zacząłem się energicznie po kilka razy dziennie wycierać zimną wodą i niemniej energicznie

gimnastykować przy pomocy stołka. Ponieważ cęła moja była wilgotna, więc dostałem kataru, ale powrócił mi sen i zacząłem znowu przychodzić do równowagi. Zażądałem, aby dawano mi czarny chleb zamiast białego i opaloną skórkę tego chleba ssałem po całych dniach, co mi dawało pewne złudzenie dymu papierosowego.

W tym czasie przetłumaczyłem z «Kapitału» sześć grubyh zeszytów na język polski. Tłumaczyłem głównie te rozdziały, które zrozumiałem, lub co do których zdawało mi się, że je rozumiem, na przykład rozdział o kupie-sprzedazy siły roboczej, o nagromadzeniu pierwotnem i rozdziały końcowe. Ze szczególną uwagą tłumaczyłem i starałem się zrozumieć i zapamiętać te miejsca «Kapitału», gdzie Marks wysnuwa wnioski. Jednak całe 14, czy nawet 16 godzin na dobę studjować «Kapitał» było mi za trudno. Wogóle te trzy miesiące więzienia były dość ciężkie.

W czwartym miesiącu głodu tytoniowego i książkowego oznajmiono mi, że z powodu ukończenia śledztwa dostanę towarzysza i przeniesiono mnie do dużej celi Nr. 10. Ucieszyła mnie wiadomość, że śledztwo w mojej sprawie zostało ukończone, choć nie miałem najmniejszej wątpliwości, że na wolność wypuszczony nie będę. Niemniej byłem rad, że dostawszy towarzysza celi, nareszcie zapalę papierosa, bo nie chciałem wcale przypuścić, aby ten towarzysz był niepalący.

Moim towarzyszem, a właściwie współlokatorem celi okazał się majsterek szewcki, niejaki Jackowski, u którego pracował jako czeladnik Błażej Czarniecki, jeden z organizatorów malutkiej i niedługowiecznej partji pod szumną nazwą «III Proletariat». Jackowskiego aresztowano, oskarżając go o współudział w robocie tej organizacji i w działaniach

¹ Polski publicysta burżuazyjny.

ności już wówczas istniejącej organizacji Rewolucyjnego Czerwonego Krzyża pomocy więźniom politycznym, którego organizatorem był Czarnecki. Jackowski, z pochodzenia «podlasiak», mający gdzieś około Tykocina swoją «fortunkę», to jest drobną posiadłość ziemską, rewolucjonistą nie był i w sprawach politycznych nie orjentował się wcale, ale pomagał czynnie, czem mógł, Czarneckiemu przez przyjaźń i szacunek dla niego.

Musiał mi przedewszystkiem dostarczyć papierosów i dopłacić kilkadziesiąt kopiejek za książkę, abym mógł z powrotem korzystać z biblioteki, ale uczyć się ani pisać nie mogłem, bo majster był bardzo gadatliwy i nie dawał mi ani chwili spokoju. Siedział przez kilka miesięcy w pojedynczej celi i był spragniony rozmowy, ale ja, nie znając go, nie mogłem z nim mówić, o sprawach, które mnie interesowały.

Po kilku tygodniach Jackowski został zwolniony, a zaraz następnego dnia wsadzono do mnie jego czeladnika Czarneckiego¹. Z nim czułem się zupełnie dobrze, bo go znałem i mogłem mu najzupełniej ufać, jako rewolucjonście i człowiekowi. Czarnecki był uczniem Tańskiego, jednego z czynnych członków Związku Robotników Polskich w latach 90-tych. Pozatem uczył się w nielegalnych szkołach ogólno-kształcących, organizowanych przez demokratycznie usposobioną inteligencję mieszczańską i, jak na robotnika, posiadał dość dużo wiadomości, które uzupełniał ciągle przez czytanie. Bardzo czynny, energiczny i oddany

¹ Kiedy wróciłem z Syberji w końcu 1905 roku, dowiedziałem się, że siedzi on na Pawiaku i że grozi mu kara śmierci za zabójstwo nauczyciela-rusyfikatora. W kwietniu 1906 roku został wykradziony z więzienia w liczbie 10-u. W lipcu tegoż roku spotkałem go w Zakopanem. Stąd następnie przeniósł się do Hiszpanji, gdzie zginął na barykadach w r. 1909 w Barcelonie.

sprawie robotniczej, miał jednak wielką wadę, mianowicie, nie przetrwał tego, czego się nauczył i wskutek tego chorował na niestrawność umysłową. Choroba ta przejawiała się w specjalnem zamięłowaniu do filozofji i poezji i w pisaniu wierszy na tematy filozoficzne: o walce pomiędzy dobrem a złem, o cierpieniach ludzkości (a nie klasy robotniczej) o walce ofiarnej i poświęceniu jednostek itp. Twierdził, że zgadza się w zupełności z programem erfurckim, ale Marksa uważał za «jednostronnego», choć nie czytał z jego dzieł nic poza Manifestem komunistycznym. Niewątpliwie przewrócili mu w głowie inteligenci mieszczańscy, u których czerpał wiedzę, a którzy smi cierpieli na rozrzedzenie mózgów i patrzali na sprawy społeczne wogóle i na sprawę robotniczą w szczególności z punktu widzenia drobnomieszczańskiego sentymentalizmu.

Przyznać jednak muszę, że Czarnecki, choć wychowanek inteligentki, bynajmniej nie należał do licznej w PPS i u narodowców kategorii robotników «oswojonych do nogi». Był to raczej typ robotnika anarchizującego. Podczas jednej z długich rozmów i dyskusyj przycisnąłem go do muru, zwracając między innemi uwagę, że zdanie o jednostronności Marksa nie jest jego własnem zdaniem, lecz zapożyczonem od «polskich krytyków Marksa» drobnych pętaćzków, bezrobotnych drobnomieszczańskich inteligentów, którzy, nie mogąc wówczas otrzymywać posad w cyrulach policyjnych, musieli męczyć się nad naukami społecznymi. Czarnecki przyznał mi rację i powiedział, że dawnoby już wstąpił do socjaldemokracji, ale nie może się z tem pogodzić, że SD nie uznaje teroru politycznego, który, według niego, jest jednym z niezbędnych środków walki proletariatu.

Siedzieliśmy z Czarneckim jakiś czas razem, następnie

przeprowadzono nas jednocześnie do Pawiaka w drugiej połowie roku 1903. Tu dopiero po półtorarocznym niewiedzeniu spotkałem prawie wszystkich towarzyszy z naszej sprawy z wyjątkiem Trusiewicza, którego pozostawiono w X pawilonie, Cajlera, który dostał pomieszania zmysłów i zmarł, wreszcie kilku towarzyszy, których wypuszczono na wolność.

Przejście z arystokratycznego pańskiego więzienia, jakim był wówczas X pawilon, do demokratycznego, proletariackiego Pawiaka, było dość nieprzyjemne. Małe cele, ponure korytarze, «parasze» w celach i marne, niedostateczne odżywianie — wszystko to stanowiło duży kontrast z X pawilonem.

Osadzono mnie w jednej celi z Rządcą, choć wolalbym był siedzieć ze swym najbliższym przyjacielem Karolem Nitenbergiem. Kim był Rządca, mówiłem już w pierwszej części niniejszych wspomnień. Muszę tylko dodać, że należał on do bardzo wówczas licznej kategorii półinteligentów, bardzo rzadko tylko biorących udział w ruchu robotniczym, których mieszkańcy, a czasem i robotniczy rodzice, co się nazywa, wylazili ze skóry, byleby swoim dzieciom dać choć jakie takie wykształcenie. W rezultacie taki wykształcony syn robotniczy stawał się obcym klasie robotniczej, z której wyszedł, często nawet jej zdecydowanym wrogiem. Rządca stanowił wyjątek z tej reguły. Nie wyrzekł się swoich rodziców, którzy byli robotnikami, przeciwnie, kochał ich i szanował i nie stał się wrogiem swojej klasy, czego dowodem był fakt wejścia do partji i czynnego w niej udziału.

Pozatem był to pół-warjat, nastrojowiec i poeta. Po skończeniu szkoły techniczno-rzemieślniczej poszedł pracować jako technik do fabryki, ale niedługo tam zaba-

wił, bo, jak mi później opowiadał, «ciągnęła go sztuka sceniczna». Wstąpił do znanej wówczas trupy scenicznej Wołowskiego i już po krótkim w niej pobycie otrzymał tytułową rolę w patryjotycznym sztuczyle «Pan Wołodyjowski». Było mu jednak tego za mało, marzył już on o roli Hamleta. Rozczarowawszy się, porzucił scenę i powrócił do fabryki, nawiązał stosunki z białoskórnikami i wstąpił razem z nimi do naszej partji.

Był on bezwątpienia zdolnym chłopcem, ale spaczyły go carska szkoła i polska szlachecka poezja i literatura. Siedząc w więzieniu, pisał ogromną ilość wierszy, co przychodziło mu z ogromną łatwością. Pozatem uczył się języka francuskiego i ciągle rysował plany motorów aeroplanowych. Z językiem francuskim i rysunkami szło mu jako tako, ale stanowczo nie wiodło mu się z poezją i miłością. Zakochał się przez okno w córce pomocnika naczelnika Pawiaka i ja musiałem wysłuchiwać nietylko jego «utworów» poetyckich, ale i żalów miłosnych. Wówczas, jak i dziś nie znałem się na poezji, o czym mu niejednokrotnie mówiłem, ale on musiał mieć słuchacza, a ponieważ obaj znajdowaliśmy się na przestrzeni 2—3 metrów, więc, chcąc nie chcąc, musiałem być tym słuchaczem. W sprawach miłosnych więcej go rozumiałem, bo wówczas i sam się kochałem, ale w danym wypadku niebardzo z nim współczułem. Przedmiotem mojej miłości były towarzyszki, a nie tak «wrogi żywioł», jak córka carskiego urzędnika. Kiedy zaczynałem ostrożnie ganić jakiś liryczny wiersz swego towarzysza, dawał mi do zrozumienia, że jestem gruboskórnym cynikiem i na subtelnych uczuciach nie znam się wcale.

W ten sposób schodził nam czas dość wesoło, ale dla mnie zupełnie bezplodnie, bo nie mogłem się uczyć. Z po-

zostałymi towarzyszami spotykaliśmy się w «gabiniecie dumań», jak nazywaliśmy obskurny klozet więzienny, i na wspólnych spacerach. Pozatem w określonych godzinach mogliśmy przechodzić z celi do celi. Czarnecki zorganizował warsztat introligatorski, w którym pracowaliśmy po kolei, oprawiając wtedy już dość dużą pawiaczką bibliotekę.

Ponieważ latem w naszych celach było ogromnie duszno, więc zaczęliśmy sobie urządzać «balkony». Do krat w oknach przywiązywało się za dwie nogi taboret i siadało się na nim — wtedy głowa była na równej linii z oknem i można było oddychać świeżym powietrzem.

Administracja więzienna wiedziała o tych «balkonach», ale udawała, że ich nie dostrzega, bo był to okres pewnego liberalizmu. Dopiero, kiedy Rządca sprowokował naczelnika więzienia, mówiąc mu przez okno «dzień dobry», zawezwano nas obydwuch do kancelarii i wyznaczono po 5 dni karceru. Co prawda, do karceru nas nie wsadzono, bojąc się awantury, jakabyśmy urządzili, gdyby nas zechciano brać doń siłą. Administracja więzienna nie tylko liczyła się z nami, 12 więźniami politycznymi, wiedząc, że jesteśmy związani jednością partji, do której należeliśmy, ale bała się naszego wpływu na więźniów kryminalnych.

Jesienią 1903 r. przyprowadzono na Pawiak kilkudziesięciu studentów za udział w jakiejś hecy narodowej. Osadzono ich w celach szpitalnych z dużymi oknami i wogóle dano im różne przywileje, z jakich myśmy nie korzystali. Gniewały nas te bałwany swoją pewnością siebie, więc postanowiliśmy im «dolać», to jest dokuczyć. W czasie spaceru jeden z nas zapytał się przez okno: «Zacoście panowie zostali aresztowani?». Wnet inny towarzysz odpowiedział: «To nie wiesz? To są okropni przestępcy politycz-

ni, pozwolili sobie palić papierosy w obecności profesora, pokazywali figę portretowi cara i nie chcieli pocałować w rękę «pedla».

Na naszym oddziale siedział niejaki doktor Zajączkowski, narodowiec czy też pepesowiec. Zauważywszy, że nasza grupa żyje dość marnie, bo żywi się prawie wyłącznie jadłem więziennem, pasażer ten zaproponował nam przez strażnika więziennego, że chce za swoje pieniądze kupować dla nas pewną ilość szmalcu, chleba i tytoniu. Otrzymawszy taką propozycję, odpowiedzieliśmy również przez strażnika, żeby łaskawy doktor kazał się wypchać starą słomą z więziennych sienników.

Innym ciekawym więźniem był dość ściśle izolowany jakiś starszy człowiek, z którym spotykaliśmy się w czasie spacerów. Z początku chcieliśmy się z nim porozumieć, ale przekonawszy się, że on tego sobie nie życzy, czy też obawia się i daliśmy spokój. Od strażników dowiedzieliśmy się, że jest to więzień polityczny Litwinienko, który siedzi już czwarty rok, ponieważ nie chce powiedzieć żandarmom swego prawdziwego nazwiska.

Choć nasza grupa trzymała się naogół nieźle zarówno pod względem fizycznym, jak moralnym, to jednak sprzykrzyło nam się już prawie dwuletnie siedzenie w zupełnej niewiedomości co do naszych dalszych losów. Porozumiewszy się pomiędzy sobą, postanowiliśmy urządzić głódówkę i postawić żądanie, aby nam powiedziano, co myśłą z nami robić. Było to w końcu września. Kiedy rano przyniesiono nam śniadanie, natychmiast wystawiliśmy je na korytarz razem z resztkami jedzenia, jakie były w naszych celach i zażądaliśmy, aby nam wezwano prokuratora, który też wkrótce przybył. Dla układów wybrali towarzysze Rządcę i mnie, jako najmożliwiej władających językiem

rosyjskim. W imieniu towarzyszy oznajmiliśmy prokuratorowi, że nie przerwiemy głódówki, dopóki nie otrzymamy żądanej odpowiedzi. Prokurator wykręcał się od określonej odpowiedzi, czy też dać jej nie mógł, dość, że głodowaliśmy dalej.

Jednak już na trzeci dzień głódówki z samego rana przyjechała cała kupa ważnych urzędników z pomocnikiem generał-gubernatora, senatorem Pogorodnikowem na czele. Kiedy weszli do naszej celi, w czapkach na głowie, myśmy również nałożyli czapki i zdjęliśmy je wtedy, kiedy zdjęli oni. Następnie Podgorodnikow zaczął nam tłumaczyć, że decyzja w naszej sprawie zależy nie od władz miejscowych, lecz od departamentu policji w Petersburgu itp. Myśmy ze swej strony odpowiedzieli, że wobec tego będziemy głodowali, aż otrzymamy zupełnie określoną wiadomość co do naszej sprawy, o czym prosimy zakomunikować odpowiednim władzom. Ostatecznie Podgorodnikow dał słowo, że w przeciągu miesiąca otrzymamy decyzję w naszej sprawie, więc po naradzeniu się, postanowiliśmy przerwać głódówkę.

Wkrótce po głódówce zostałem poraz drugi wezwany na badanie, w czasie którego przedstawiono mi oskarżenie o prowadzenie roboty partyjnej w Łodzi. Żandarm pokazał mi zeznanie, jakiegoś człowieka, którego nazwiska przypomnieć sobie nie mogę, a który twierdził, że spotykał mnie na zebraniach partyjnych w Łodzi. Wobec tego, że wymieniał on mój pseudonim, a nie nazwisko, zaprzeczyłem kategorycznie, abym kiedykolwiek był w Łodzi. Wogóle traktowałem tę nową sprawę, jako bagatelę, bo niewiele mogła ona dodać do tego, co już miałem.

Podgorodnikow widocznie dotrzymał danego nam słowa, bo w niecały miesiąc po jego bytności u nas zakomu-

nikowano nam decyzję departamentu policji, że w oczekiwaniu wyroków mamy być wysłani do wschodniej Syberji. Cieszyliśmy się bardzo z tej wiadomości. Byliśmy radosi przede wszystkim, że nareszcie opuścimy mury więzienia i na zesłaniu uzyskamy choćby względną wolność, powtórze niewątpliwie wbijało nas w dumę, że wysła nas carat do kraju, otoczonego nimbem męczeństwa dziesiątków tysięcy rewolucjonistów. Parafrazując popularną wówczas w Polsce piosenkę: «Ameryka to cudny kraj», śpiewaliśmy: «Syberja to cudny kraj, prawdziwy ziemski raj».

Nasze przygotowania do dalekiej podróży nie trwały długo, bośmy nie mieli prawie żadnych rzeczy. Administracja więzienna wydała nam na drogę aresztancką wyprawę w postaci szyneli z asem na plecach, pantofli bez pończoszek, czyli t. zw. «kotów», pary ponuczek itp. Ostatnie widzenie z towarzyszami i rodzinami dano nam w kancelarji więzienia wszystkim jednocześnie. U mnie były na pożegnaniu obie siostry Pułaczewskie i Wincenty Matuszewski, u Nitenberga — żona Dobrzyńska i matka Paulina Hencel. W czasie tego widzenia spotkałem poraz pierwszy tow. Maksymiljana Unszlichta (starszego brata Józefa), młodego studenta, który następnie uciekając z zesłania utonął w Jeniseju.

Wszyscyśmy otrzymali od naszej organizacji SD po 25 rubli na drogę. Wywożono nas 20 października 1903 r. późnym wieczorem pod silnym konwojem kozaków i żandarmów, w karetkach więziennych. Jak tylko karetka wyjechała z podwórza więziennego na ulicę, zaczęliśmy śpiewać «Warszawiankę» i «W sybirskie tundry, w kraj daleki głos pożegnania bracia nam ślą», pieśń, napisana przez towarzysza Ignacego Rządę specjalnie na intencję naszego odjazdu na zesłanie. Choć śpiewaliśmy głośno, ile star-

czyło sił, słyszeliśmy jednak, jak kózacy rozpędzają nahażkami ludzi, którzy przyszli nas odprowadzić.

Na stacji kolejowej przekonaliśmy się, że odprowadzających było dość dużo. Oczekiwał tam oddział wojska z obnażonymi szablami, który ustawił się w dwa szpalery, ciągnące się od karetek do wagonów. My szliśmy tym szpalerem nie jak przestępcy, lecz jak pozostający u wroga w chwilowej niewoli bojownicy, którzy jutro będą zwycięzcami. Nikogo z nas nie martwiło zesłanie, a wszystkim nam pochlebiali, że carat aż tak się nas boi. W tej pierwszej partii zesłańców z naszej sprawy było 10, czy 12 towarzyszy. Przypominam sobie następujące nazwiska: Sobkowiec Jan, — piekarz, Minich Feliks, Nitenberg Karol, i Szczechowicz Lucjan¹ — szewcy, Gdowski Władysław — krawiec, Pilecki Julian — metalowiec, Płochocki Marjan — piekarz, i inni. Do naszej grupy przyłączono członków PPS, kotlarza z fabryki Bormana i Szwedego, stolarza nazwiskiem Siemaszko i inteligenta bezpartyjnego nazwiskiem Julian Herman.

Na drugi dzień podróży przyjechaliśmy do Smoleńska, gdzie w starym zamku mieściło się więzienie etapowe, strasznie brudne, zawszone i zapluskwione. Przebyliśmy w Smoleńsku 2 doby i poznaliśmy się z miejscowymi więźniami, którzy, zdaje się, wszyscy byli członkami drobno-mieszczańskiej partii socjalistów-rewolucjonistów.

Siedząc w Smoleńsku, zapoznaliśmy się z bardzo charakterystycznym obyczajem. Do naszej celi wpuszczono dobrze wypasionego osobnika z dużą wachlarzowatą brodą (jak się później dowiedziałem, był to typ ówczesnego kupca rosyjskiego), który, stanąwszy u progu, zaczął się

¹ Według danych z archiwum departamentu policji — był prokurator.

nam bardzo gęsto klaniać i żegnać. W pierwszej chwili przypuszczając, że jest to pop, chcieliśmy go posłać do wszystkich djabłów, ale, kiedy zaczął mówić, zorjentowaliśmy się, że jest to coś innego. Treść jego mowy była następująca: «Bracia w chrystusie, zlitujcie się nade mną niewolnikiem pańskim, którego zmarła żona, również niewolnica pańska, stanęła przed tronem najwyższego i nie odmówcie przyjęcia ode mnie ofiary» itd. Ofiarę swoją dla więźniów przywiózł na kilku wozach i składała się ona z białego chleba, bułek wędliny itp. Objasniliśmy ofiarodawcy, że jesteśmy więźniami politycznymi i zarówno z «panem bogiem», jak i z jego niewolnikami nic wspólnego nie mamy i mieć nie chcemy.

Na trzeci dzień wyruszyliśmy do Moskwy. Do naszej grupy zesłańców politycznych przyłączono 3 osoby, skazane również na zesłanie na Syberję. Dwaj z nich — Palczyk i Teplicki byli studentami uniwersytetów kazańskiego i kijowskiego. Palczyk był rosyjskim socjaldemokratą, iskrowcem¹, Teplicki — bundowcem... Trzecią była dentystka przekonana nieokreślonych.

Palczyk pierwszy objasnili nam szczegółowe różnice pomiędzy dwoma zasadniczymi kierunkami, jakie istniały wówczas w rosyjskiej socjaldemokracji. Naturalnie, że nasza grupa polskich socjaldemokratów-robotników stanęła bezwzględnie po stronie «iskrowców», przyszłych bolszewików — przede wszystkim dlatego, że zasada «o tyle o

¹ «Iskrowcy» — socjaldemokraci, skupiający się na platformie gazety «Iskra» — organu kierowniczego Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji w okresie 1900—1903 roku, powstałego z inicjatywy Lenina, który wówczas grał w gazecie rolę głównego kierownika ideowego i organizatora praktycznego. Po rozłamie na II zjeździe SDPRR w roku 1903 «Iskra» przeszła w ręce mniešzewików. Lenin nazwał ją wtedy «Nową Iskrą» w odróżnieniu od starej, leninowskiej «Iskry».

ile» w zastosowaniu do walki proletariatu z caratem i burżuazją była dla nas zupełnie niezrozumiała. Już po dwudniowym obcowaniu pomiędzy nami a tymi towarzyszami nawiązały się bardzo bliskie i serdeczne stosunki. Jednak pomiędzy nami — grupą robotników a nimi rzucał się w oczy pewien kontrast. Mianowicie. Obaj ci towarzysze boleli nad tem, że przez swój areszt i zesłanie sprawili duże zmartwienie swoim rodzicom, bo musieli przerwać swe studia uniwersyteckie. Pomimo dużej sympatji, jaką ich zaczęliśmy darzyć, współczuć z nimi nie mogliśmy: myśmy nic nie stracili i niczegośmy nie żałowali. W towarzyszce, która pod względem politycznym była «tak sobie», kochali się prawie wszyscy aż do Moskwy, gdzie nas rozłączono.

W Moskwie od dworca Aleksandrowskiego (obecnie Białorusko-Bałtyckiego) do Butyrek prowadzono nas pieszo. Była to spora grupa, licząca przeszło 100 osób, przy czem bezwzględną większość stanowili kryminalni, głównie katorżnicy. Wszyscy oni byli zakuci w nożne kajdany, a niektórzy i w ręczne, tak, że mieliśmy naprawdę, jak się mówiło w pieśni «muzykę kajdan». Pomimo tej muzyki, a może właśnie dzięki niej zśliśmy naprawdę śmiało w «daleki kraj»¹.

Ówczesne Butyrki, więzienie-kolos, były punktem zbornym dla wszystkich więźniów zarówno kryminalnych, jak i politycznych, czy wysyłanych przez władzę carskie z całej Rosji Europejskiej na Syberję, na katorgę i wieczne osiedlenie lub na terminy określone administracyjnie. Zbierało się tu często po 10 do 15 tysięcy więźniów. W czasie naszego przyjazdu Taganka była również przepełniona.

¹ Słowa pieśni I. Rządcy «W sybirskie tundry, w kraj daleki».

Wśród więźniów, wysyłanych administracyjnie, była ogromna liczba mieszkańców Kaukazu — Gruzinów, imertyńców, osetyńców, kabardyńców i td. w strojach narodowych. Za masowe rozruchy agrarne, które wybuchły na Kaukazie w latach 1902—1903 carat wysyłał ich setkami i tysiącami na Północ, gdzie ginęli jak muchy, nie mogąc znieść klimatu. Posyłano ich na pewną śmierć. Porozumiewaliśmy się z nimi na migi.

Z początku posadzono nas do olbrzymiej sali w głównym budynku. Wzdłuż tej sali stało kilkadziesiąt łóżek, ustawionych w dwa rzędy. Tu dopiero przekonaliśmy się, że mamy setki serdecznych towarzyszy-przyjaciół, którzy, gdy tylko dowiedzieli się, kim i skąd jesteśmy, wzięli nas pod swoją opiekę, i pomagali wszelkimi możliwymi sposobami. Staliśmy się członkami wielkiej rodziny rewolucjonistów.

Towarzyszy — rosjan uderzyło przede wszystkim to, że w naszej polskiej grupie było 10 robotników i tylko jeden inteligent. Uważaliśmy za obowiązek objaśnić im, że z tym inteligentem — był to wspomniany już Julian Hercman — nic nie mamy wspólnego. Hercman, jak sam nas informował, nie należał nigdy do żadnej partji rewolucyjnej, ale sympatyzował wogóle z ruchem rewolucyjnym: Podobno żandarmi oskarżali go o należenie do wszystkich partji socjalistycznych w Polsce i, choć on kategorycznie zaprzeczał, zesłali go jednak na 3 lata na Syberję.

Towarzysze rosyjscy traktowali go grzecznie, lecz chłodno, jak człowieka obcego, o czem się przekonali już po krótkiej z nim rozmowie. Hercman był typem ówczesnego polskiego inteligenta. «W miarę» postępowy, nawet troszeczkę rewolucyjny i inteligentny również «w miarę».

Na dodatek do wszystkich tych swoich cech nosił w klapie marynarki złoty znaczek uniwersytecki, dający mu prawo osobistego szlachectwa — z carskim orzelkiem, co na towarzyszy rosyjskich działało, jak woda święcona na djabła.

Trudno nam było narazie zorientować się w tej olbrzymiej masie, kto do jakiej partii należy, tembardziej, że choć poznaliśmy, że jesteśmy socjaldemokratami i uważamy się za «iskrowców» — jednak wszyscy byli z nami jednakowo serdeczni, bo wówczas na terenie Rosji antagonyzmy partyjne dopiero zaczęły się zaostreżać.

Jedno tylko zauważyliśmy odrazu: że bezwzględna większość tej masy stanowili inteligenci, właściwie studenci najróżnorodniejszych zakładów naukowych w mundurach tych zakładów. Ci zaś nieliczni, którzy nie nosili mundurów, byli również inteligentami, co stwierdzić było nietrudno już po ich zewnętrznym wyglądzie. Robotników było zaledwie kilku i można ich było poznać odrazu. Zresztą statystyka więzienia, prowadzona nielegalnie przez samych więźniów dla prasy rewolucyjnej, w której prowadzeniu brałem udział w Moskwie i Krasnojarsku, przekonywała niezbicie, że wówczas w Rosji robotnicy stanowili zaledwie drobny procent wśród więźniów i zesłańców. Masy robotnicze dopiero podnosiły się do walki.

Przed wyjazdem z Moskwy przeniesiono nas do t. zw. «Północnej wieży» w celu sformowania partii do wysłania etapem. W wieży tej, która była prawie że izolowana od ogólnego więzienia, dostaliśmy bardzo dobre warunki i przede wszystkim dużo swobody. Naszym strażnikiem był starszek, który lubił opowiadać o bytności w tem więzieniu w latach 70-tych sławnego rosyjskiego pisarza Korolenki, który mu podarował zegarek. Między innemi, pozwolił nam rąbać drzewo, o cośmy go prosili nie dlatego, żeśmy drze-

wa potrzebowali dla opalenia celi, lecz, że byliśmy wszyscy spragnieni pracy fizycznej.

Ogółem w Moskwie przesiedzieliśmy w oczekiwaniu kolejnego transportu więźniów na Syberję — zdaje się 2 tygodnie, poczem wydano nam buty filcowe, krótkie aresztanckie kożuszki i ciepłe rękawice i kazano być gotowymi do podróży. Z więzienia na kolej powieszono nas nie w karetkach, jak w Warszawie, lecz w prawdziwych karetach. Szczegół ten pozostał mi w pamięci, bo taką kareta jechałem poraz pierwszy w życiu.

Zebrało się nas więźniów politycznych około, czy też przeszło 30 osób i zajęliśmy sami cały duży wagon osobowy. Oprócz Palczyka i Teplickiego przypominam sobie towarzyszy: Diwnogorskich — małżeństwo i towarzysza Smirnowa z Moskwy, dwie towarzyszki z Mińska, bundowca Klajna i jedną kursistkę, eserówkę z Petersburga. Szczególnie dobrze pamiętam Diwnogórskich, męża i żonę, gdyż byli to ogromnie sympatyczni ludzie i dobrzy rewolucjoniści. Nasza grupa robotników-polaków dużo się od nich dowiedziała i nauczyła. Posiadali oni głębokie rozumienie robotników, które mogli zdobyć tylko w czasie pracy w masach robotniczych. Były to idealne typy rosyjskich agitatorów socjaldemokratycznych, jakich się w Polsce wówczas prawie nie spotykało.

Droga z Moskwy do Krasnojarska, trwająca 10, czy 12 dni (bo z Omska jechaliśmy pociągiem zwanym «Maksym Gorki», który szedł z szybkością 12 wiorst na godzinę) była dla nas raczej piękną i bardzo pouczającą wycieczką, niż aresztanckim etapem. Diwnogorski, Palczyk, Smirnow, dali nam dużo wiadomości o ruchu socjalistycznym w Rosji, o położeniu robotników i chłopów, o lite-

raturze rosyjskiej, której nie znaleźliśmy wcale, o rozruchach studenckich. Zaprzyjaźniliśmy się serdecznie i żyliśmy z całą naszą komuną, tak, że przy rozstaniu w Krasnojarsku — bo większość towarzyszy rosyjan jechała do gubernji Irkuckiej, mając już wyroki — żegnaliśmy się, jak bliscy i starzy towarzysze. W więzieniu krasnojarskim więźniowie polityczni siedzieli w budynkach drewnianych, mieszczących się obok głównego więzienia i stanowiących poprzednio szpital dla katorżników. Ogółem więźniów politycznych było w tem więzieniu około 100 osób, spędzonych tu z różnych końców Rosji i członków różnych partij politycznych. Nas Polaków posadzono do celi zwanej, nie przypominam sobie dlaczego «izbą lordów»: siedzieli tam prawie sami «iskrowcy». Przypominam sobie nazwiska niektórych, więc inteligenci: Krasikow, Bajkałow, Bogdanow, robotnicy — ślusarze z miejscowych krasnojarskich warsztatów kolejowych Danik i Andrejew, nadleśny Fimanienko. Cele nasze były cały dzień otwarte, a często były otwierane i zewnętrzne drzwi baraków, więc mogliśmy się stale ze sobą komunikować.

Zastaliśmy już starego Rosoła, który przyjechał do Krasnojarska etapem, idącym bezpośrednio z Warszawy na Syberję. Trusiewicza i Rządcy, który również przyjechali tym etapem, nie zastaliśmy już w Krasnojarsku, bo zaraz pierwszym etapem pojechali dalej. Wkrótce nadszedł nowy etap z Moskwy, z którym pomiędzy innemi, przyjechał tow. Teodorowicz z żoną Głafirą Iwanowną. Szczególnie zapamiętałem Teodorowiczową, bo zaraz na wstępie nawymyślała nam, że nie utrzymujemy w swojej celi odpowiedniego porządku i wzięła się niezwłocznie do mycia podłogi. Poszliśmy naturalnie za jej przykładem i rezultatem było zaprowadzenie w celi idealnej czysto-

ci i uchwalenie wewnętrznej konstytucji, która przewidywała kary za naruszenie czystości.

Z Teodorowiczem, który był z pochodzenia Polakiem, najłatwiej nam się było porozumieć. Zameczyliśmy go więc rozmowami, tembardziej, że i jego interesowały sprawy polskie, a zwłaszcza naturalnie polski ruch robotniczy i działalność naszej partji.

W przeciągu, zdaje się, tylko paru dni był w Krasnojarsku w więzieniu Łurje (Łarin¹), który był bardzo chory na płuca i osłabiony więzieniami, jednak posiadał tak dużo energii, zapału i namietności rewolucyjnej, że budził ogólny podziw i szacunek. Bliscy towarzysze, obawiając się o jego zdrowie i życie, radzili mu, aby się starał zostać w samym Krasnojarsku, gdzie mógłby mieć pomoc lekarską. Nie posłuchał jednak tej rady i najbliższym etapem pojechał do Jakucka, do którego go wyznaczono. Za drugą moją bytnością w Krasnojarsku dowiedziałem się, że Łarinowi udało się uciec z drogi do Jakucka. W ogólnej masie więźniów zesłańców «iskrowcy», przyszli bolszewicy stanowili mniejszość, ale trzymali się razem, a z pozostałymi więźniami-eserowcami i mieńszewikami (właściwie wtedy jeszcze t. zw. ekonomistami, «raboczemysłëwcami», «rabocze-dielcami») utrzymywali tylko towarzyskie stosunki. Polemiki i spory były dość częste, lecz zarówno eserowcy, jak ekonomiści z wyjątkiem Kilku niechętnie brali w nich udział, bo zawsze dostawali w nich łanie. Specjalną zapalczywością oznaczało się dwoje eserowców, oboje inteligenci, mężczyzna nazwiskiem Hommel i kobieta, zdaje się, Nagiel. Była ona sądownie skazana na osiedlenie z pozbawieniem praw, z czego się ogromnie chępiła, podkreśla-

¹ Brał bardzo czynny udział w Rewolucji Październikowej. Zmarł w r. 1930. będąc członkiem CIK.

jąc przy każdej sposobności «ja liszenka». W czasie dyskusji wymyślała, a kiedy jej brakło argumentów — obrażała się, wreszcie, gdy i to nie pomagało — dostawała spazmów. Hommel był spokojniejszy i oponentom, którzy go przekonywali, powtarzał: «wy nie kochacie ludzi».

Pozatem było kilku ormiańskich «dasznakcutiunów» o bardzo ponurym i dramatycznym wyglądzie, oraz jeden bundowiec z «drobniejszych», bo ważniejsi mieli przy sobie dostateczną sumę pieniędzy i dokumenty i uciekali niemal nazajutrz po przyjeździe na miejsce zesłania. W końcu listopada, czy też na początku grudnia 1903 roku wyruszyliśmy etapem do Jenisejska. 330 wiorst dzielących Jenisejsk od Krasnojarska jechaliśmy 12 czy nawet 14 dni, bo większość zesłańców, a mianowicie wszyscy kryminalni szli piechotą. Jechać na t. zw. podwodach mieli prawo tylko zesłańcy polityczni i chorzy zesłańcy kryminalni. Do pierwszego etapu, to jest jakieś 30 wiorst, jechaliśmy stepem po trzech na wozach, a podjechawszy do tajgi, gdzie leżał już śnieg, przesiedliśmy się na sanie. Konwoj wojskowy szedł koło sanii pieszo.

Tak zwane «etapki» były to dość duże drewniane budynki z zakratowanymi oknami i z narami wzdłuż ścian, mogące pomieścić około 150 osób. Znajdowała się ona w odległości 30 do 35 wiorst jedna od drugiej i według ustawy więziennej, etap mógł dziennie przejść nie więcej, niż przestrzeń pomiędzy dwiema etapkami. Pozatem co 5, czy 6 dzień aresztanci otrzymywali jednodniowy odpoczynek.

W naszym etapie było przeszło sto osób, w tej liczbie 12 zesłańców politycznych, resztę stanowili kryminalni. Oprócz nas ośmiu było dwóch rosyjan inteligentów: student Purczanikow, anarchista, starszy już człowiek i jego

żona nazwiskiem Marcinkowska, z pochodzenia polka — przekonani zupełnie nieokreślonych. Para ta była dość oryginalna i niebardzo sympatyczna. On wysoki, tęgi i tak obrosnięty czarną szczecina, że mu ledwo oczy było widać, ona drobna, szczupła blondynka, delikatne paniątko. Nazywaliśmy ją francuskim pieskiem, bo z mężem swoim rozmawiała prawie wyłącznie po francusku. On przez całą drogę czytał historję wielkiej rewolucji francuskiej Olara, a ona w tym czasie tępiła wszy, gnieźdzące się w jego bujnym owłosieniu na głowie.

Nasza ósemka żyła komuną, mając w swem rozporządzeniu 90 kopiejek dziennie (dwóch z naszej grupy, jakoby szlacheckiego pochodzenia, otrzymywali po 15 kopiejek dziennie, pozostali — po 10) — i nie byliśmy głodni. A paliliśmy machorkę. Turczanikow z żoną do komuny należeć nie chcieli i wydawali dziennie o wiele więcej, niż my wszyscy razem. Proponowali nam pomoc pieniężną, aleśmy jej nie przyjęli.

Ciekawe typy były pomiędzy kryminalnymi. Większość ich stanowili t. zw. «wodworjemyje», to jest starzy zesłańcy, recydywiści, którzy dziesiątki razy uciekali z miejsca osiedlenia i tyleż razy byli łapani i przesyłani z powrotem do tych miejsc. Byli ucikienierzy z katorgi, którzy podawali się za zesłańców. Było też kilku «niepomniaszczych», którzy nibyto zapomnieli nazwiska, aby ukryć w ten sposób swoją przeszłość. Fotografowanie więźniów wówczas zaczęto dopiero wprowadzać i zdjęcia były tak złe, że po pewnym czasie niesposób było na takiej fotografii kogoś poznać. Takich niepamiętających było niewielu i figurowali oni w dokumentach jako «Iwany niepomniaszczyje» z kolejnym numerem. Była to swego rodzaju arystokracja więzienna: wodzili rej między kryminalnymi i ad-

ministracja więzienna wyznaczała ich starostami cel, albo etapów. W ten sposób stawali się jej pomocnikami, korzystającymi z dość znacznych przywilejów.

Pozostali więźniowie krzyminalni — «szpana», «kobyłka», «żygany» — nie był to już nawet proletarijat wśród więźniów i zesłańców, lecz w całym tego słowa znaczeniu lumpenproletarijat, który często nawet dobrze nie wiedział, za co został skazany. Nędzarze ci zupełnie nie umieli się przystosować do warunków więziennych, podlegali dzikiej, zwierzęcej eksploatacji «Iwanów» i byli pod każdym względem bezbronni i bezprawni.

Z opowiadań «Iwanów» dowiedzieliśmy się, że do niedawnych (wówczas) czasów, istniał jeszcze zwyczaj «sprzedaży» katorgi i kary cielesnej. Polegał on na tem, że skazany na długoterminową katorgę lub na chłostę «odstępował» ją, dopłacając umówioną sumę skazanemu na krótkoterminową katorgę albo tylko na osiedlenie. Zdarzało się nawet, że ktoś z «Iwanów» wygrywał w karty takie zobowiązanie i lżejszy wyrok dla siebie. «Kupujący» wówczas musiał włożyć kajdany, jeżeli okuty nie był, przy wywoływaniu odbywać się na nazwisko «sprzedającego» i iść za niego na katorgę lub przyjmować chłostę. Odstępującym, «sprzedającym» był prawie zawsze stary bywalec więzienny-recydywista, a «kupującym» — «szpana» lub «żygan».

W naszym etapie byli najróżnorodniejsi przestępcy, poczynawszy od recydywistów-koniokradów aż do morderców i artystów — fałszerzy pieniędzy. Ci ostatni posiadali zawsze gotówkę i dzięki temu stanowili najwyższą arystokrację wśród więźniów kryminalnych, ciesząc się wielkim autorytetem nawet u straży więziennej i etapowej.

Więźniów politycznych wszyscy oni traktowali nietylko z szacunkiem, ale i ze specjalną życzliwością i zaufaniem.

Opowiadali nam o swoich losach i przygodach szczerze i otwarcie, choć czasem z pewną przesadą, jak się mówi do ludzi bliskich, «swego brata-zesłańca», jak się wyrażali o nas. Zbrodniarze opowiadali o morderstwach, których dokonywali, jak twierdzili, tylko z konieczności, «gorbacze»¹, opowiadali o dziesiątkach lat, spędzonych na katordze i włóczędce po bezgranicznych przestrzeniach Syberji.

Szczególnym darem opowiadania odznaczał się pewien stary już wiekiem katorżanin, który dzięki nadzwyczajnej pamięci był żywą kroniką katorgi i zsyłki. Spotykał on w swoim długim katorżniczym życiu wielu katorżników politycznych i opowiadał nam o nich. W czasie takiego opowiadania, które często ciągnęła się i kilka godzin, trzymał w ręku książkę, udając, że z niej czyta, choć czytać nie umiał wcale i ktooby tego nie widział, miałby najzupełniejszą pewność, że stary czyta na głos, tak płynnie, z akcentowaniem w odpowiednich miejscach mówił opowiadający. Myśmy go karmili i poili i godzinami słuchali jego opowiadań. Być może, że opowiadał dzieje własnego życia, lub też ułożył sobie w głowie bardzo długą i okropnie smutną historję z życia setek i tysięcy takich, jak on nędzarzy — dość, że jego opowiadania robiły niemińsze wrażenie, niż słynne «Zapiski z martwego domu» Dostojewskiego, które już wówczas czytałem.

Kilkanaście dni etapowej podróży, pomimo silnych mrozów, które nam dokuczały, zeszły nam dość szybko. Marzliśmy mocno, bo nasze warszawskie jesienne paltka, nawet w połączeniu z krótkimi aresztanckimi kożuszkami niewiele chroniły nas od przejmującego zimna.

Kiedyśmy przyjechali do Jenisejska, umieszczono nas w

¹ Worek z rzeczami, noszony przez zesłańców na plecach w czasie podróży nadawał im wygląd garbatych — stąd nazwa.

starem więzieniu katorżniczym, gdzie siedziało już kilkunastu towarzyszy, oczekujących transportu w różne okolice gubernji. Między innymi przypominam sobie studenta polaka nazwiskiem Skarżyński. Był to typowy paniczek, nie mający najzupełniej nic wspólnego z ruchem socjalistycznym. Był wodzem grupy studentów polaków na uniwersytecie kijowskim, synków, jak i on sam, ukraińskich obszarników ziemskich, balwanów, których ponosił do brze odżywiany temperament. Ta kategoria studentów nie umiała i nie chciała zbytnio zastanawiać się, dlaczego właściwie bierze udział w ówczesnych rozruchach studenckich.

Sam Skarżyński, choć starał się «trzymać fason», nie mógł żadną miarą ukryć, że nasze środowisko jest mu zupełnie obce i że czuje się w niem fatalnie.

W więzieniu Jenisejskiem stosunki były wówczas dość patryarchalne. Kiedy naprzykład zachorował jeden z towarzyszy, zostało natychmiast zwołano konsyljum z lekarzy-zesłańców, których o każdej porze puszczano do więzienia. Pozwalamy nam w asyście jednego strażnika wychodzić na miasto po zakupy, dawano codziennie widzenie z towarzyszami, mieszkającymi w mieście i pozwalano chodzić po więzieniu, organizować śpiewy chóralne i tp. Tuśmy poraz pierwszy usłyszeli w wykonaniu zesłańców kryminalnych słynne pieśni katorżnice i między innemi, znaną pieśń «Славноје more, swiaszczennyj Bajkał».

Opowiedziano nam następujące zdarzenie, charakteryzujące stosunki wśród zesłańców kryminalnych i ich stosunek do zesłańców politycznych. Do jednej ze wsi, położonych w okolicy Jenisejskiej, został przysłany zesłaniec, robotnik z Moskwy. Towarzysz ten był widocznie przyzwyczajony wyekwipowany przez swoją organizację, a więc

miał przyzwoity barani kozuch, buty i tp. Miejscowi wieśniacy, t. zw. wówczas czaldoni, wyciągnęli stąd wniosek, że jest bogaty i musi mieć pieniądze. W rezultacie został w czasie polowania w tajdze zabity i ograbiony. Był to wypadek w stosunku do zesłańców politycznych nadzwyczaj rzadki i jedyny w ciągu dziesiątków lat. Zabójca został natychmiast zaaresztowany, ale za nim przeprowadzono urzędowe śledztwo i następnie sąd, więźniowie kryminalni skazali go sami na śmierć za zabójstwo «naszego brata zesłańca». Jednak, aby nie narazić się na karę za zabójstwo, (a karą taką w stosunku do pozbawionych wszystkich praw był stryczek) zastosowali przy wykonaniu wyroku «suchą wannę». Ta «sucha wanna» — polegała na następującej operacji: Leżącemu delikwentowi zawiązywano głowę kołdrami, aby nie słyszano jego krzyku, następnie obok leżącego kładziono zawiniętą w ręczniki, wyjętą z pieca cegłę, poczem obecni w celi ustawiali się w kolejkę i każdy z nich uderzał tą cegłą z całej siły po obnażonem ciele delikwenta, celując w nerki i wątrobę. Takiej operacji dokonywano nad skazanym przez więźniów, raz lub dwa razy dziennie i skazany otrzymywał 20 — 30 uderzeń w zupełnie ciszy i bez jakichkolwiek znaków na ciele. Następstwem takiej operacji było, że «operowany» w ten sposób po kilku już tygodniach wyzionął ducha. Tak mścili się więźniowie kryminalni nie tylko już za zabójstwo zesłańca, ale i za własne krzywdy i poniewierkę.

Po kilku dniach pobytu w Jenisejsku nas, zesłańców politycznych, powieziono 80 wiorst z powrotem w stronę Krasnojarska do miejscowości zwanej Kargino. Była to wieś, leżąca na tak zwanej «striełce», t. j. na połączeniu Angary z Jenisejem. Aby wydostać się na Angarę, po której mieliśmy jechać do miejsc, przeznaczonych nam na po-

był, trzeba się było przeprawić na prawy brzeg Jeniseju, który płynie z południa i jeszcze nie był całkowicie zamrznięty. Przeprawa była bardzo trudna i ryzykowana, bo po Jeniseju szła już gęsta kora dużymi bryłami, z których każda mogła przewrócić naszą łódź. Władze miejscowe w osobach starosty i dziesiętnika radziły nam, abyśmy poczekali z przeprawą kilka dni, aż lód stanie zupełnie, ale wskutek naszych usilnych nalegań zgodzili się nas przewieźć, oświadczając przytem, że zdejmują z siebie wszelką odpowiedzialność i t.p.

Pojechaliśmy więc. Przeprawa, trwająca jakieś 2 godziny, bo Jenisej ma w tem miejscu około wiorsty szerokości, była rzeczywiście dość niebezpieczna. Były chwile, kiedy robiło nam się gorąco, pomimo przejmującego zimna. Aby sobie dodać odwagi, śpiewaliśmy, a raczej wrzeszczeliśmy przez całą drogę różne pieśni, a szczególnie «Sławnoje morje, świaszczennyj Bajkał». Przeprawiliśmy się na drugą stronę zniebnieci i zmoczeni, ale w bajecznym nastroju, bo z poczuciem zwycięstwa, choć nie braliśmy czynnego udziału w walce z żywiołem, jaką staczali przewoźnicy.

Teraz mieliśmy przed sobą jeszcze 500 — 600 wiorst do przebycia po lodzie Angary na saniach. Droga ta była również ciężka z powodu nierówności lodu posuwaliśmy się bardzo powoli. Jadąc po 10 — 15 godzin dziennie, przebywaliśmy zaledwie po 30 — 50 wiorst, to jest zaledwie przestrzeń pomiędzy najbliższymi dwiema wsiami. Z powodu trudności takiej podróży i wciąż wzmagających się mrozów — przeszło 40 stopni Reomjura — które się nam mocno dawały we znaki, co drugi dzień robiliśmy dniówkę w celu wypoczynku i ogrzania się.

Mniej więcej po dwóch tygodniach takiej podróży dojechaliśmy do dużej wsi Kamienki, położonej na wysokim,

skalistym brzegu Angary, w której mieszkała pierwsza spotkana przez nas kolonja zesłańców politycznych.

Pamiętam nazwisko następujących towarzyszy, którzy tam mieszkali: Peterson, łotewski socjaldemokrata, współpracownik łotewskiej gazety burżuazyjnej p. n. «Peiersburgas Arizas», rosyjska socjaldemokratka Sacharowa, felcerka-akuszerka, bundowiec Rabinowicz z żoną i jeszcze kilku towarzyszy, których nazwisk nie pamiętam. Rabinowicz miał za kilka dni uciekać z zesłania i z tej racji urządził ucztę, trwającą do godziny 11 rano, poczem zorganizowaliśmy demonstracyjny pochód na najwyższą w bliskości górę, aby stamtąd powitać pieśniami rewolucyjnymi pierwszy dzień nowego 1904 roku.

Gdybym umiał opisać, jak cudowny roztaczał się stamtąd widok! widzieliśmy przed sobą ogromne, szmaragdowe, aż do bólu w oczach błyszczące morze-tajgę. Z za tego morza powoli wychylała się ogromna, czerwona tarcza słoneczna. Śpiewaliśmy aż do ochrypnięcia.

Po kilkudniowej gościnie u towarzyszy wyruszyliśmy w dalszą drogę do Boguczan, centrum administracyjnego kilku gmin, skąd dopiero mieliśmy się rozjechać w różnych kierunkach. Począwszy od Kargina, kiedyśmy odjechali od urzędowego traktu, jechaliśmy t. zw. «sielskim dwiżeniem» w warunkach najzupełniejszej wolności, często pod strażą jednej chłopki, która dla nadania sobie powagi osoby urzędowej zawieszała na piersiach blachę męża sołtysa, a w zanadrzu przechowywała zwitek z naszymi dokumentami.

Jadąc, zatrzymywaliśmy się w drodze, kiedy i gdzie się nam podobało, bo chłopom syberyjskim, którzy przewożenie i pilnowanie zesłańców spełniali jako ciężką powinność rządową, było zupełnie obojętne, kiedy wieść nas dalej. Wobec takich stosunków uciekać z drogi było bardzo

łatwo, ale trzeba było mieć w swoim rozporządzeniu jakąś minimum 100 — 150 rubli dla opłacenia milczenia chłopów-woźniców i podwójnej albo potrójnej wartości przejazdów, aby w ten sposób przekonać ich, że się jest bogatym kupcem, a nie uciekającym zesłańcem politycznym. Czyli dla uciezki trzeba było posiadać taką sumę, o posiadaniu której nikt z nas — Polaków nawet marzyć nie mógł.

Po drodze między Kamienką a Bogaczami leżą dwie małe wioski, noszące bardzo charakterystyczne nazwy: Potoskuj (potęsknij) i Pogoriuj (posmuc się). Mieszkańcy tych wiosek byli bardzo biedni, bo ziemia, na ogromnej przestrzeni była kamienista i nieurodzajna. Kiedyśmy się ich zapytali, dlaczego nie przenoszą się do innych miejsc, odpowiedzieli, że «naczalstwo nie wielit». Chodziło o to, że gdyby im pozwolono przesiedlić się gdzieindziej, to na przestrzeni 140 wiorst nie byłoby wcale siedziby ludzkiej, co utrudniłoby bardzo i tak niełatwą komunikację.

W drodze zachorowali nam towarzysze Hazenbusz i Minich. Chcieli oni we dwóch chodzić w jednym kożuchu. Hazenbusz, który był jego posiadaczem, oddał go marznącemu w jesionce Minichowi, ale kiedy go Minich zwrócił choremu Hazenbuszowi, sam rozchorował się tak silnie, że obawialiśmy się o jego życie. Musieliśmy się na parę dni zatrzymać w drodze, aby ich obydwuch leczyć jedynym środkiem leczniczym, jaki się znalazł we wsi — suszonymi malinami.

Kiedyśmy ich wyleczyli i ruszyliśmy dalej, tośmyomal nie wjechali w niezamarznięty pas rzeki. Od utonięcia ocalił nas przedni koń, który zarżał i stanął.

We wsi Pińczudze urządziliśmy dniówkę u bundowca Pieskina, a dnia następnego dojechaliśmy do Bogoczan, gdzie była dość duża kolonia zesłańców politycznych.

Przypominam sobie tylko dwa nazwiska towarzyszy:

Urycki — robotnik z dużą rodziną i Rubinsztejn — student, syn bankiera z Symferopola.

Tu dopiero dowiedziliśmy się, do jakich wsi jesteśmy wyznaczeni: Karol Nitenberg miał mieszkać we wsi Monastyrze, Feliks Minich — w Goltiawinej, ja we wsi Sawinej nad rzeką Czunem.

Na trzeci dzień po wyjeździe z Boguczan dojechałem nareszcie do miejscowości, gdzie miałem nadzieję trochę odpocząć, bo, pomimo młodości i zdrowia, byłem już mocno zmęczony prawie trzymiesięczną podróżą.

Sawina była to dość duża wieś, składająca się z przeszło 40 domów drewnianych i posiadająca, co się wówczas we wsiach syberyjskich rzadko zdarzało, przyzwoitą szkołę i dość inteligentnego nauczyciela.

Mieszkańcy tej wsi przyjęli mnie bardzo życzliwie. Byli radzi, że nareszcie i do nich przysłano choć jednego zesłańca politycznego i formalnie klócili się pomiędzy sobą o to, u kogo z nich nam zamieszkać. Ponieważ przypuszczałem, że w tem ubieganiu się o moją osobę gra rolę perspektywa korzyści materialnych, więc powiedziałem, że narażenie będzie mnie musieli żywić na kredyt, bo pieniędzy w tej chwili nie mam wcale. Przekonałem się jednak, że przedewszystkiem chodziło im o zaszczyt goszczenia w swoim domu zesłańca politycznego. Była to stara tradycja syberyjska, głosząca, że zesłańcy polityczni, to jest wrogowie cara, są to ludzie mądrzy i dobrzy, którzy naszego brata (to jest włościanina) krzywdzić nie będą».

Poraz pierwszy w życiu moja skromna osoba przynosiła komuś zaszczyt. To zobowiązywało. Wogóle stosunek mieszkańców tej wsi do mnie był tak serdeczny, że aż mię to krępowało. W przeciągu kilku tygodni, które spędziłem w Sawinej, byłem codziennie zapraszany przez kogoś z mie-

szkańców, aby u niego «otkuszat' czaju», a właściwie na-
jeść się do zachorowania.

Mieszkańcy Sawinej byli prawie wszyscy zamożnymi wie-
śniakami, bo ziemię posiadali urodzajną i w tajdze było dużo
zwierzyny. Mieszkańcy tej wsi, jak i mieszkańcy wszyst-
kich innych syberyjskich wsi, trudniący się rolnictwem,
nie należeli do rdzennej ludności syberyjskiej. Byli to przy-
musowi przesiedleńcy z XVII i XVIII wieku, których władze
carskie za bunt pańszczyźniane przeciwko obszarnikom
ziemskim i nawet samemu scarowi — gnały w tajgę sybe-
ryjską całymi tysiącami. Owczesnych wieśniaków syberyj-
skich cechowała pewna niezależność i pewność siebie, któ-
re prawdopodobnie były następstwem dobrobytu materjai-
nego i dużego oddalenia od «naczalstwa». Najbliższym
przedstawicielem carskiej władzy był «stanowej przystaw»,
który mógł objechać swój «stan», zajmujący obszar prze-
szło 2 tysiące wiorst kwadratowych, zaledwie raz do roku.

Po rosyjsku mówili niegorzej, niż wieśniacy rosyjscy
i formalnie byli wyznania prawosławnego, ale tylko for-
malny był ich stosunek do boga i cara. Carowi płacili po-
datki i bogu w osobie popa również płacili, choć w natu-
rze, skórą, zbożem, a nie gotówką, co im było znacznie
wygodniej — pozatem mało się interesowali i jednym i dru-
gim. Nibyto wierzyli w boga, ale niemniej mocno wierzyli
w leśnego djabła i tunguskiego szamana, który bogów no-
sił w zanadrzu, a w czasie modlitwy tańczył i śpiewał. Po-
zatem byli to ludzie nadzwyczaj dobrzy, przyjacielscy i go-
ścinni.

Ponieważ przyjechałem w czasie, kiedy dzień syberyjski
trwał 3—4 godziny, więc pozostałe 20 godzin z powodu zu-
pełnych ciemności, musiałem siedzieć w mieszkaniu. Zzna-
jomilem się z miejscowym nauczycielem, młodym i inteli-

gentnym człowiekiem, który jednak cierpiał na straszną
syberyjską chorobę, zwaną «zapojem». Pil z nudów, jak
mówił.

Tak zeszło mi parę tygodni, kiedy przyszedł rozkaz, aby-
śmy wracali do Krasnojarska, bo tam nadeszły już z Peter-
sburga nasze wyroki.

Droga powrotu do Krasnojarska nie była ciekawa, bośmy
byli pewni, że oczekuje nas dłuższy okres włączęgi po wię-
zieniach i etapach. W końcu stycznia przyjechaliśmy do
krasnojarskiego więzienia, gdzie wkrótce ogłoszono nam
wyroki administracyjne. Większość naszej grupy otrzyma-
ła po 5 lat zesłania do obwodu jakuckiego. Rosół Jan,
Rządca Ignacy i ja — otrzymaliśmy po 6 lat, Trusiewicz
Stanisław (Zalewski) — 10 lat. Wszyscy 4-ej do «najbar-
dziej oddalonych miejscowości okręgu Jakuckiego». Po-
niem w przededniu naszego przyjazdu do Krasnojarska
odszedł etap do Jakucka, więc na następny musieliśmy cze-
kać 10 dni do 2 tygodni. Tymczasem zaszedł wypadek nie-
przewidziany przez departament więzienny, mianowicie
ogłoszenie wojny z Japonją, wskutek czego jednotorowa
kolej syberyjska została w całości zajęta do przewożenia
wojska i amunicji i wagonów do przewożenia więźniów
dać nie chciała.

Musieliśmy więc czekać zakończenia wojny, co miało na-
stąpić bardzo szybko. My jednak, siedząc w więzieniu, ocze-
kiwaliśmy tego zakończenia przeszło 2 miesiące i ciągle
jeszcze był tylko początek wojny. Warunki w krasnojars-
kiem więzieniu były już znacznie gorsze niż w listopadzie
1903 r. Przedewszystkiem więźniów politycznych było za-
ledwie kilkudziesięciu, zamiast kilkuset, jak w roku ze-
szłym, bo nowych więźniów z głębi Rosji naskutek za-
mknięcia komunikacji — nie przywożono, a starych roz-

wieziono do miejsc zesłania. Z grupy towarzyszy, jakich pozostawiliśmy w listopadzie — zastaliśmy tylko Krasikowa, Danika i Bajkałowa.

Komuna więzienna, poprzednio zamożna, była obecnie prawie zupełnie pozbawiona środków, bo najgłówniejszy ich przyływ od towarzyszy przyjeżdżających, ustał zupełnie, a pomoc ze strony organizacji miejscowej, mająca swoje źródło wśród inteligencji i mieszczaństwa, ogarniętego z powodu wojny nastrojami patriotyczno-szowinistycznymi — zmniejszyła się bardzo.

Nasza polska grupa, pozbawiona własnych środków już od listopada, musiała korzystać z pomocy komuny przynajmniej co do palenia i prania. Nikt z nas pomocy od rodziny nie otrzymywał i otrzymać nie mógł, bo rodziny nasze pod względem materialnym znajdowały się w położeniu nie lepszym od naszego. Zresztą nikt z nas o pomoc do rodziny, ani do naszego Czerwonego Krzyża nie zwracał się, choćby ze względów konspiracyjnych. Było trochę skąpo, ale nadchodzące wypadki nie pozwoliły się nam nadtem wiele rozczulać.

W pierwszych dniach lutego, przywieziono do Krasnojarska, w drodze wyjątku, jak twierdziła administracja, partję zesłańców, składających się wyłącznie ze studentów uniwersytetu tomskiego, aresztowanych masowo na jakiejś studenckiej demonstracji, podczas której ktoś dał w pysk gubernatorowi, «uspakajającemu» demonstrantów. Większość bezwzględna tych studentów, byli to synowie bogatych kupców, przemysłowców i właścicieli kopalń złota i z robotniczym ruchem rewolucyjnym nie mieli nic wspólnego. Kim są w rzeczywistości, pokazało się wkrótce w związku z wojną. Grupę tę, oraz większość eserów i duże części ekonomistów i raboczedielców, ogarnął całkiem by-

ły i dla nas robotników zupełnie wówczas niezrozumiały szal szowinizmu i «istinnio» ruskiego patriotyzmu. Pewne objaśnienie tego zjawiska dawało nam pochodzenie tych inteligentów. Jednak mieliśmy wrażenie, że znajdujemy się nie wśród więźniów politycznych, lecz w cyrkule policyjnym wśród stupajek i dzierzymordów.

O ile niewielka grupa «iskrowców», do której należeliśmy i my, polacy, była zdecydowanie przeciwna wojnie i wyrażała przekonanie, że musi się ona skończyć klęską caratu, o tyle stanowiąca bezwzględną większość więźniów politycznych — grupa studencko-eserowsko-ekonomistyczna z dużym hałasem, wywołującym żywą sympatię ze strony więziennej administracji, twierdziła, że armja rosyjska «prouczyt» japończyków i zupełnie poważnie debatowała nad sprawą, czy zesłańcy polityczni powinni stanąć do szeregów dobrowolnie walczących w obronie «ojczyzny».

Stosunki pomiędzy temi dwiema grupami stały się wkrótce zdecydowanie wrogie i nastąpił rozłam na dwie komuny. Dzieliły nas nie różnice poglądów, bo w stosunku do obrońców cara i caratu nie mogło być mowy o «poglądach».

Kiedy został ogłoszony carski manifest, zwalniający od wszelkiej kary więźniów i zesłańców politycznych, którzy zechcą dobrowolnie wstąpić do czynnej armji, duża część z tej grupy, złożyła podanie o ulaskawienie. Śród polaków-robotników, znalazł się tylko jeden nędznik, który również złożył podanie o ulaskawienie. Był nim wspomniany Lucjan Szczechowicz, szewc z Warszawy, w 1930 r. zdemaskowany jako prowokator.

Najbardziej plugawe stanowisko już na samym początku rozłamu zajmowali niektórzy eserowcy i ekonomiści (przypominam sobie nazwisko Brodzkiego, syna przemysłowca, czy bankiera z Kijowa), którzy starali się obie strony prze-

konać, że zapatrywania ich są choćby dlatego niesłuszne, że są «zbyt skrajne».

Taki stan rzeczy trwał, dochodząc często do zniewag i obelg, przez kilka tygodni, kiedy w końcu marca ogłoszono nam, że mamy być wszyscy «czasowo», tj. do czasu zakończenia wojny rozsiedleni po gubernji jeniejskiej i 4 kwietnia powieziono nas etapem z powrotem na Angarę, część towarzyszy do wsi, w których byli poprzednio, część do miejsc nowych. Ja zostałem osiedlony we wsi Buzykanowskiej nad rzeką Murą w odległości 75 wiorst od Angary, to jest od głównego traktu.

O ile wieś, w której poprzednio przebywałem, była słunkowo duża i bogata, o tyle obecna przedstawiała sobą «gibłoje miasto» w całym znaczeniu tego słowa. Wieś, a raczej wioska Buzykanowska, położona w miejscowości bagnistej, nie była miejscem dobrowolnego osiedlenia się ludzi, lecz siedliskiem, stworzonym z rozporządzenia «naczalstwa», jak Potaskuj i Pogoriuj na Angarze. Liczyła zaledwie 28 gospodarstw, a pola orne znajdowały się w odległości 40—60 wiorst od wsi, co bardzo utrudniało rolnictwo, jako główny środek istnienia ludności.

Choć ziemia była naogół dość urodzajna, o czym przekonałem się najbliższego lata, jednak ponieważ zasiewy na nizinnych gruntach podlegały z powodu bliskiego sąsiedztwa z tundrą (wieczne i tylko częściowo odmarzające błoto) częstym przymrozkom, nierzadko zbiory były bardzo marne, albo nie było ich wcale. Od klęski głodowej ratowały ludność t. zw. «obszczestwiennyje ambary», tj. śpichrze społeczne, do których w lata urodzaju zboża każdy chłop był zobowiązany stosownie do zasianego obszaru, zsypywać pewną ilość zebranego zboża, jako zapas na lata nieurodzaju. Pozatem pewien, czasem nawet dość



znaczny zarobek, dawały t. zw. «promysła», tj. myśliwstwo.

Jednak naogół ludność była biedna i znajdowała się w najzupełniejszej zależności od kupca, który dawał niezbędniejsze towary i amunicję myśliwską na kredyt przed sezonem myśliwskim, na konto skór zwierząt jeszcze nieupolowanych. Była to szeroko omawiana w rosyjskiej literaturze ekonomicznej i publicystycznej t. zw. «kabała», tj. zupełne uzależnienie i niczem nieograniczony wyzysk ciemnych mas chłopskich przez kułaków i kupców na całym ogromnym terenie byłej carskiej Rosji. Kupiec i kułak nie tylko liczył i brał o wiele więcej, niż dawał rzeczywiście i ceny za oddawane mu za dług skóry, jak i ceny za towary, dawane chłopom na kredyt wyznaczał zupełnie dowolnie, ale co najważniejsza, tak manewrował, że bezwzględna większość chłopów była jego nigdy niewypłacalnymi dłużnikami. Chłopi często mi się żalili, że kupiec ich oszukuje w żywe oczy i, korzystając z ich niepiśmienności, zapisuje w swoich książkach to, czego oni nigdy nie brali. A kupiec ze swej strony zapewniał, że należy mu się od chłopów 4-ch wsi około 12 tys. rubli. Kilka razy byłem świadkiem ostrych kłótni pomiędzy chłopami a kupcem o wysokość zadłużenia, ale kiedy kupiec powoływał się na swoje zapisy w książkach, chłopie kapitulowali, bo żaden z nich nie umiał przeczytać tego, co tam było napisane.

Wogóle na całej przestrzeni rzeki Mury, na 4 wsie było tylko 4 osoby piśmienne — pisarz wiejski pop, kupiec i djak, który znał tylko język staro-słowiański, co praktycznego znaczenia nie miało. Kupiec nazywał się Cechański i również kiedyś był zesłany na Sybir, jak opowiadał, za «przestępstwo państwowe», tj. za fałszowanie pieniędzy.

Głównym i jedynym prawie przedmiotem handlu były skóry z wiewiórek (popielice), soboli, lisów, łosi, niedźwie-

dzi, gronostajów itp. Pozatem mieszkańcy wsi, położonych nad Angarą, trudnili się rybolówstwem, i specjalnie poszukiwane gatunki ryb, tj. łososia i t. zw. krasnorybicę, sprzedawali kupcowi po 5—10 kopiejek funt. Ryby te kupcy przewozili w stanie zamrożonym (łowiono je tylko późną jesienią, kiedy wyjęte z wody kamieniały w mgnieniu oka) na najbliższą stację kolei, odległą o 450—500 wiorst. Z takimi obozami, składającymi się z 15—20 sań, czasami uciekali zesłańcy polityczni, ale trzeba było posiadać odpowiednie ubranie, dużą wytrzymałość, bo całą drogę szło się piechotą, często przy mrozie ponad 40 stopni Reomiera. Droga w jedną stronę trwała 15—20 dni.

Gotówkę, potrzebną na opłacanie państwowych i gminnych podatków i kupno perkalu na bieliznę, soli, herbaty, cukru (choć używanego w małych ilościach), kos, sierpów, gwoździ itp. i filcowych walonek — zdobywali całkiem prawie wyłącznie przez myśliwstwo. Podatki, jakkolwiek niewielkie, o ile sobie przypominam, 15—20 rubli na gospodarstwo, musieli płacić gotówką, co stanowiło jednak pokaźny ciężar. W czasie mojej tam bytności w całej Wschodniej Syberji, obowiązywał stary ukaz carski, zwalniający wszystkich mieszkańców od służby wojskowej, a podatki wymierzano zgodnie z tym ukazem nie według ilości obrabianej ziemi, lecz według liczby «chozących dusz», tj. brano je tylko od zdolnych do pracy mężczyzn w wieku od 18 do 60 lat. Kobiety, jakkolwiek pracowały najzupełniej na równi z mężczyznami, bo nawet kosily i orały, przez carskie prawo za zdolne do pracy «dusze» uważane nie były.

Chłopki wyrabiały większość przedmiotów codziennego użytku, jak: ubranie, obuwie, pościel i t. p. Przędły i tkwały w długie wieczory zimowe wełnę z owiec, koni, krów i psów

i robiły z tego ubrania. Tylko na bieliznę kupowano materiał fabryczny, bo len ani konopie nie rodziły się wcale. Obuwie letnie i zimowe wyrabiali chłopcy również sami z niegarbowanej skóry losiowej, kołdry ze skórek zajęczych, a futra (dochy) ze skór psich i jelenich również niegarbowanych. Żywili się głównie rybą i mięsem. Ogrodowizny nie rodziły się z powodu zimnego klimatu. Z owoców tajga dawała czeremchę, poziomki, porzeczki, maliny i borówki, z jarzyn — dziki chrzan i celentę, coś w rodzaju kapusty. Borówki w stanie zamrożonym przechowywano przez cały rok, a czeremchę suszono i mielono na mąkę, którą używano jako przyprawę do potraw.

Stosunki rodzinne chłopów były, jak i w społeczeństwach «cywilizowanych», dość brutalnie, jednak odznaczały się pewną oryginalnością i — może nawet prostotą. Naprzykład o ojcostwie dzieci wiedziała tylko matka i mówiła, nie krepując się: «etot Fiedin», «etot Zacharski» i t. p. Zdrada małżeńska była rzeczą normalną, a nawet stanowiła zasługę, o ile owocem jej był chłopiec, bo za dziewczynę trzeba było dawać posag, a chłopak go brał.

Sposób żenienia się również był bardziej oryginalny, niż w «cywilizowanych» krajach, bo obrządek cerkiewny był poprzedzany przez t. zw. «smotriny», tj. oględziny, lustrację, która polegała na tem, że rodzice lub swatowie kawalera przyjeżdżali do domu panny, aby obejrzeć nie tylko jej wyprawę, ale i ją samą, przyczem oględziny były ze strony kawalera o tyle ściśle, że siedł z przyszłą żoną razem spać, co go zresztą do niczego nie zobowiązywało, o ile wynik oględzin okazał się ujemny, albo nie osiągnięto zgody co do ilości wiader wódki na poczęstunek weselny. Panna nie tylko nie traciła nic z powodu tych oględzin, lecz przeciwnie, zwiększały one jej szanse do zamążpójścia, bo przez nie uży-

skiwała rozgłos. Tak zwana «cnota niewieścia» nie była zbyt ceniona, natomiast od kandydatki do małżeństwa wymagano poza zdolnością do pracy, aby umiała dużo i zdrowo rodzić. Mężczyźni żenili się prawie zaraz po dojściu do pełnoletności, t. j. po skończeniu lat 18. Taki dzieciuch był złośliwie wyśmiewany, o ile w noc poślubną nie «producył baby», t. j. nie zbil jej nawet bez żadnego z tej strony powodu, a jedynie dla zaakcentowania swego autorytetu, jako pana domu. Przytem uczyć powinien umiejętnie, bo «babu isportisz» (zepsujesz), a jest ona cenną siłą roboczą i rozrodczą, więc lejcami lub rzemieniem i tylko po miejscach nie dających się uszkodzić.

Jednak wdowy, których synowie nie osiągnęli 18 lat życia — korzystały z prawa głosu narówni z mężczyznami, na zebraniach wiejskich, przy podziale łąk, rybołówstwa i miejsc do polowań.

Na przestrzeni 180 wiorst długości rzeki Mury znajdowały się 4 wsie, liczące razem przeszło 1000 mieszkańców — nie było ani jednej szkoły, ale były dwie cerkwie i dwóch popów, z których jeden był «nieputiewoj», t. j. nienormalny z powodu wdowieństwa, bo żenić się powtórnie zabraniano mu prawem cerkiewnym, a może z innych powodów. Zapijał się, jak bydłę, zaniedbywał swoje obowiązki, ale poprzestawał na tem, co mu wieśniacy dawali dobrowolnie. Drugi pop, «choziajstwennyj», niczem się nie różnił właściwie od kupców i kulaków, handlował skórami, «rebami» (nabożeństwami) i «otpiewaniami» (modlitwami za umarłych), posiadał poważny majątek, pożyczal pieniądze na procenty i t. d., obowiązki swoje spełniał skrupulatnie i prowadził się «moralnie». Chłopi pierwszego z nich lubili, ale lekceważyli, drugiego bali się, jak natrętnej pijawki, ale szanowali za «gospodarność» i pieniądze.

Tak żyli przymusowi przesiedleńcy, chłopci z Rosji lub uciekinierzy z pod bata pańszczyźnianego czy prześladowań religijnych, rozsiedleni w tak zwanej «południowej» tajdze wzdluż Angary i jej dopływów ze strony południowej.

Mieszkańcami tajgi «północnej», położonej na północ od Angary, byli Tunguzi, naród koczowniczy szczepu mongolskiego, przed wiekami gospodarze tego kraju, a w latach 1903-5, resztki już tylko narodowości, wypierane wgląb tajgi i tundry, z początku powolnie, ale systematycznie przez rosyjskich osiedleńców, następnie w bardzo już szybkim tempie przez poszukiwaczy złota, okradani przez carskich urzędników, truci wódką i bezgranicznie wyzyskiwani przez kupców — ginęli jak muchy bezradni i pozbawieni wszelkiej pomocy.

W latach 90-tych carat zdecydował nawrócić ich na prawosławie, mając na względzie nietylce cele religijne, co fiskalne. W tym celu ogłoszono po tajdze, że car przysłał dla inorodców podarki i ikony. Zwabieni obietnicami podarkami Tunguzi wychodzili z głębokiej tajgi całymi rodami. Trochę im się nie podobała i wydawała śmieszna ceremonia chrztu — ale chęć otrzymania podarków przemogła, pozwolili się oblewać wodą i nadawać sobie prawosławne imiona. Po rozdaniu podarków zarejestrowano ich skrupulatnie i zobowiązano do płacenia regularnego «jasaku», tj. podatku w naturze skórami, który dotychczas płacili tylko w postaci doraźnych łapówek uprzednikom carskim.

Jednak ci neofici byli najmocniej przekonani, że oszukali popów i urzędników, chrzcząc się po kilka razy, aby tyleż razy otrzymać podarki w postaci starych karabinów, ubrań, obrazów i niewielkiej sumy pieniędzy, które natychmiast przepijali.

Była to bodaj jedyna akcja «cywilizacyjna» rządu car-

skiego wśród syberyjskich rdzennych narodowości, poza-tem zajmowano się nimi nie więcej, niż takimi mieszkańcami tajgi, jak niedźwiedzie, losie itp. Dopiero Rewolucja Październikowa podniosła ich na poziom najzupełniej i pod każdym względem uprawnionej narodowości.

Znajomość z Tunguzami zawarłem wiosną 1904 roku, kiedy jeden z ich rodów wyszedł, jak i corocznie, z głębi tajgi dla wymiany skór na kule prochu, sól i machorkę i rozłożył się w odległości 20 wiorst od wsi, nie mogąc podejść bliżej ze względu na psy czładońskie, które nie chciały zrozumieć, że oswojone renifery Tunguzów nie mogą być obiektem polowania.

Pojechałem do «stojanki» na zaproszenie kniazia, tj. naczelnika rodu. Po kilkugodzinnej jeździe konno przyjechaliliśmy do miejsca, gdzie na wzgórku były rozbite ich «jurty», tj. namioty ze skór reniferów. Zdaleka było widać tylko kupy śniegu, ponieważ namioty były nim szczelnie obłożone dla większego ciepła i tylko ze szczytów wydostawał się dym. Niskie i wąskie wejścia były zawieszane skórami. Wewnątrz, pośrodku paliło się ognisko, a pod ścianami leżały kupy skór reniferowych, niedźwiedziej psich, które zastępowały jednocześnie meble i pościel.

Gospodarze jurty byli bardzo serdeczni i gościnni, porozumiewaliśmy się więcej gestykulacją, niż słowami. Nie wiele dowiedziałem się od nich o ich życiu. Zato nakarmili mnie pieczonem mięsem i zupą z reniferowego mleka, przeprawioną leśną cebulą, od czego była ostra i cierpka. Jak się dowiedziałem, żywili się mięsem, dziką kapustą i cebulą. Uprawiali wyłącznie myślistwo. Ubierali się w ubrania ze skór reniferowych, t. zw. «unty» jednakowe dla mężczyzn i kobiet, stanowiące jednocześnie spodnie i marynarkę z rękawami, sznurowaną na plecach, przyczem ubió-

ten noszono na gołym ciele bez żadnej bielizny, której nie znali zupełnie. Garnitur taki był zrobiony ze skóry niegarbowanej włosem na zewnątrz i stanowił odzież dzienną. Spali zupełnie nago, myślę, że nie przez uprzedzenie do bielizny, lecz z powodu jej braku. Na «unty» w czasie mrozów nadzieevano «dochę» również z niegarbowanej skóry jeleniej, lub psiej często podwójnej, widać zależnie od za-
możności, takżej obuwie i nakrycie głowy w formie bere-
tu, zakrywającego całą głowę i twarz z otworami na
oczy.

Bogactwa rodu stanowiły renifery, które dawały mleko, mięso i skóry i były jednocześnie siłą pociągową. Na moje zapytanie, czym karmią renifery zimą, odpowiedziano mi, że... niczem. Renifer oswojony tak samo, jak i dziki, sam musi się karmić korą z drzewa, korzeniami roślin itp. Ale zimą na reniferach przewożono tylko rzeczy, ludzie szli piechotą, a właściwie jeździli na nartach, podklejonych skórą włosem w tył, co im dawało możność posuwania się naprzód bez pomocy kija.. Na tych nartach jeździli z jedn-
nakową wprawą zarówno mężczyźni, jak kobiety i dzieci.

W pierwszych miesiącach pobytu na zesłaniu korespon-
dowałem z Bajkałowem w Krasnojarsku i z Trusiewiczem w Jakucku. Od Bajkałowa dowiadywałem się, co się dzieje w Rosji i otrzymałem szyfrowane adresy w Krasnojarsku i Tomsku, bo miałem zamiar uciekać z zesłania.

Od Trusiewicza otrzymałem wiadomości o warunkach i stosunkach jakuckiego zesłania i opis t. zw. powstania romanowskiego zesłańców politycznych w Jakucku w kwietniu 1904 r. Ja się na nie spóźniłem z winy władzy więziennej o całe 24 godziny, czego bardzo żałowałem. Korespondencja nasza jednak już w maju czy czerwcu zo-
stała przerwana przez konfiskatę naszych listów, wywoła-

nej obostrzonym nadzorem nad zesłańcami politycznymi, wprowadzonym przez nowego gen.-gubernatora wscho-
dniej Syberji, Kutaisowa.

Natomiast udało mi się nawiązać korespondencję z Jad-
wigą Pułszewską, która skomunikowała się z organizacją partyjną i zawiadomiła o moim zamiarze ucieczki. Wkrót-
ce otrzymałem wiadomość, że pieniądze w kwocie 25 rb. zostały mi wysłane na stację kolei Mochnacz na nazwisko nauczyciela Żarowa. Prosiłem o tak niewielką sumę, wie-
dząc, że w kraju brak środków i mając nadzieję, że w Kras-
nojarsku czy Tomsku otrzymam pomoc na dalszą drogę. Nie posyłałem własnego adresu, bo fakt otrzymania po-
dobnej sumy byłby zwrócił uwagę, pociągnął specjalny nadzór i utrudnił, a nawet uniemożliwił ucieczkę. Nie do-
stałem jednak tych pieniędzy, bo adresat suchotnik umarł przed ich otrzymaniem.

Kiedy gorączka ucieczkowa minęła i nabrałem pewności, że trzeba odbyć cały termin zesłania, zająłem się sprawą książek i gazet. Angarska zsyłka miała już wówczas dość dużą bibliotekę w Boguczanach, więc wybrałem się tam na tratwie razem z kilku zesłańcami kryminalnymi, jak tylko stopniały lody na Murze i Angarze. Było to, zdaje się, w pierwszych dniach czerwca. 1 Maja 1904 roku obchodzi-
łem bardzo uroczyście i demonstracyjnie. Zrobiłem wielki czerwony sztandar i zatknąłem go na wzgórku, panującym nad wsią i na wynajętym na kredyt koniu demonstrowałem po tajdze, wyśpiewując na całe gardło wszystkie pieśni re-
wolucyjne, jakie znałem. Znaczenie święta i sztandaru sta-
rałem się czaldonom objaśnić, ale zdaje mi się bez więk-
szego rezultatu.

W Boguczanach spotkałem nowego zesłańca z Warsza-
wy, tow. Kopczyńskiego, szewca. Z biblioteki wziąłem tro-

chę książek i gazet i po paru dniach powróciłem do swojej wsi. Z wziętych książek przypominam sobie dwie: «Historję tredunjonów w Anglii» Webbów i jakiegoś francuskiego autora «Historję prądów społecznych», właściwie historję socjalizmu utopijnego od Platona i Morusa do Prudona. Z tej książki dowiedziałem się bardzo dużo i przestudjowałem ją sumiennie. Pozatem czytałem rosyjskich klasyków — Szczedryna, Gogola, Uspieńskiego i innych.

W czasie krótkiego lata syberyjskiego, trwającego 6-7 tygodni i odznaczającego się t. zw. «białymi nocami» czytałem dużo w nocy, a w dzień odbywałem długie wycieczki po tajdze. Jednak dawała mi się mocno odczuwać potrzeba pracy fizycznej, więc zacząłem pomagać czaldonom przy robocie w polu, ale bez powodzenia, więc wziąłem się do plecenia koszyków, które następnie rozdawałem w prezencie, bo kupiłyby nikt nie chciał.

Czas mi schodził bardzo szybko, tembardziej, że w czasie lata zupełnie straciłem orjentację, kiedy jest dzień, a kiedy noc.

. Czaldoni pracowali dosłownie dniem i nocą, bo zboże dojrzewało z nadzwyczajną szybkością i trzeba było śpieszyć z jego sprzątaniem, bo już w sierpniu zaczynały się mrozy i śniegi. Okolice te znały tylko dwie pory roku — zimą i lato.

Jednej z takich «nocy letnich», białych, jak dzień, siedząc w mieszkaniu, posłyszałem dość zgodny śpiew popularnej wówczas pieśni Nadsona «Drug moj, brat moj ustalyj, stradajuszczij brat».. Choć nie byłem «ustalym» ani cierpiącym bratem, przeciwnie, czułem się doskonale, jak prawie nigdy przedtem, ani potem, to jednak melodia pieśni, której nie znali czaldoni, śpiewana przez chór w tajdze, musiała mnie zaintrygować. Wkrótce zobaczyłem towarzy-

szy, którzy przyjechali do mnie w gości na własnoręcznie zbudowanej tratwie, z góry rzeki ze wsi Czerniawinej, oddległej o 120 wiorst. Byli to Berezowscy, mąż i żona oraz jeden towarzysz, którego nazwiska zapomniałem. Ucieszyłem się bardzo z ich przyjazdu, bo byli to pierwsi moi goście i miałem z kim pomówić i czegoś się dowiedzieć Berezowski z żoną byli esdekami, on był oficerem, wydalonym z armji za nieprawomyślność, ona kursistką, trzeci towarzysz był bundowcem gdzieś z zachodnich gubernij, krawcem z zawodu. Czy Berezowscy byli bolszewikami, nie pamiętam, ale zdaje mi się, że nie.

Ponieważ otrzymywali regularnie gazety, więc dowiedziałem się od nich, że ruch rewolucyjny w związku z wojną i kryzysem przemysłowym — wzrasta dość szybko i że w związku z tem dużo zesłańców ucieka, aby stanąć do pracy. Okazało się, że w sprawie ucieczki, ani oni mnie, ani ja im — nic pomóc nie możemy. Najlepiej z nas czworga pod względem pieniężnym stał bundowiec, bo jako krawiec miał na miejscu zarobek, kilkakrotnie przewyższający otrzymywane subsydjum rządowe, które wynosiło 8 rb. miesięcznie. Tow. Berezowscy i ja żyliśmy tylko za otrzymywane subsydjum. Ja za życie i mieszkanie płaciłem normę ogólnie przyjętą na Angarze, tj. 4 rb. 50 kop., pozostałe 3.50 wydawałem na gazety, tytoń i mydło. Cukru nie używałem wcale, gdyż kosztował 75 kop. funt, od lampy również się musiałem odzwyczaić, a przyzwyczaić do czytania przy łuczywie.

Z powodu różnych biurokratycznych krętaństw, należne mi stypendjum otrzymałem dopiero po 10 miesiącach pobytu na zesłaniu. Gdyby to było w jakim «kulturalnym» kraju — zdechłbym niewątpliwie z gołdu, ale czaldoni ufali zesłańcom politycznym i choć na kredyt karmili mnie, jak

na zarżnięcie. Otrzymawszy odrazu 80 rubli, poczułem się kapitalistą, choć tylko na kilka godzin, bo pooddawszy długi, pozostałem, jak przedtem, bez grosza.

Zaraz przez tegoż pocztyljona, który mi przywiózł pieniądze, zaprenumerowałem gazetę «Russkije Wiedomosti». Nie przypominam sobie, ale zdaje mi się, że nad tem, aby zaprenumerować polską gazetę nie zastanawiałem się wcale, tembardziej, że nie stać mnie było na dwie gazety, a wiadomości o tem, co się dzieje w Rosji, wówczas więcej mnie interesowały, niż wiadomości z Polski. W roku następnym (1905), kiedy zaczęły w Rosji wychodzić bardziej liberalne gazety, jak: «Nasza gazeta» i «Syn otieczestwa», ich redakcje na prośbę naszej biblioteki przysyłały swoje wydawnictwa wszystkim zesłańcom bezpłatnie. Redakcje polskich gazet na prośbę biblioteki nie odpowiadały wcale.

Począwszy od stycznia czy lutego 1905 r. miałem więc jakie takie wiadomości o tem, co się dzieje w Rosji, co prawda, bardzo ogólnikowe, bo podawane w formie komunikatów urzędowych, które trzeba było umieć czytać, czego ja jeszcze wówczas nie umiałem. O rozmiarach i znaczeniu wypadków styczniowych w Petersburgu, otrzymaliśmy wiadomość dopiero w maju drogą prywatną w liście do tt. Bierzewskich. W końcu lata doszły nas wiadomości, że ruch strajkowy i rozruchy agrarne ogarnęły całą Rosję i wiadomość o powstaniu na Potemkinie.

Wszystkie te wiadomości działały na zesłańców politycznych nadzwyczaj podniecająco. Nie mogliśmy usiedzieć na miejscu i pomimo surowego zakazu, zesłańcy zbierali się grupami i jeździli po Angarze we własnej łodzi od Kieźmy do Boguczana, tj. na przestrzeni 400 — 500 wiorst pod nadzorem 1—2 strażników, z którymi często miały miejsce

komiczne sceny, bo, aby pilnować zesłańców, co mieli nakazane, powinni by jechać w jednej łodzi z nimi, albo przynajmniej obok nich we własnej, a ponieważ czaldoni często nie mogli, a czasami i nie chcieli dostarczyć im takiej łodzi, a zesłańcy od swojej pędzili ich precz — więc biedni słudzy cara pozostawali na brzegu.

Ja, mając najbliższych towarzyszy na przestrzeni 120 wiorst, jeździłem do nich konno, co rujnowało mój budżet i z tytoniu musiałem przejść na machorkę. Czaldoni i miejscowa wiejska władza w postaci uzbrojonego w blachę na piersiach soltysa, choć nie stawiali moim podróżom żadnych przeszkód, to jednak nie mogły im być zupełnie obojętne, bo dość często odbywały się na ich koszt. Chodziło o to, że według rozporządzenia gen. gubernatora, mieszkańcy wsi, do której przyjechał, czy przyszedł samowolnie zesłańiec, obowiązani byli odstawić go z powrotem pod strażą do miejsca jego stałego pobytu. Kiedy więc przyjeżdżałem lub przychodziłem do innej wsi i na wynajęcie koni na drogę powrotną pieniędzy nie miałem, musiałem korzystać z tak zwanej podwozy, dawanej kolejno przez czaldonów bezpłatnie, wyrzekając się straży i przewodnika, aby im nie robić zbytecznego ciężaru. Najczęściej jednak latem chodziłem piechotą 75 wiorst na trakt po pocztę, aby ją prędzej otrzymać i z powrotem przyjeżdżałem konno, jako pocztyljon. Robiło się to pocichu, jako akt nielegalny, bo dawanie pakietu pocztowego do rąk zesłańców było zabronione bardzo kategorycznie, ponieważ umieli oni przeczytać nawet przez grubą bibułę zawartość tego pakietu, często bardzo sekretną.

Cale lato do późnej jesieni 1905 r. odbywałem ciągłe podróże, po których mi do dnia dzisiejszego pozostały piękne wspomnienia, może właśnie dlatego, że odbywałem

je sam jeden i w czasie, kiedy ogromnie tęskniłem, do towarzyszy i do pracy. Nigdy nie byłem obojętny na piękno przyrody, którą znałem przeważnie z opisów w książkach, ale zobaczyłem ją poraz pierwszy na Syberji. Dopóki się nie przyzwyczaiłem, tajga przytłaczała mnie swoim ogromem, pięknnością i ciężkim aromatem w letnie miesiące. Zachwyty mój wyrażałem śpiewem, właściwie krzykiem szczęścia, że jestem, że żyję, widzę i kocham. Tajga upajała mnie. Wyrzuciłbym się o niej, parafrazując cudze słowa: «nie pokochał jej ten, kto jej nie widział». Pokochałem ją, a jednak pozostać w niej nie mógłbym za żadną cenę.

Poczta przychodziła normalnie co 3 tygodnie, a czasami nawet co 6 tygodni, więc otrzymawszy jednocześnie 30 albo 60 numerów gazet, zaczytywałem się niemi, jak mówiła moja gospodyni do «obałdanja», t. j. do kołowacizny.

Nastąpiła zima, wiadomości w gazetach były coraz bardziej oszalałamiące, ja nie miałem się z kim niemi podzielić, bo z powodu mrozów pieszych podróży musiałem zaniechać, a na wynajęcie konia nie było pieniędzy. Nawet wycieczki po tajdze musiałem ograniczyć do spacerów, gdyż latem, aby mieć za co podróżować, sprzedawałem swój ciepły kożuch barani. Czas od jednej do drugiej poczty wydawał mi się nieskończenie długi, jak 30 godzin trwająca bezsenna noc syberyjska.

Trochę czasu zajmowały mi gawędy z czałdonami o wiadomościach gazetowych w Rosji. Schodzili się oni do mnie coraz częściej i coraz liczniej. Kiedy zasypiałem po takiej gawędzie, śniły mi się strajki, demonstracje i walki na barykadach, w których brałem udział we śnie.

Czałdoni, którzy w czasie wojny z Japonją zachowywali się dość obojętnie i kiedy ich straszono, że japończycy

mogą zająć Syberję, mówili «a nam wsio jedyno, chot i bielyj car, chot oposkij, tolkoby podatki wzymał niebolszyje», — to jednak sprawami polityki wewnętrznej interesowali się bardzo, rozumiejąc ją po swojemu. Kiedy im opowiadałem, co się dzieje w Rosji, słuchali uważnie i robili swoje wnioski. Wiadomość, że robotnicy i chłopci chcą usunąć cara i zrobić republikę, przyjęli nawet z pewną aprobatą, dodając, że oni wtedyby wyrzucili Mołczanowa, pisarza gminnego, który ich strasznie okradał, będąc małym carkiem na terytorjum przeszło 2 tysięcy kwadratowych kilometrów, jakie zajmowała gmina, i zbudowałiby trałt do kolei, czemu sprzeciwiają się kupcy, popierani przez tegoż pisarza.

Dopiero w ostatnich dniach listopada 1905 r. otrzymałem wiadomość o amnestji i już po kilku godzinach byłem w drodze do Boguczana, gdzie amnestjowani zesłańcy polityczni otrzymywali t. zw. «putiowki» i pieniądze na drogę. Zastałem już tam tylko jednego zesłańca, tow. Nikitina, ślusarza z warsztatów kolejowych w Krasnojarsku, z którym odbyliśmy wspólną podróż z Boguczana do Tajszetu i z Tajszetu do Krasnojarska. Otrzymaliśmy oprócz pieniędzy na życie t. zw. «progonnyje» po 3 ko. na konio-wiorstę każdy, więc jechaliśmy parą koni, co znacznie przyspieszało podróż, jednak trwała ona 5 czy 7 dni, bo jechaliśmy przez tajgę drogą rzadko uczęszczaną, gdzie często trzeba było przepiłowywać leżące wpoprzek drzewo, aby móc przejechać. Jechaliśmy bez żadnej przerwy dzień i noc, wysiadając z sań tylko poto, aby coś zjeść. Z Tajszetu do Krasnojarska jechało się zaledwie kilkanaście godzin.

Nie potrafiłbym opisać wrażenia, jakie na mnie zrobiła to, co zobaczyłem w Krasnojarsku, który był w tym czasie «republiką». Żadnych szczegółów istnienia tej republiki, kto-

rej mieszkańcem byłem w przeciągu 2 czy 3 dni — nie pamiętam. Widocznie ogólne wrażenie było zbyt oszalamiające dla mieszkańca tajgi. Przypominam sobie tylko wiece w olbrzymim budynku warsztatów kolejowych, masę czerwonych sztandartów, olbrzymi portret Marksa na wysokości II piętra, obramowany czerwienią, na tejże wysokości mównicę, na którą się wchodziło po drabinie, ogniste słowa mówców o rewolucji i jej zwycięstwie i śpiew kilkutyśiecznego tłumu, bezładny, ale z głębi duszy płynący i palący, jak roztopione żelazo «Wyrzekamy się starego świata i otrząsamy jego proch z naszych nóg». Kiedy zaśpiewano ognistą bojową «Warszawiankę», ludzie tupali i machali rękami, nie mogąc opanować bojowego nastroju, a mnie po twarzy płynęły łzy radości i szczęścia, jakiego może dostąpić tylko rewolucjonista.

Z Krasnojarska wyjechałem dopiero po 2 czy 3 dniach, w ciągu których chodziłem na wiece, zebrania i demonstracje. Dla charakterystyki stosunków w tej republice przypominam sobie, że chociaż faktycznie władza znajdowała się w ręku robotników, kasjer kolei odmówił mi wydania bezpłatnego biletu bez papieru z podpisem gubernatora.

Na stację odprowadziło mnie kilku miejscowych towarzyszy. Wszystkie pociągi, idące w stronę Europy, były zajęte przez powracających z wojny japońskiej żołnierzy. Kiedy weszłem do wagonu, na wstępie powitany zostałem wcale nie przyjacielskim okrzykiem: «poszł won żyd». Dopiero, kiedy moi towarzysze objaśnili żołnierzom, że jestem powracającym z zesłania skazańcem politycznym, pozwolono mi zostać narazie «na trawce», t. j. na podłodze. Ale już po paru godzinach, choć nikomu z nich nie objaśniłem stanu swojej paranteli, pozostawiając tę sprawę na później — uzyskałem nietylko pełne równouprawnienie z żoł-

nierzami, ale i pewne przywileje, jako «starik», bo nosilem długą brodę.

Do nawiązania dobrych stosunków pomiędzy mną i żołnierzami przyczyniły się głównie gazety, których całą plikę zabrałem z Krasnojarska. Zobaczywszy gazety, z początku prosili, abym pozwolił zobaczyć rysunki w satyrycznych tygodnikach, jakie wówczas wychodziły w dużej ilości, następnie prosili, abym im przeczytał, «czto tworitsia w Roseii» i czy będą dawać ziemię. Większość ich nie umiała czytać wcale, pozostali — bardzo słabo. Kiedy im powiedziałem, że o ile wiem, nikt chłopom ziemi dawać nie ma zamiaru — niektórzy z nich rozgniewali się na mnie, dając mi do zrozumienia, że jestem dureń i nie rozumiem, bo «jak chłop może być bez ziemi». I dopiero, kiedy w dalszej rozmowie wyjaśniliśmy wspólnie, że ziemia jest własnością obszarników, książąt i cara i że nikt z nich dobrowolnie nie odda jej chłopom i przeczytałem im o rozruchach rolnych w różnych miejscowościach Rosji — dopiero wtedy nabrali do mnie zupełnego zaufania.

Eszelon, z którym jechałem, liczył, zdaje się, 400 ludzi, wszystkie wagony pociągu były zajęte wyłącznie przez żołnierzy. Pasażerowie cywilni mogli się dostać do wagonu tylko za ich zgodą.

Już w dniu następnym byłem nietylko w doskonałych stosunkach z żołnierzami, ale zdobyłem, nie starając się o to specjalnie, pewien autorytet w swoim wagonie, a nawet zapraszano mnie do sąsiednich wagonów, abym przyszedł «poczytać gazety». Zaproszenie nie dałem sobie dwa razy powtórzyć i na samem czytaniu nie poprzestawałem. Zresztą, gdybym nawet chciał się na niem ograniczyć, to bym nie mógł, taką masę najróżnorodniejszych pytań mi zadawano, Musiałem jednak zachować pewną ostrożność,

bo nie byli to czaldoni, na których słowo «car» i «carat» robiło mniejsze wrażenie, niż słowo «leszyj», t. j. djabeł, o czem się przekonałem zaraz pierwszego dnia.

Dla tych chłopów bezrolnych, których z rozkazu cara pędzono, gdzieś na kraj świata, przeciwko jakimś japończykom, aby się z nimi bili niewiadomo o co, imię tego cara posiadało jeszcze swoją wagę. «Eto ty zria, kak można bez caria», powiedział mi starszy już żołnierz, kiedy się trochę zapędziłem. Zaczynam więc z innego końca, tak, aby zbyteczność cara okazywała się sama przez się.

Po paru dniach wspólnej podróży byłem już conajmniej w połowie wagonów naszego eszelonu ze swojemi gazetami i tygodnikami. Wszędzie znajomość i rozmowa zaczynała się od przeglądania ilustracyj w tygodnikach satyrycznych, dość ostro wyśmiewających carat, potem następowało czytanie gazet, pytania i objaśnienia. Schodziły na tem dni i wieczory nieraz do późnej nocy.

Eszelon nasz, jak zresztą i wszystkie inne, a szło ich ze wschodu setki, były prowadzone przez oficera. Ten jednak, mając widać do załatwienia ważniejsze sprawy, niż «opieka» nad żołnierzami, na większych stacjach pozostawał na parę dni, a obowiązki swoje, polegające na codziennem wypłacaniu żołnierzom po 15 kop. strawnego, przekazywał feldfebelowi. Feldfebel ze swojej strony nie naprzykrzał się żołnierzom swoją osobą, wypłacał im strawne na parę dni zgóry, a sam regularnie się upijał i spał w dzień i noc. Pozatem każdy wagon miał swego naczelnika w osobie podoficera, ale jego władza, jak i władza oficera i feldfebla — była tylko teoretyczną. O ile mogłem sądzić na zasadzie eszelonu, z którym jechałem około 10 dni, czy nawet dwa tygodnie, i na zasadzie tego, co widziałem po drodze i w Czelabińsku, nad powracającymi z Dalekiego

Wschodu żołnierzami nikt władzy nie posiadał, nie pilnował ich i... nikt najzupełniej się o nich nie troszczył. Jeżeli zachowywali się w drodze stosunkowo skromnie, to głównie dlatego, że była to nie młodzież, lecz ojcowie rodzin w wieku od lat 27 do 40 kilku, którzy przede wszystkim śpieszyli się do swych rodzin, wiedząc, że ich położenie materialne jest najczęściej bardzo ciężkie.

Choć w masie swej żołnierze nie rozumieli rozgrywających się w Rosji wypadków, bo niewiele nawet o nich wiedzieli, to jednak nawet strzępki wiadomości o nich pobudzały ich ciężką myśl do pracy. Rozumowali mniej więcej tak: «W Rosji naród się buntuje, bo żyć ciężko, bardzo ciężko, niema ziemi i niema zarobków. Chłop ziemię musi dostać, bo zginie». Mówili tylko o ziemi. O tem, kto im zamyka drogę do tej ziemi, o carze i rządzie — nic. To były w ich rozumieniu jakieś siły nadprzyrodzone, z którymi bodaj czy można nawet walczyć. Co innego panowie, obszarnicy, «pomieszczyki», z tymi możnaby walczyć, ale jak? Wziąć od nich ziemię siłą? Ale co siłą weźmiesz, siłą ci odbiorą, bo nie jest twoje. Kupić? Ale za co? Car powinien dać. Ale czemu nie daje? Dziadowie pamiętają, że ziemię chłopom obiecano, ale nikt jej dotychczas nie otrzymał.

Tak rozumowali moi współtowarzysze podróży, chłopci z różnych zakątków wielkiej Rosji. Byli już dość bliscy, wyciągnięcia z tego ostatecznych wniosków. A kiedy ja starałem się im te wnioski podsunąć, zapalały się u niektórych oczy i twarde kulaki zaciskały mocniej.

Jaki rezultat dała moja kilkonastudniowa agitacja, kiedy powrócili do swoich wsi — nie wiem, ale dwa, choć drobne same przez się wypadki, jakich byłem świadkiem, przekonały mnie, że nastrój tej masy jest bezwarunkowo,

choć zupełnie nieświadomie, jednak rewolucyjny. Naturalnie, nie dzięki wypadkowej i dorywczej agitacji, lecz dzięki temu, co przeżyli i przecierpieli i co widzieli w czasie wojny w Mandżurji. Wynieśli stamtąd przedewszystkiem już nietylko nienawiść, ale głęboką pogardę do swych naczelników — oficerów. Następnie uświadomili sobie, że lud (t. j. oni, chłopci) ma kierowników głupich, podłych i tchórzliwych, którzy na polu bitwy chowali się za plecy pogardzanej przez się szarej masy żołnierskiej, aby ratować swoje plugawe życie. Ta nienawiść i wzgarda do nich przenosiły się na wszystkich panów, «gospod», «bieloruszek».

Pociąg nasz należał do kategorii towarowo-osobowych i szedł z «szybkością» 12 wiorst na godzinę, a poza-tem był bardzo często zatrzymywany na t. zw. rozjazdach, jakie na jednotorowej linii kolei syberyjskiej znajdowały się co kilka wiorst. Takie powolne posuwanie się gniewało ich bardzo, im śpieszyło się do domu, więc wymyślali wszystkim spotykanym kolejarzom, ale to nic nie pomagało. Na nieszczęście na jakiejś stacyjce, już w bliskości Urału, zatrzymano nasz pociąg prawie przez cały dzień, nie licząc się z tem, że 400 ludzi nietylko nie może dostać nic do jedzenia, ale nawet rozgrzać się gorącą wodą, bo i tej nie było.

Na kilkakrotne naleganie ze strony feldfebla — naczelnik stacji odpowiedział, że odprawić pociągu nie może, bo stacja, do której jedziemy, nie chce go przyjąć. Wtedy w jednym z wagonów zeszli się podoficerowie, aby się naradzić, co robić dalej, bo cierpliwość żołnierzy zaczynała się wyczerpywać i mogli narobić dużych awantur. Feldfebel obiecał, że pośle depezę do komendanta wojskowego w Czelabińsku, ale obietnica ta nikogo nie zadowoliła i żoł-

nierze z wojsk technicznych (kolejarze i telegrafisci) dali inicjatywę, aby jechać samym, dając z pośród siebie maszynistów, pomocników i telegrafistę. Propozycja, jakkolwiek dość ryzykowana i prawie że rewolucyjna, została wnet przyjęta i szybko wykonana. Nie przypominam sobie, aby wybierano coś w rodzaju kierownictwa akcją — zdaje się, że przeszło ono samo przez się do kilku naszych żołnierzy — saperów, jako inicjatorów i wykonawców.

Otrzymawszy od naczelnika kategoryczną odmowę na żądanie, aby posłał depezę do następnej stacji, saperzy na chwilę zawahali się. Ale kupa żołnierzy, którzy znajdowali się na stacji, dowiedziawszy się o odmowie, chciała obić naczelnika i zniszczyć telegraf. Skończyło się na tem, że go wyrzucono ze stacji, a na jego miejsce zasiedli do telegrafu żołnierze. Jakie odpowiedzi otrzymali na swoje depeze, nie przypominam sobie, ale utkwily mi w pamięci miny naszych telegrafistów, kiedy nadawali i przyjmowali depeze, co trwało czas jakiś — byli poważni, skupieni i zacięci, jak pewnie na wojnie wobec wroga. Nareszcie okrzyk «gotowe».

Wobec odmowy ze strony maszynisty, która była przewidziana — na lokomotywę również poszli żołnierze i po jakimś czasie ruszyliśmy w drogę. Był — to pierwszy czyn rewolucyjny, w jakim na Syberji wziąłem choć bierny tylko udział, jeżeli nie liczyć wywieszania czerwonego sztandaru na górze Buzykonawskiej.

Jechaliśmy o wiele szybciej, niż poprzednio, bo nasi maszyniści nie żalowali paliwa, i w wagonach, pomimo, iż głód mocno doskwierał — nastrój był doskonały.

Stacja najbliższa, do jakiej przyjechaliśmy, widocznie, aby uniknąć losu poprzedniej, o czem była poinformowana, przyszykowała dla nas jedzenie i gorącą wodę, dała nie-

zwłocznie nową lokomotywę i odprowadziła dalej, jak gdyby nic nie zaszło.

Po przyjeździe do Czelabinska, stacji węzłowej, nasz eszelon został rozbity na części, zależnie od miejscowości, do jakiej jechali żołnierze. Ja przyłączyłem się do grupy, jadącej w kierunku Syzrania — Wiaźmy.

Na stacji w Czelabińsku mogłem się naocznie przekonać, że żołnierze, powracający z Mandżurji — to nie mięso armatnie, jakie tam wieziono, lecz zupełnie nowi ludzie.

Przedewszystkiem rzucał się w oczy zupełny zanik starej tępej dyscypliny w postaci honorów i tytułów w stosunku do oficerów. Oficerowie, pewnie nietyłe przez poczucie obywatelskości i szacunek do żołnierzy, co przez szacunek do żołnierskich kułaków, jakie się wyciągały w ich stronę, wcale niedwuznacznie zaczęli się zwracać do żołnierzy na «wy», a nie na «ty», choć, krztusili się przytem niemilośnie. Nietylko nie żądali oddawania honorów, ale starali się usilnie unikać żołnierzy, bo ci im wymyślali wcale nie delikatnie, nawet bez wszelkiego powodu.

Przypominam sobie tylko jednego oficera, gruzina, który był przez żołnierzy szanowany i chodził z nimi, objawszysię za szyję. Podobno ocalił życie kilkunastu żołnierzom, skazanym na śmierć przez sąd wojskowy za jakiś bunt na froncie, dając im możność ucieczki.

Powtórę żołnierz przestał prosić — lecz żądał. Zniknęła zupełnie dawna tępa pokora. Jeżeli żołnierz nie czuł się zupełnie panem sytuacji, to w każdym razie wiedział, że go się choć bezbronno — obawiano i ustępowano mu. Na stacji było pewnie ze dwa tysiące żołnierzy, oczekujących pociągów. Komendantem stacji był jakiś stary pułkownik, którego obowiązkiem było żywić żołnierzy i utrzymywać

porządek. O ile pierwszy z tych obowiązków spełniał nieźle, bo żołnierze nie narzekali, o tyle drugiego spełnić nie mógł, mając w rozporządzeniu zaledwie kilkunastu żołnierzy. Duża sala I klasy, do której poprzednio wejście żołnierzom surowo było wzbronione, była przez nich w całości zajęta i obecnie unikali jej właśnie oficerowie. Poza tem żołnierze zajmowali wszystkie ubikacje stacyjne, gdzie tylko można się było położyć, lub usiąść choćby na podłodze.

Po dwudniowym oczekiwaniu na pociąg, nowosformowany eszelon, mający jechać na Samarę i Moskwę, zaczął się burzyć, widząc, że dość często przez stację przejeżdżają pociągi sanitarne, pełne oficerów i siostr miłosierdzia, przy czem podobno oficerowie byli zupełnie zdrowi, a jeżeli nawet i chorzy, to tylko na choroby weneryczne. Jakoś 20 czy 22 grudnia komendant obiecał odprawić nasz eszelon napewno, więc zebraliśmy się na peronie, ale po całodziennem prawie oczekiwaniu na przeszło 20 stopniowym mrozie dowiedzieliśmy się, że nie pojedziemy. Żołnierze byli wściekli z zimna i daremnego oczekiwania. Kiedy nadszedł w tym czasie jakiś pociąg, składający się wyłącznie z wagonów II klasy, na którym widniał napis «lekko ranni oficerowie» i ktoś, może nawet pół żartem rzucił myśl, aby go zająć, usunąwszy oficerów, — masa żołnierzy w okamgnieniu rzuciła się do wagonów, usuwając pięściami i kopnięciem nogi przeszkody w postaci konduktorów i uzbrojonych żołnierzy z komendy stacji. W wagonie, do którego wszedłem razem z żołnierzami, zaszła następująca scena: na wchodzącego żołnierza rzuca się z pięściami jakiś starszy oficer, żołnierz machinalnie prostuje się, podnosi rękę do czapki i chce coś mówić, ale zanim zdążył otworzyć usta, do wagonu wpadła gromada żołnierzy, pchając nas

przed sobą z okrzykiem: «błagorodje ubirajsia» i zapełniła go doszczętnie. Myślałem, że nastąpi starcie, bo oficerowie mieli szable, a żołnierze byli bezbronni, jednak nic podobnego nie zaszło. Widocznie przy całej swojej przysłowiowej tępcie oficerowie zrozumieli różnicę pomiędzy oddzielnym żołnierzem, albo ich grupą, nad którymi przywykli znęcać się i wymuszać pokorę i posłuszeństwo — a masą, choć bezbronną. A może odczuli już na swojej skórze fizyczne skutki głębokiej pogardy, jaką żywiła dla nich ta masa. Dość, że z wyjątkiem oddzielnych wypadków — oporu prawie nie stawili. Nie opierała się również administracja kolejowa, ani komendant stacji, którego żołnierze zachowywali się nietylko biernie, ale, jak to można było zauważyć, obserwowali całą tę historję z wielkiem zadowoleniem.

Znaleźliśmy się w eleganckich wagonach, gdzie wszystkie siedzenia i oparcia były obite pluszem, co niektórym nasunęło myśl, że z tego przepychu będą najbardziej zadowolone nasze wszy, jakich miliony mieliśmy na sobie, bo większość z nas nie mogła — w przeciągu kilku tygodni wmyć się porządnie i zmienić bielizny, co zresztą byłoby zupełnie bezcelowe. Tak olbrzymią ilość wszy spotkałem wówczas poraz pierwszy, chodziły one stadami nietylko po nas, ale i po podłodze i ławkach, bo sprzykrzyło się nam je tępić. Ale to była drobnostka, na którą nikt nie zważał.

Kiedyśmy ruszyli w drogę, nastrój był doskonały, dzięki poczuciu odniesionego zwycięstwa. Czytaliśmy gazety i gadaaliśmy do zachrypięcia.

W Batrakach, zdaje się, doszła nas wiadomość o zbrojnym powstaniu w Moskwie, ale pomówić o tem czasu już nie było, bo rozjechalismy się w różne strony.

Pożegnaliśmy się serdecznie, jak starzy towarzysze.

Droga moja z miejsca zesłania do Warszawy trwała 20 dni, tj. przeszło 2 razy tyle, co w warunkach normalnych, ale nie żałowałem wcale tego czasu, gdyż stracony nie był.

Do Warszawy przyjechałem 24 grudnia 1905 roku.



M9781

SPIS RZECZY

	<i>Str.</i>
Przedmowa	3
Część I — Z minionych dni	5
Część II — Dalszy ciąg pracy partyjnej.	89
Część III — Więzienie i zesłanie	123

Редактор *Г. Каминский*. Техред *М. Лойтерштейн*.

Сдано в производство 9/II-34 г. Подп. к печати 21/IV-34 г. Инд. ДН - 1 М. Г. № 4253. Ф. бум. 72×105 ¹/₃₂. 6 п. л. Уполн. Главл. Б-33638. Зак. 2191. Тираж 2.000 экз. 17-я фабрика национальной книги ОГИЗ'а РСФСР треста „ПОЛИГРАФКНИГА“ Москва, Шлюзовая наб., д. № 10.

Цена 1 р. 50 коп.

Переплет 30 коп.

2 119781

м. плохоцкий

Годы подполья в Польше

На польском языке



МОЛОДАЯ ГВАРДИЯ

(Национальный сектор)

Москва, центр, Новая пл., 6/8.

СКЛАД ИЗДАНИЯ:

Магазины и отделения Книгообъединения ОГИЗ'а и Кооп-книги.

Любые книги на национальных языках высылает наложенным платежом (без задатка) Дом Интернациональной книги
Москва, ул. Горького, 51.